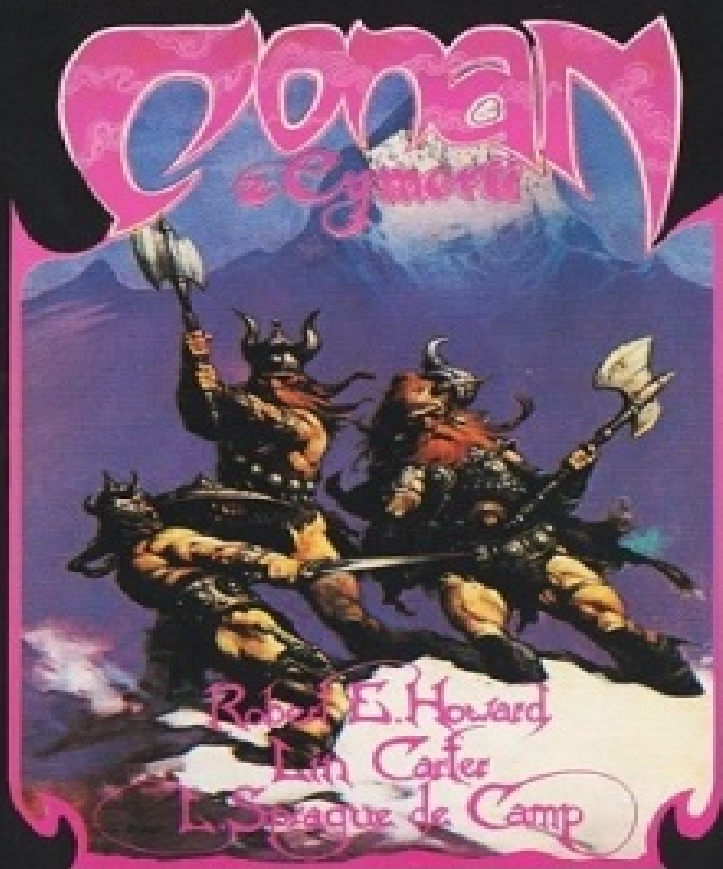
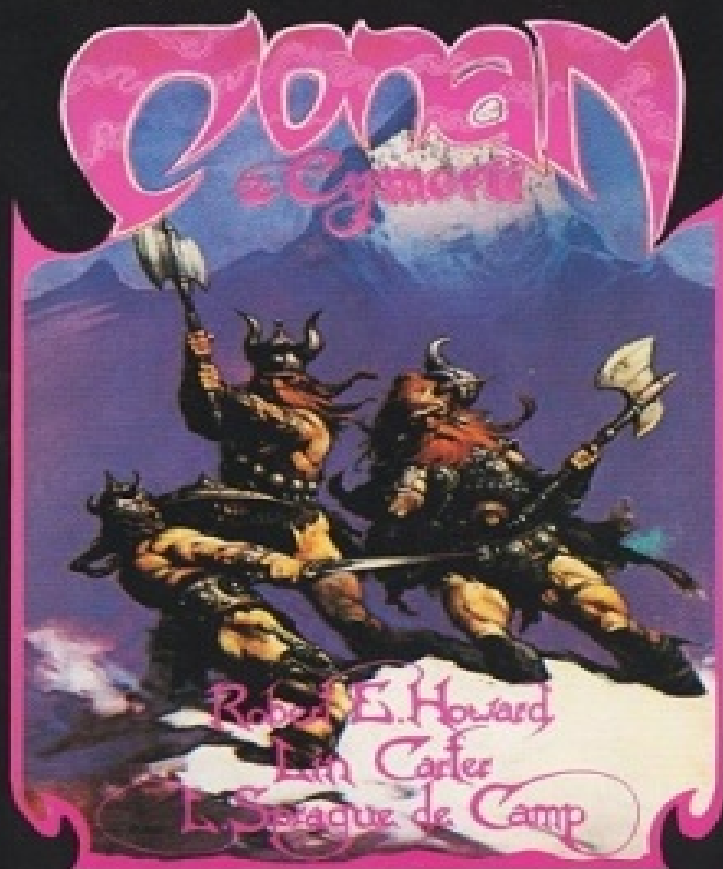


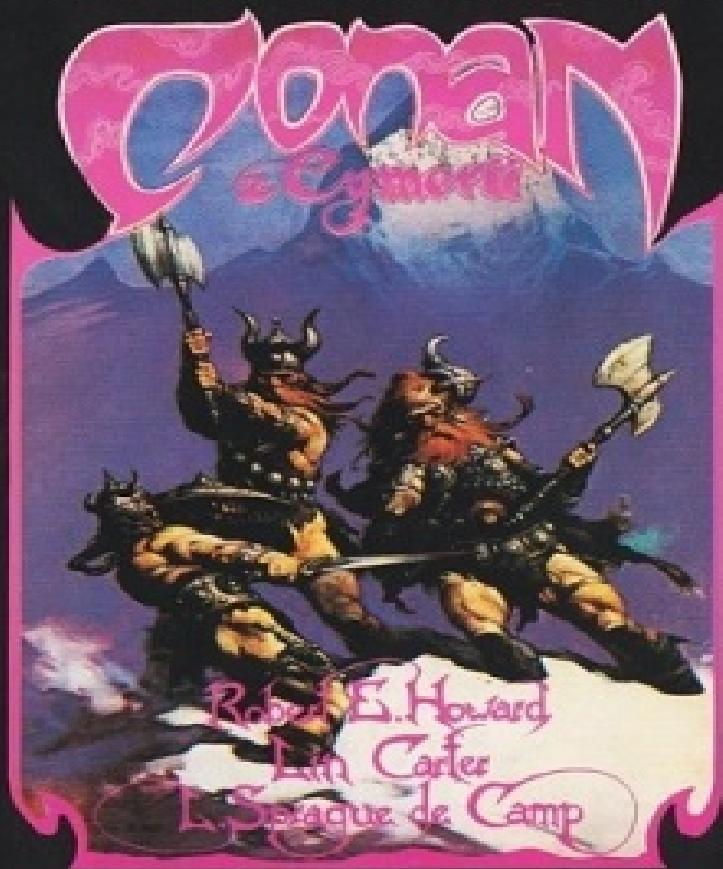
PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



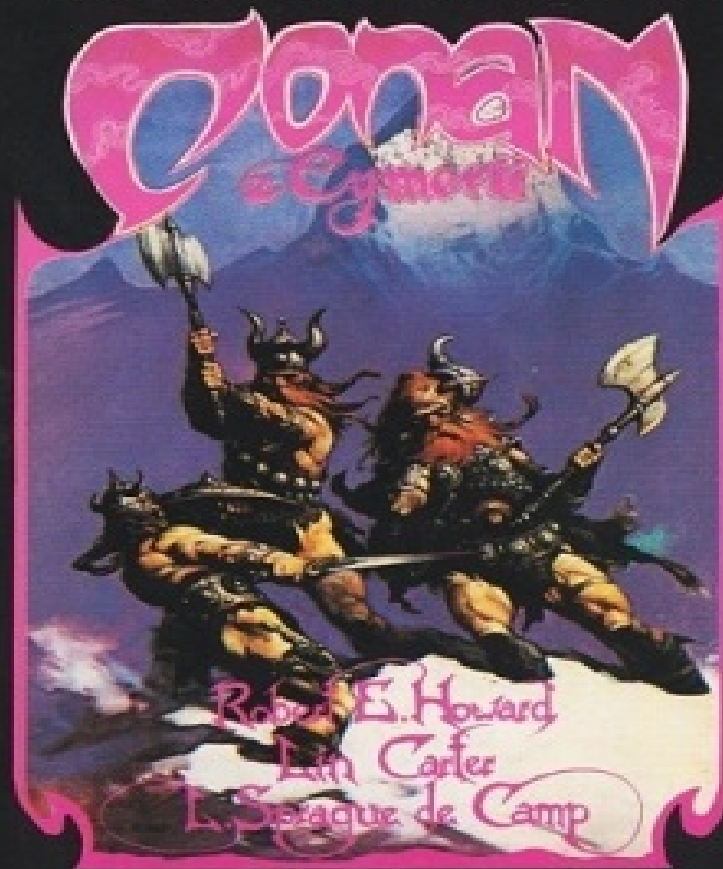
PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



PIERWSZE WYDANIE KOMPLETNE



# Spis treści

Karta tytułowa

CONAN

WSTĘP

L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER [**PRZEKLEŃSTWO  
MONOLITU**]

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

ROBERT E. HOWARD, L.SPRAGUE DE CAMP [**OKRWAWIONY  
BÓG**]

ROBERT E. HOWARD [**CÓRKA LODOWEGO OLBRZYMA**]

L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER [**GNIAZDO LODOWEGO  
ROBAKA**]

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

ROBERT E. HOWARD [**KRÓLOWA CZARNEGO WYBRZEŻA**]

CONAN PRZYSTĘPUJE DO PIRATÓW 1

CZARNY LOTOS 2

KOSZMAR W DŻUNGLI 3

ATAK Z PRZESTWORZY 4

STOS 5

ROBERT E. HOWARD [DOLINA ZAGINIONYCH KOBIET]

1

2

L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER [ZAMEK GROZY]

PŁONĄCE ŚLEPIA 1

KRĄG ŚMIERCI 2

CZARNA CYTADELA 3

LUDZIE-ŻMIJE 4

SZEPCZĄCE CIENIE 5

STO GŁÓW 6

UCIECZKA 7

ROBERT E. HOWARD, L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER  
[PYSK W CIEMNOŚCI]

COŚ W MROKU 1

NIEWIDZIALNY POTWÓR 2

PRZEJAZDŹKA TANANDY 3

ZŁOTOWŁOSA NIEWOLNICA 4

BAT TANANDY 5

MROczNA RADA 6

LOS KRÓLESTWA 7

**ROBERT E. HOWARD**

**LIN CARTER**

**L. SPRAGUE DE CAMP**

**CONAN**

**z Cymerii**

Przełożył: Zbigniew A. Królicki

**PIK: 1991**





## WSTĘP

Robert Ervin Howard (1906–1936) urodził się w Peaster w stanie Teksas i przez większą część życia mieszkał w Cross Plains, w samym środku Teksasu, pomiędzy Abilene i Brownwood. W ostatnich dziesięciu latach życia ten płodny i wszechstronny pisarz stworzył okazały tom utworów zwanych wówczas „pulp fiction” — sportowych, detektywistycznych, historycznych, przygodowych oraz opowiadań grozy, o duchach i z Dzikiego Zachodu. Na jego twórczość wywarli wpływ tacy autorzy, jak: Edgar Rice Burroughs, Robert W. Chambers, Harold Lamb, Talbot Mundy, Jack London i H.P. Lovecraft (z którym prowadził ożywioną korespondencję). W wieku trzydziestu lat zakończył swą obiecującą karierę literacką popełniając samobójstwo.

Fantastyka przygodowa Howarda należy do literatury zwanej „heroic fantasy” lub utworami z gatunku „miecza i magii”. Akcja takich utworów nie toczy się w świecie takim, jakim był niegdyś, lecz w takim, jakim mógłby być. Umiejszcawia się ją w zamierzchłej przeszłości, odległej przyszłości, na innej planecie lub w innym wymiarze. Jest to świat czarów i duchów, w którym nowoczesne technologie i zdobycze nauki są w zasadzie nieznanne. Jeszcze nie zostały odkryte lub też dawno o nich zapomniano. Mężczyźni są silni, kobiety piękne, problemy proste, a życie pełne przygód.

Opowieści takie, dobrze napisane, zapewniają najwspanialszą zabawę jakiej jest w stanie dostarczyć współczesna literatura. Ich zasadniczym celem jest bawić — nie kształcić czy nawracać. Po

wielu wiekach William Morris odnowił ten rodzaj w roku 1880. Na początku tego stulecia Lord Dunsany i Eric R. Eddison położyli kolejne zasługi w tej dziedzinie. Wybitnym osiągnięciem była również trylogia J.R.R.Tolkiena „Władca Pierścieni”.

Pojawienie się amerykańskich magazynów s-f, takich jak *Weird Taks* w 1925 roku i *Unknown Worlds* w roku 1939 stworzyło nowe rynki dla heroic fantasy; powstało wiele znaczących dzieł. Wśród nich wyróżniają się utwory Howarda, który napisał kilka cykli opowiadań, z których większość opublikował w *Weird Taks*. Najdłuższą i cieszącą się największą popularnością była seria złożona z opowieści o Conanie. Za życia Howarda opublikowano osiemnaście opowiadań o Conanie. Osiem innych, od kompletnych rękopisów po szkice i oderwane fragmenty, odkryto w papierach pisarza po roku 1950.

Pod koniec 1950 roku natknąłem się na plik rękopisów Howarda w mieszkaniu ówczesnego agenta literackiego zajmującego się jego schedą. Wśród nich znajdowało się kilka niepublikowanych opowieści o Conanie, które zredagowałem. W ostatnich latach Glenn Lord, agent literacki mający w swej pieczy spuściznę pisarską Howarda, wśród papierów pisarza odnalazł kolejne rękopisy.

Niedokończona saga o Conanie zachęcała zarówno mnie, jak i innych, do jej uzupełnienia, co niechybnie uczyniłby Howard, gdyby żył. We wczesnych latach pięćdziesiątych przeredagowałem cztery niepublikowane opowiadania przygodowe, osadzone w realiach średniowiecznych lub współczesnych, zmieniając je w opowieści o Conanie. Ostatnio razem z kolegami — Björnem Nybergiem i Linem Carterem — wspólnie kończyliśmy utwory, których nie dokończył Howard i pracowaliśmy nad cyklem pastiszów, opartych na wzmiankach



znalezionych w zapiskach i listach pisarza, aby zapełnić luki w sadze. Czytelnikowi pozostawiamy osąd, czy naszą współpracę z nieżyjącym autorem można uznać za udaną.

W ciągu minionych trzech lat wydawnictwo Lancer Books zajęło się wydawaniem kompletnej sagi o Conanie — oryginalnych opowiadań Howarda, utworów rozpoczętych przez niego, a dokończonych przez innych oraz pastiszy — w chronologicznym porządku, aby uzyskać spójną biografię naszego bohatera. Ze względu na prawne komplikacje wydanie poszczególnych woluminów w porządku chronologicznym okazało się niemożliwe. Tak więc niniejszy, dziesiąty z kolei tom, jest w rzeczywistości drugim, chronologicznie następującym po „Conanie”, a poprzedzającym „Conana korsarza”. Te dziesięć wydanych tomów zawiera wszystkie opowiadania o Conanie pióra Howarda — zarówno te w całości napisane przez niego, jak i te dokończone przez Cartera lub przeze mnie. Obecnie planowane są następne dwa tomy pastiszy mające wypełnić pozostałe luki. Jeden, *inszallah*, będzie dotyczył przygód Conana jako kapitana zingarańskich bukanierów; drugi — jego późniejszych lat życia, gdy już był władcą Akwilonii.

Zanim rozpoczął pisanie opowiadań o Conanie, Howard stworzył pseudohistorię hyboryjskiego świata, z dobrze przemyślaną geografią, etnografią i podziałem politycznym. Częściowo właśnie ta dbałość o szczegóły wymyślonego świata sprawia, że opowiadania Howarda są tak żywe i fascynujące; ta precyzyjna, wspaniała, konsekwentna wizja „wszechświata purpury, złota i szkarłatu, gdzie wszystko może się zdarzyć — prócz nudy”. Howard włączył ten plan do długiego eseju „Era hyboryjska”, który został zamieszczony w tomie „Conan”.

Według Howarda Conan żył, kochał i przeżywał burzliwe

przygody około dwunastu tysięcy lat temu, osiem tysięcy lat po zatonięciu Atlantydy i siedem tysięcy przed czasem uznawanym za początek naszej cywilizacji.

W tym czasie (według Howarda) zachodnią część głównego kontynentu wschodniej półkuli zajmowały królestwa hyboryjskie. Składało się na nie wiele państw założonych trzy tysiące lat wcześniej przez najeźdźców z północy — Hyboryjczyków, na gruzach imperium zła — Acheronu. Na południe od hyboryjskich królestw leżały swarliwe miasta-państwa Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii, rywal i partner Acheronu w dniach jego krwawej świetności. Jeszcze dalej na południu, za pustyniami i sawannami, znajdowały się barbarzyńskie czarne królestwa. Na północ od Hyboryjczyków leżały surowe ziemie Cymerii, Hyperborei, Vanaheimu i Asgardu. Na zachodzie, wzdłuż brzegu oceanu, zamieszkiwali wojowniczy, dzicy Piktowie. Na wschodzie znajdowały się wspaniałe hyrkańskie królestwa, z których najpotężniejszym był Turan.

Okolo 500 lat po czasach Conana Wielkiego większość z tych państw została zniszczona w wyniku najazdów migrujących barbarzyńców. Po kilku stuleciach, w czasie których ludzkość składała się z drastycznie zmniejszonych, wędrownych, zwaśnionych barbarzyńskich plemion, cywilizacja, a raczej to, co z niej pozostało — została jeszcze bardziej zredukowana w wyniku ostatniej epoki lodowcowej i katastrof w rodzaju tej, która uprzednio zatopiła Atlantyde. W tym okresie powstało Morze Północne i Śródziemne, wielkie śródlądowe Morze Yilayet skurczyło się do rozmiarów dzisiejszego Morza Kaspijskiego, a z fal Atlantyku wyłoniły się rozległe połacie Afryki Zachodniej. Ludzkość stoczyła się do poziomu prymitywnych dzikusów. Po

cofnięciu się lodowca cywilizacja znów rozkwitła i rozpoczęła się historia naszej cywilizacji.

Conan był olbrzymim barbarzyńskim awanturnikiem, który hulał, wojował i włóczył się po niemal całym tym prehistorycznym świecie, aby w końcu zasiąść na tronie potężnego państwa. Syn kowala z surowej, zapadłej krainy na północy, Cymerii, urodził się na polu bitwy, w ziemi poszarpanych skał i posępnego nieba. Jako młodzieniec wziął udział w złupieniu akwilońskiego nadgranicznego miasta — Venarium.

Póniej przyūrczył się do oddziału Źsirów i wyruszywszy z nimi na wyprawę do Hyperborei, został schwytyany przez mieszkańców tego starożytnego królestwa. Uciekwszy z hyper — borejskiej niewoli, powędrował na południe, do Zamory. W tym królestwie oraz w sąsiadującej z nim Koryntii i Nemedii wiódł przez kilka lat beztroski żywot złodzieja (patrz mapa na wyklejce). Nieobyty z cywilizacją i z natury na bakier z prawem, nadrabiał brak subtelności i wyrafinowania wrodzoną bystrością i herkulesową posturą odziedziczoną po ojcu.

Znużony głodową egzystencją, zaciąga się jako najemnik do armii Turanu. Przez następne dwa lata odbywa liczne podróże, docierając aż do takich legendarnych krain wschodu, jak Meru i Khitaj. Doskonali się też w sztuce łuczniczej i umiejętności jazdy konnej, które były mu obce w chwili wstąpienia na turańską służbę. Niniejszy tom rozpoczyna się w czasie, gdy służba Conana u Turańczyków dobiega końca.

Czytelnikom, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o Conanie, Robercie E. Howardzie lub heroic fantasy w ogóle, polecam inne tomy tej serii, dwa wydawnictwa periodyczne i

jedną książkę. Jednym z periodyków jest *Amra*, wydawany przez George'a H. Scithersa, Box 9120, Chicago, 111., 60690. Jest to organ Legionu Hyboryjskiego, luźnej grupy wielbicieli heroic fantasy, a w szczególności opowiadań o Conanie. Drugim jest *The Howard Collector*, wydawany przez Glenna Lorda, agenta literackiego zajmującego się schedą po Howardzie, Box 775, Pasadena, Tex., 77501. Ten periodyk jest poświęcony artykułom, opowiadaniom i poematom napisanym przez Howarda oraz jego naśladowców.

„The Conan Reader” to książka napisana przez niżej podpisanego, wydana przez Jacka L.Chalkera, 5111 Liberty Heights Ave., Baltimore, Md., 21207. Składa się ona z artykułów o Howardzie, Conanie i heroic fantasy, jakie uprzednio zostały opublikowane w *Amra*. Wiele obecnie dostępnych utworów Howarda wymieniłem też we wstępie do tomu „Conan”. Ci, którzy zechcą spróbować heroic fantasy pióra innych autorów, oprócz trylogii Tolkiena oraz różnych prac Lina Cartera i moich, mogą wybierać spośród wielu wspaniałych utworów tego typu wydanych w miękkich okładkach. Zaliczają się do nich książki Jane Gaskell (trzy powieści o Atlantydzie), Johna Jakesa („Brak the Barbarian”), Fritza Leibera (trzy książki, których bohaterami są Fafhrd i Gray Mouser), Michaela Moorcocka (czterotomowa „History of the Runestaff”, wyd. Lancer Books), Andre Norton (powieści o świecie czarownic), Fletchera Pratta („The Well of Unicorn”, Lancer Books) i Jacka Vance’a (dwa zbiory opowiadań z cyklu „Dying Earth”). Mam nadzieję, że będziecie z nich mieli choć połowę tej uciechy, jaką ja miałem.

L. Sprague de Camp, 1969

## L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER

### PRZEKLEŃSTWO MONOLITU

*W wyniku wydarzeń opisanych w opowiadaniu „Miasto czaszek”, Conan utyskuje stopień kapitana turańskiej armii. Cieszy się sławą niezwyciężonego wojaka i człowieka, na którego można liczyć w potrzebie. Jednak zamiast ciepłej posadki i lekkiej, sownie opłacanej pracy, Conan otrzymuje od generałów króla Yildiza szczególnie ryzykowne zadania. Podczas jednej z takich misji zapuszcza się tysiące mil na wschód, do legendarnego Khitaju.*

Conanowi wydawało się, że czarne, kamienne urwiska zamykają się wokół jego oddziału jak potrzask. Niepokoiły go poszarpane wierzchołki majaczące groźnie na tle nocnego nieba, iskrzącego się nielicznymi gwiazdami, błyszczącymi jak ślepie pająków obserwujących z wysoka mały obóz rozbity na płaskim dnie doliny. Nie podobał mu się również chłodny, porywisty wiatr świszczący wśród skalnych turni i rozwiewający dym obozowego ogniska. Płomienie skakały i migotały w silnych podmuchach, rzucając olbrzymie, ruchliwe cienie na granitowe głązy pobliskiej ściany wąwozu.

Po drugiej stronie obozowiska, wśród bambusowych zarośli i kęp rododendronów wznosiły się gigantyczne sekwoje, które stały tu już osiem tysięcy lat wcześniej, gdy Atlantyda niknęła w falach oceanu. Opodal kręty strumyk przepływał mrucząc cicho i z powrotem zagłębiał się w lesie. Wysoko w górze mglisty całun obłoków powoli zasnuwał szczyty skał, gasząc blask słabiej świecących gwiazd i sprawiając, że jaśniejsze z nich zdawały się płakać.

To miejsce — pomyślał Conan — cuchnie strachem i śmiercią. Miał wrażenie, że grozi im jakieś nieznane niebezpieczeństwo. Konie też to czuły: rżąc żałośnie, biły kopytami o ziemię i wpatrywały się z trwogą w ciemności za kręgiem światła. Instynktownie wyczuwały zagrożenie, tak samo jak Conan — młody wojownik z posępnych gór Cymerii. Ich zmysły były bardziej wyczułone na nieuchwytnie tchnienie zła, niż zmysły

wychowanych w mieście turańskich kawalerzystów, z którymi barbarzyńca przybył do tej zagubionej doliny.

Żołnierze siedzieli przy ogniu, dzieląc się ostatnimi łykami wieczornej racji wina ze skórzanych bukłaków. Jedni ze śmiechem przechwalali się, jakich to miłosnych wyczynów dokonają po powrocie w przybranych jedwabiem zamtuzach Aghrapuru. Inni, zmęczeni po długim dniu ostrej jazdy, siedzieli cicho, patrząc w ogień i ziewając. Niebawem ułożą się do snu, owinięci w swe grube oponcze. Używając siodeł jako poduszek pod głowy, zalegną wokół syczącego ogniska; tylko dwóch z nich pozostanie na straży, trzymając w pogotowiu swoje potężne hyrkańskie łuki. Oni nie wyczuwali czającego się wokół niebezpieczeństwa.

Conan oparł się plecami o najbliższą sekwoję i owinał szczelnie oponczą, broniąc się przed wilgotnym podmuchem. Chociaż kawalerzyści byli rośli i dobrze zbudowani, Cymeryjczyk przewyższał o pół głowy każdego z nich, a w porównaniu z jego barczystą sylwetką wydawali się cherlakami. Prosto przycięta, czarna grzywa barbarzyńcy wymykała się spod spiczastego, owiniętego turbanem hełmu, a w poznaczonej bliznami twarzy głęboko osadzone, niebieskie oczy odbijały blask ogniska.

Pogrążony w jednym ze swych napadów ponurej melancholii, Conan przeklinał króla Yildiza — pełnego dobrych chęci, lecz słabego monarchę Turanu, który wyprawił go w tę daleką podróż. Rok z górą minął od chwili, gdy poprzysiągł wierność turańskiemu władcy. Sześć miesięcy wcześniej miał szczęście zaskarbić sobie królewskie łaski; z pomocą kompana, kuszyckiego najemnika, Jury, wybawił córkę Yildiza, Zosarę, z rąk szalonego króla-boga Meru. Przyprawdzili prawie nietkniętą księżniczkę narzeczonemu chanowi Kujali z

koczowniczego szczepu Kuigar. Conan powrócił do wspaniałej stolicy Turanu, a przepelniony wdzięcznością król okazał swą hojność. Obaj z Jumą zostali awansowani na kapitanów turańskiej armii. Juma otrzymał jednak intratne stanowisko dowódcy Gwardii Królewskiej, a Conana nagrodzono jeszcze trudniejszą i bardziej niebezpieczną misją. Wspominając teraz te wydarzenia, kwaśno myślał o owocach sukcesu.

Yildiz powierzył Cymeryjczykowi list do króla Shu — władcy Kusanu, małego państewka w zachodnim Khitaju. Na czele czterdziestu doświadczonych żołnierzy Conan wyruszył w daleką podróż. Przemierzyli setki staj nagiego stepu Hyrkanii i okrążyli podnóża wyniosłych gór Talakmas. Przebyli smagane wiatrem pustynie i wilgotne dżungle otaczające tajemnicze królestwo Khitaju, najdalej na wschód położoną ziemię, o jakiej słyszeli mieszkańcy Zachodu.

Dotarłszy w końcu do Kusanu, Conan znalazł czcigodnego króla Shu wspaniałym gospodarzem i mądrym władcą. W czasie, gdy Cymeryjczyk i jego wojownicy sycili się egzotycznymi potrawami i trunkami oraz wdziękami chętnych konkubin, król wraz ze swymi doradcami zdecydował się przyjąć ofertę Yildiza i podpisał pakt o wzajemnej przyjaźni i handlu. Tak więc mądry, stary monarcha wręczył Conanowi zwój wyszywanego złotem jedwabiu, na którym zapisano pokrętnymi ideogramami Khitaju i zgrabnym, skośnym pismem hyrkańskim ceremonialną odpowiedź i pozdrowienia. Oprócz jedwabnej sakiewki pełnej złota, król Shu przydzielił Cymeryjczykowi przewodnika — wysokiego rangą dworzanina — by odprowadził poselstwo aż do zachodniej granicy Khitaju. Conanowi nie podobał się ten szlachcic. Udzielny książę Feng był szczupłym, schludnym, fircykowatym człowieczkiem, o miękkim, sepleniącym głosie.



Nosił dziwaczny, jedwabny strój, nieodpowiedni do konnej jazdy i trudów obozowiska, a swą wykwintną postać zlewał obficie mocnymi perfumami. Nigdy nie brudził swych delikatnych rąk o długich, wypielęgnowanych paznokciach, obozowymi pracami. Dwaj służący, których wziął ze sobą, byli zajęci dzień i noc, zapewniając wygodę jego dostojności. Conan z pogardą spoglądał na Khitajczyka, którego skośne oczy i mruczący głos przypominały mu kota. Często powtarzał sobie w duchu, że trzeba uważać, czy to małe książątko nie szykuje jakiejś zdrady. Z drugiej strony zazdrościł skrycie Khitajczykowi wykwintnych manier i osobistego wdzięku. Z tego powodu jeszcze bardziej pogardzał księciem; bo choć służba w szeregach turańskiej armii nadała Cymeryczykowi trochę poloru, to w głębi duszy pozostał nadal szorstkim, gburowatym barbarzyńcą. Taak, będzie musiał uważać na tego chytrego, małego Fenga...

# 2

— Czy nie przeszkadzam w głębokich rozmyślaniach szlachetnie urodzonemu dowódcy? — zamruczał łagodny głos.

Conan drgnął i odruchowo chwycił za rękojeść swego miecza, nim rozpoznał księcia, owiniętego po same uszy w obszerny płaszcz z jasnozielonego aksamitu. Zdusił cisnące się na usta przekleństwo, przypominając sobie o swych poselskich obowiązkach. Zamienił obelgę w uprzejme powitanie, które nie brzmiało jednak przekonująco.

— Może szlachetny kapitan cierpi na bezsenność? — pytał Feng, wydając się nie zauważać nieuprzejmości zagadniętego. Książę mówił płynnie po hyrkańsku, co było główną przyczyną, dla której przydzielono go jako przewodnika Conanowi, tylko powierzchownie znającemu język khitajski.

— Moja osoba ma szczęście posiadać najwspanialszy lek przeciw bezsenności — mówił Feng. — Utalentowany aptekarz przyrzędził go według starodawnego przepisu; wyciąg z pączków lilii z cynamonem i zaprawiony nasionami maku.

— Nie, nie — warknął Conan. — Dzięki ci, książę, ale to raczej to przekłete miejsce tak na mnie działa. Jakieś dziwne przecucie nie daje mi zasnąć, choć po długim dniu konnej jazdy powinienem lec zmęczony jak smarkacz po pierwszej nocy miłosnych hulanek.

Książę skrzywił się prawie niedostrzegalnie na nieokrzesane słowa Cymeryjczyka — a może tylko tak się wydawało w migoczącym świetle ogniska? W każdym razie odparł gładko:

— Myślę, że rozumiem powód niepokoju wspaniałego dowódcy. Takie niepokojące wrażenia nie są czymś niezwykłym w tym... hm... owianym legendą miejscu. Zginęło tu wielu mężów...

— Pole bitwy, co? — mruknął Conan domyślnie.

Książę wzruszył wąskimi ramionami.

— Nie, nic takiego, mój dzielny przyjacielu z Zachodu. To miejsce znajduje się nieopodal grobowca starożytnego króla mego kraju — słynnego Hsia z Kusanu. Kazał ściąć wszystkich żołnierzy swojej gwardii królewskiej i pogrzebać ich głowy razem z nim, aby ich dusze mogły nadal mu służyć w przyszłym świecie. Jednak przesąd głosi, że duchy tych gwardzistów pozostały w dolinie i nocami maszerują jak na paradzie, tam i z powrotem.

Cichy głos zniżył się jeszcze bardziej. — Legenda mówi także, że wraz z władcą złożono do grobu wspaniały skarb, składający się ze złota i drogich kamieni. Jestem pewny, że opowieść jest prawdą.

Barbarzyńca nadstawił uszu.

— Złoto i klejnoty? Odnaleziono ten skarb?

Khitajczyk obrzucił go wzgardliwym spojrzeniem skośnych oczu. Później, jak gdyby podejmując jakąś decyzję, odparł:

— Nie, szlachetnie urodzony Conanie, ponieważ nikt nie zna dokładnie miejsca ukrycia skarbu. Nikt, prócz jednego człowieka.

Teraz Cymeryjczyk zainteresował się już zupełnie wyraźnie.

— Kto je zna? — zapytał chrapliwie.

— Moja osoba, oczywiście — uśmiechnął się Feng.

— Na Kroma i Erlika! Skoro wiesz, gdzie ukryte są te bogactwa, dlaczego jeszcze ich nie wykopałeś?

— Moich rodaków przepełnia zabobonny lęk przed klątwą

wiszącą nad grobem starego króla i obawiają się monolitu z czarnego kamienia, jaki tam stoi. Dlatego nigdy nie mogłem nikogo namówić, by mi pomógł w wydobyciu skarbu.

— Dlaczego sam tego nie zrobiłeś?

Książę rozłożył bezradnie ręce.

— Potrzebowałem godnego zaufania pomocnika, który strzegłby mnie przed wrogami. Jakiś człowiek lub zwierz mógłby mnie napaść w czasie poszukiwań. Co więcej, będzie trzeba kopać, podważać i dźwigać... Szlachcicowi, takiemu jak ja, brak tężyzny do surowych, fizycznych wysiłków. Wysłuchaj mnie teraz, dzielny panie! Moja osoba przyprowadziła szacownego dowódcę do tej doliny nie przypadkiem, lecz celowo. Gdy usłyszałem, że Syn Niebios życzy sobie, bym towarzyszył dzielnemu dowódcy w drodze na zachód, pochwyciłem skwapliwie sposobność. To polecenie zaprawdę przyszło jak dar Niebios, bo dzięki boskiej opatrności Wasza Wysokość posiada siłę trzech zwykłych ludzi, a ponadto, jako urodzony na Zachodzie cudzoziemiec, naturalnie nie podziela przesądnych obaw moich rodaków. Czy moje przypuszczenia są słuszne?

Conan potwierdził to:

— Nie lękam się ani bogów, ani ludzi, ani demonów, a już najmniej dawno zmarłego króla. Mów dalej, książę Feng!

Książę przysunął się bliżej, jego głos opadł do ledwie dosłyszalnego szeptu.

— Mój panie, plan jest taki. Jak mówiłem, moja niegodna osoba przywiodła cię tutaj, ponieważ sądziła, że jesteś tym, kogo potrzebuje. Zadanie jest łatwe dla kogoś tak silnego jak ty. W moim bagażu mam narzędzia do kopania. Chodźmy natychmiast, a za godzinę będziemy bogaci ponad wszelkie wyobrażenie!

— Dlaczego nie zabrać paru moich żołnierzy do pomocy? —

ociągał się Conan. — Albo twoich służących? Z pewnością przydadzą się, by przenieść łup do obozu!

Feng potrząsnął ulizaną głową.

— Nie, nie szacowny współniku! Skarb składa się z dwóch niedużych skrzynek ze szczerego złota, pełnych szlachetnych kamieni niezwyklej wartości. Każdy z nas zdobędzie bajeczną fortunę! Dlaczego mamy dzielić się z innymi? Ponieważ sekret należy do mnie, mam oczywiście prawo do połowy skarbu. Jeśli jesteś tak szczodry, by podzielić swoją połowę między twych czterdziestu wojowników... Musisz sam zdecydować.

Nie potrzeba było dłużej namawiać Conana, by zgodził się na plan księcia. Król Yildiz płacił nędznie i zwykle zalegał z wypłatą żołdu. Jak do tej pory wynagrodzeniem Cymeryjczyka za ciężką służbę dla władcy Turanu było wiele niezobowiązujących słów uznania i bardzo mało brzęczącej monety.

— Idę przynieść sprzęt do kopania — szepnął Feng. — Powinniśmy opuścić obóz oddzielnie, by nie budzić podejrzeń. Gdy ja pójdę wypakować narzędzia, ty włóż zbroję i weź broń.

Conan zmarszczył brwi.

— Dlaczego miałbym potrzebować broni do wykopywania szkatułek?

— Och, wielmożny panie! Te góry kryją wiele niebezpieczeństw. Tu ryczy straszliwy tygrys, dziki lampart, groźny niedźwiedź i szalony bawół, nie wspominając o włóczących się bandach prymitywnych łowców! Ponieważ khitajski szlachcic nie jest ćwiczony w użyciu broni, wasza potężna wysokość musi być przygotowany do walki za dwóch. Wierz mi, szlachetny kapitanie, wiem co mówię!

— No dobrze — rzekł niechętnie Cymeryjczyk.

— Wspaniale! Wiedziałem, że tak nieprzeciętny umysł jak twój

nie oprze się sile mych argumentów. A teraz rozstańmy się, by o wschodzie księżyca spotkać się znowu — w głębi doliny. Zobaczymy się za jakieś dwie godziny od tej chwili; to nam da dość czasu na wyprawę.

# 3

Noc stawała się coraz ciemniejsza, a wiatr coraz zimniejszy. Niepokojące poczucie zagrożenia, jakiego Conan doznał wjeżdżając o zachodzie słońca do tej zapomnianej przez bogów doliny, teraz wróciło z pełną siłą. Podążając cicho obok małego Khitajczyka, Cymeryjczyk rzucał w ciemność czujne spojrzenia. Z obu stron pionowe ściany skalne zbliżały się do siebie tak, że w końcu między wyniosłym urwiskiem a brzegiem strumyka, który bulgocząc przepływał przez wąwóz, pozostało dość miejsca tylko dla jednego człowieka. W górze, nad szczytami wbijających się w nieboskłon czarnych turni, na mglistym niebie pojawiła się słaba poświata, opalizująca perłowo. Wschodził księżyc.

Ściany wąwozu rozsunęły się niebawem i obaj mężczyźni wyszli na rozległą równinę pokrytą miękką, zieloną murawą. Strumień skręcał w prawo i szmerząc zniknął wśród porastających brzegi paproci.

Nad poszarpanymi wierzchołkami wzgórz unosił się już błądy sierp księżyca, W zamglonym powietrzu jego blask wydawał się dobywać spod wody. Przyćmione, tajemnicze światło padało na wznoszący się wprost przed przybyszami niewysoki pagórek o regularnym kształcie. W oddali stała ciemna ściana lasu porastającego wzgórze.

Na widok oblanego srebrnym blaskiem pagórka, Cymeryjczyk zapomniał o złych przeczuciach. Tam oto stał monolit, o którym mówił Feng. Gładka, posępnie lśniąca kolumna z ciemnego

kamienia wznosiła się ze szczytu pagórka i wzbijała w górę, ginąc we mgle wiszącej nad ziemią. Wierzchołek kolumny był zaledwie niewyraźną, rozmazaną plamą. Gdzieś tutaj, jak twierdził książę, znajdował się grobowiec dawno zmarłego króla Hsia. Skarb najprawdopodobniej zakopano pod kolumną albo obok niej. Zaraz się okaże, gdzie...

Z otrzymanymi od Fenga narzędziami na ramieniu Conan przedarł się przez kępy gęstych, giętkich rododendronów i ruszył na szczyt wzgórza. Zatrzymał się, by pomóc swemu małemu współnikowi. Po krótkiej chwili wygramolił się na górę. Przed nimi wznosiła się kolumna.

Wzgórze — pomyślał Conan — zostało chyba usypane przez ludzi, tak jak to robiono czasem w jego ojczystym kraju nad szczątkami wielkich wodzów. Jeżeli skarb leży na spodzie takiego kopca, trzeba będzie kopać więcej niż jedną noc...

Z głośnym przekleństwem Cymeryjczyk ścisnął mocniej w dłoniach łopatę i łom. Jakaś niewidzialna siła pochwyciła je i ciągnęła w kierunku kolumny. Odchylił się w przeciwną stronę, trzymając kurczowo narzędzia, aż potężne mięśnie wybrzuszyły mu się pod kolczugą. Mimo to centymetr po centymetrze tajemnicza moc przyciągała oba przedmioty do monolitu. Zrozumiał, że nie wygra i wypuścił narzędzia, które wyfrunęły mu z rąk, z donośnym trzaskiem uderzyły o kamień i przywarły do kolumny. Jednak w trakcie tych zmagania Conan również dostał się w zasięg działania siły, która teraz ciągnęła go za kolczugę, tak jak przedtem przyciągała łopatę i łom. W jednej chwili miotający się i przeklinający Conan rąbnął plecami w monolit z zapierającym dech w piersi impetem. Plecami ciasno przywarł do kolumny; także jego ramiona, tkwiące w krótkich rękawach kolczugi, okryta spiczastym hełmem głowa i zawieszony u pasa



miecz, przylgnęły do czarnego kamienia. Cymeryjczyk szarpnął się, ale stwierdził, że nie zdoła rozerwać niewidzialnych więzów.

— Co to za diabelska sztuczka, ty zdrażliwy psie? — wykrztusił.

Uśmiechnięty i niewzruszony Feng podszedł do unieruchomionego barbarzyńcy, najwidoczniej nie podlegając działaniu tajemniczej siły. Wyjął jedwabną chustkę z szerokiego rękawa swego luźnego płaszcza, zaczekał, aż Conan otworzy usta do krzyku i zręcznym ruchem wepchnął w nie kłęb jedwabiu. Gdy Cymeryjczyk dławił się i gryzł knebel, mały człowieczek zawiązał ciasno chustkę. Conan stał nieruchomo, cicho sapiąc i rzucając drwiąco uśmiechniętemu księciu mordercze spojrzenia.

— Przebacz mi mój podstęp, o szlachetnie urodzony dzikusie! — wyseplenił Feng. — Moja osoba musiała spreparować jakąś interesującą opowieść, odwołującą się do twojej prymitywnej żądzy złota, żeby zwabić cię tutaj samego.

Z wściekłością w oczach Conan targnął się całą mocą swego potężnego ciała w niewidzialnych pętach. Daremnie — był bezradny. Krople potu spływały mu po czole i przemoczyły bawełniany kaftan pod kolczugą. Próbował krzyczeć, lecz spod knebla wydobywały się tylko sapania i bulgoty.

— Ponieważ, mój drogi kapitanie, twoje życie dobiegło przeznaczonego mu kresu — ciągnął Feng — byłoby nieuprzejmością z mojej strony nie wyjaśnić swojego postępowania. Tak więc twój duch będzie mógł podążyć do piekła barbarzyńców w pełni świadomy przyczyn twojej klęski. Wiedz, że dwór Jego Miłej, lecz Głupiej Wysokości króla Kusanu jest podzielony na dwa obozy. Jeden z nich — Stowarzyszenie Białego Pawia — z radością wita kontakty z zachodnimi barbarzyńcami. Drugi — Związek Złotego Bazańta — brzydzi się

wszelkimi powiązaniem z tymi zwierzakami. Ja, oczywiście, należę do bezinteresownych patriotów Złotego Bażanta. Chętnie oddałbym życie, by udaremnić ten tak zwany traktat, bo inaczej kontakt z barbarzyńcami skazi naszą piękną kulturę i zepsuje boski ład naszego systemu społecznego. Na szczęście takie najwyższe poświęcenie wydaje się niepotrzebne. Mam tu ciebie, przywódcę bandy cudzoziemskich diabłów, a na twoim karku wisi traktat, który Syn Niebios podpisał swą niezgrabną, nieoświeconą ręką.

Mówiąc to, mały książę wyciągnął spod kolczugi Cymeryjczyka tuleję z kości słoniowej, zawierającą dokumenty. Odpiął łańcuszek, na którym wisiała i wetknął ją w jeden ze swych obszernych rękawów, dodając ze złośliwym uśmiechem:

— Jeśli chodzi o wiążącą cię siłę, nie będę próbował wyjaśnić jej subtelnej natury twemu dziecinnemu rozumkowi. Wystarczy, jeśli wyjaśnię, że substancja, z której wyciosano ten monolit, ma dziwną właściwość: z nieprzezwykłą mocą przyciąga żelazo i stal. Tak więc nie obawiaj się — nie jesteś więźniem niegodziwego maga.

Conana niezbyt pokrzepiły te wiadomości. Widział kiedyś w Aghrapurze sztukmistrza podnoszącego gwoździe kawałkiem ciemnoczerwonego kamienia i podejrzewał, że trzymająca go siła jest tego samego rodzaju. Ponieważ jednak nigdy nie słyszał o magnetyzmie — i tak uważał to za czarną magię.

— Ażebyś nie żywił złudnych nadziei, że wybawią cię twoi ludzie — rzekł Feng — powiem ci, że o tym też pomyślałem. W tych górach mieszkają Jagowie — prymitywny szczep łowców głów. Zwabieni blaskiem obozowego ogniska, zgromadzą się na krańcu doliny i uderzą o świcie. To ich niezmienny zwyczaj. Mam nadzieję, że wtedy będę już daleko stąd. Jeśli mnie również

złapią... no cóż, człowiek musi kiedyś umrzeć. Wierzę, że umrę z godnością, w sposób odpowiedni dla kogoś mojej rangi i kultury. Jestem pewien, że moja głowa byłaby wspaniałą ozdobą w chacie Jagów. Tak więc, mój dobry barbarzyńco — żegnaj. Przebaczysz mej osobie, że odwróci się do ciebie plecami w tych ostatnich chwilach. Twoja śmierć to w pewnym sensie strata i nie bawiłoby mnie jej oglądanie. Gdybyś dostąpił zaszczytu khitajskiego wychowania, mógłbyś być u mnie wspaniałym sługą — no, powiedzmy strażnikiem. Jednak jest jak jest.

Z szyderczym pożegnalnym ukłonem Khitajczyk wycofał się na zbocze pagórka. Conan zastanawiał się, czy księżę miał zamiar zostawić go uwięzionego przy kolumnie, aż zginie z głodu i pragnienia. Jeżeli jego żołnierze zauważą nieobecność swego dowódcy przed świtem, może będą go szukać. Jednak skoro wykradł się z obozu nie zostawiając żadnej wiadomości, nie będą wiedzieli, czy ogłosić alarm, czy nie. Gdyby tylko mógł im dać znać, przetrząsnęliby okolicę i szybko rozprawili się ze zdradliwym małym księciem. Ale jak im dać znać?

Ponownie targnął z całej siły niewidzialnymi więzami — bez skutku. Mógł poruszać rękami do łokci, nogami do kolan, a nawet nieco obrócić głowę, ale reszta jego okrytego kolczugą ciała była mocno przyciśnięta do kolumny.

Księżyc zaświecił jaśniej. Conan zauważył pod swymi stopami i wszędzie dookoła porzrzucone szczątki innych ofiar. Kupy ludzkich kości i zębów walały się jak śmieci; musiał po nich deptać, gdy tajemnicza moc przyciągała go do kamienia. Zaniepokoił go fakt, że szczątki były dziwnie odbarwione. Przyglądając się uważniej dostrzegł, że kości wydają się wytrawione, jak gdyby jakiś żrący płyn rozpuścił ich gładkie powierzchnie ukazując gąbczastą strukturę. Cymeryjczyk obrócił

głowę, szukając sposobu ucieczki. Wydawało się, że aksamitnousty Khitajczyk mówił prawdę. Conan dostrzegł metalowe przedmioty przytrzymywane przez niewidzialną siłę przy dziwnie poplamionym i chropowatym kamieniu monolitu. Po lewej ręce widział hełm przeżarty rdzą oraz swoją łopatę i łom, a po drugiej stronie przywarł do słupa zardzewiały sztylet. Cymeryjczyk jeszcze raz wyteżył wszystkie siły...

Z dołu dobiegł niesamowity, piskliwy, szarpiący nerwy dźwięk. Wytężając wzrok, Conan dojrzał Fenga, który nie odszedł daleko. Księżę siedział w trawie u stóp pagórka i grał na flecie. Poprzez ostry pisk Conan posłyszał słaby, mlaszczący dźwięk, który zdawał się dochodzić z góry. Naprężając mięśnie potężnego karku Cymeryjczyk wykręcił głowę, by spojrzeć w górę. Cał po calu spiczasty, turański hełm przesunął się po kamieniu. Nagle krew zastygła w żyłach więźnia. Mgła otaczająca wierzchołek pylonu rozwiała się. Błede promienie księżyca padały na nieforemny, ohydny kształt przyczajony na szczycie kolumny i przechodziły przez jego półprzezroczyste ciało. Twór — przypominający kawał drgającej galarety — ożył. Księżycowy blask oblewał wilgotne, odrażające, rozdęte ciało, pulsujące gwałtownie jak wielkie, żywe serce.

# 4

Na oczach zdjętego zgrozą Conana mieszkaniec monolitu wypuścił w dół galaretowatą, macającą wypustkę. Oślizła macka poczęła pełznąć ku niemu po powierzchni kolumny. Cymeryjczyk zrozumiał, skąd wzięły się plamy na chropowatym kamieniu. Wiatr się zmienił i zabłąkany podmuch przyniósł nozdrzom barbarzyńcy mdlący smród. Teraz wiedział już, dlaczego rozrzucone wokół kości miały taki dziwny wygląd. Ze strachem, który niemal odebrał mu odwagę, Conan pojął, że galaretowaty stwór wydzielał płyn trawiący ofiary. Przelotnie zastanowił się, ilu ludzi w ciągu minionych wieków stało na jego miejscu, uwięzionych przy kolumnie, bezsilnie oczekujących na palące dotknięcie ohydneho potwora, który teraz opuszczał się ku niemu. Może przyzywał go dźwięk fletu, a może zapach ofiary wabił go na biesiadę. Obojętne, czym powodowany, stwór wolno, centymetr po centymetrze, przesunął się po kolumnie w kierunku Conana. Spływając w dół wyciągał oślizłe, galaretowate wypustki.

Rozpacz wlała nowe siły w ściśnięte mięśnie barbarzyńcy. Szarpnął się w bok, wytężając całe ciało, by wyrwać się z niewidzialnego uścisku. Ku swemu zdziwieniu w wyniku jednego z ruchów przesunął się częściowo wokół kolumny. Tak więc więzy, które go trzymały, pozostawiały trochę swobody! Wiedział, że w ten sposób nie mógłby długo unikać prześladowcy, ale nasunęło mu to pewną myśl. Ostatni ruch zbliżył go do sztyletu, który dostrzegł wcześniej. Teraz jego

rękojeść wpijała mu się w zębra. Obleczone w kolczugę ramię nadal było przyciśnięte do kamienia, lecz przedramię i dłoń miał wolne. Czy zdoła zgiąć rękę na tyle, by pochwycić rękojeść sztyletu?

Centymetr po centymetrze wyciągnął rękę. Kolczuga tarła o powierzchnię kamienia, pot zalewał mu oczy. Wolno i mozolnie dłoń przesuwiała się ku rękojeści. Urągliwy dźwięk fletu Fenga doprowadzał go do szału, a paskudny smród śluzowatego potwora wywoływał mdłości.

Dotknął sztyletu i już po chwili mocno trzymał rękojeść. Gdy szarpnięciem oderwał broń od monolitu, przezarte rdzą ostrze złamało się z ostrym brzękiem. Zerkając w bok dojrzał, że około dwie trzecie klingi pozostało przyciśnięte do kamienia. Pozostała część sterczała z rękojeści. Conan miał teraz w garści znacznie mniej żelaza przyciąganego przez kolumnę i napinając mięśnie mógł utrzymać sztylet z dala od jej powierzchni. Jednym rzutem oka ocenił, że ułamek klingi, jaki mu pozostał, wyglądał na ostry. Mięśnie dygotały mu z wysiłku, gdy z trudem utrzymując narzędzie w ręce, przytknął ostrze do rzemieni przytrzymujących razem dwie połówki kolczugi. Ostrożnie zaczął piłować skórzane więzy zardzewiałym ostrzem. Każdy ruch był torturą. Ręka, zgięta w nienaturalnej pozycji, bolała i zaczynała drętwieć. Poszczerbione, cienkie i łamliwe ostrze starego sztyletu mogło się złamać przy lada gwałtowniejszym ruchu, pozostawiając go bezradnym. Z niesłychaną ostrożnością ciął odporne rzemyki, starając się nie zwracać uwagi na nasilający się smród i mlaszczące dźwięki, towarzyszące zbliżaniu się potwora.

Nagle poczuł, że rzemień pęka. Targnął z całej siły. Rzemyk wysunął się przez oczka kolczugi tak, że rozpięła się na jednym

boku. Wyszwolecił ramię i pół ręki, gdy poczuł lekkie uderzenie w głowę. Smród stał się wprost obojętny — niewidoczny napastnik dotarł do niego i oparł się o hełm. Cymeryjczyk wiedział, że galaretowata wypustka obmacuje powierzchnię szyszaka, szukając łupu. W każdej chwili żrący płyn mógł mu oblać twarz...

Conan gwałtownie wyrwał ramię z rękawa. Wolną ręką odpiął pas z mieczem i pasek swego hełmu. W jednej chwili wyrwał się ze śmiertelnego uścisku swej zbroi, pozostawiając ją rozplaszczoną na kamieniu razem z mieczem i narzędziami. Zatoczył się i przez chwilę stał na uginających się nogach. Księżyc tańczył mu przed oczami. Oglądając się, dostrzegł, że galaretowaty kształt oblał już cały hełm. Zawiedziony stwór wysuwał wyrostki na boki, macając w daremnym poszukiwaniu łupu.

Z dołu oblanego wodnistą poświatą stoku nadal dobiegał demoniczny pisk. Feng siedział ze skrzyżowanymi nogami na trawie, rzępoląc na flecie, pogrążony w nieludzkiej ekstazie. Conan zerwał i odrzucił knebel. Skoczył — i jak lampart spadł na małego księcia. Potoczyli się razem po zboczu niczym kłęb splątanych kończyn. Cios w skroń zakończył nierówną walkę. Cymeryjczyk wymacał w szerokim rękawie Fenga tuleję zawierającą traktat i odebrał mu ją. W chwilę później ruszył z powrotem na szczyt pagórka, wlokąc Khitajczyka ze sobą. Dotarwszy do podnóża monolitu uniósł zdrajcę w powietrze. Widząc, co go czeka, książę wydał wysoki przeraźliwy wrzask, który urwał się nagle, gdy Conan cisnął nim o kolumnę. Ciało Fenga uderzyło o kamień i osunęło się na ziemię. Cios, który pozbawił Khitajczyka przytomności, był dla niego dobrodziejstwem; nigdy nie poczuł oślizłego dotknięcia

mieszkańca monolitu i szklistych wypustek macających po jego twarzy.

Conan patrzył przez chwilę posępnie. Twarz Fenga stała się niewyraźną plamą, gdy otoczyła ją drgająca, galaretowata masa. Nagle ciało zniknęło, obnażając nagą czaszkę o wyszczerzonych w upiornym uśmiechu zębach. Odrażające cielsko potwora przybrało gwałtownie różową barwę.



Conan szedł z powrotem na sztywnych nogach. Za nim pozostał otulony dymem i szkarłatnym płaszczem płomieni monolit, jak gigantyczna pochodnia na tle jaśniejącego nieba.

Wzniesienie ognia przy pomocy krzesiwa i hubki zajęło Cymeryjczykowi tylko krótką chwilę. Odchodząc spoglądał z ponurą satysfakcją, jak oleista tkanka śluzowatego stwora płonęła dymiąc i kurcząc się w bezgłośnej agonii. Niech spłoną obaj — myślał — ten półstrawiony zdradziecki pies i jego ohydny ulubieniec!

Zbliżając się do obozu zobaczył, że jeszcze nie wszyscy jego żołnierze udali się na spoczynek. Kilku stało, patrząc z zaciekawieniem na odległą łunę. Na jego widok zarzucili go pytaniami wołając:

— Gdzie byłeś, kapitanie? Co to za pożar? Gdzie księżę?

— Hej, wy, zakute łby! — ryknął Conan wkraczając w krąg światła. — Obudźcie resztę i siodłajcie konie do drogi! Napadli na nas Jagowie, łowcy głów. Mogą tu być w każdej chwili! Dostali księcia, ale mnie udało się uciec! Khusro! Mulai! Zwijać się, jeżeli nie chcecie, by wasze głowy zawisły w ich diabelskich chatach! I — na Kroma! — mam nadzieję, że zostało dla mnie trochę wina!

ROBERT E. HOWARD,  
L.SPRAGUE DE CAMP

OKRWAWIONY BÓG

*Przez blisko dwa lata Conan pozostaje na służbie króla Turanu, odbywając dalekie podróże i poznając fasady sztuki wojennej. Jak zwykle, nieustannie wpada w tarapaty. Po jednej z grubszych awantur — w której, jak mówiono, chodziło o kochankę zwierzchnika — Conan uznaje, że najładniej będzie opuścić szeregi turańskiej armii, a rozchodzące się plotki o ukrytych skarbach każą mu wyruszyć ku wschodnim granicom Zamory i szukać bogactwa w Górach Kezankijskich.*

Conan Cymeryjczyk prowadził poszukiwania po omacku, tak jak teraz, w tej ciemnej jak otchłań, śmierdzącej uliczce. Gdyby ktoś zdołał go zobaczyć, ujrzałby wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w obszernym płaszczu z wielbłądziej wełny, skrywającym kolczugę z mocnych, stalowych ogniw, naciągniętą na zwiewny, zuagirski khilat. Spod szerokiego zawoju wyglądała grzywa czarnych włosów i zbrązowiała od słońca, młoda twarz.

Nagle przeraźliwy krzyk bólu rozdarł mu uszy. W labiryncie uliczek Arenjunu, Miasta Złodziei, podobne wrzaski nikogo nie dziwiły, a żaden ostrożny czy bojaźliwy człowiek nie był na tyle głupi, by wtrącać się w nie swoje sprawy. Lecz Conan nie należał

ani do ostrożnych, ani do bojaźliwych. Wiecznie dręcząca go ciekawość nie pozwoliła zignorować wołania o ratunek. Poza tym szukał pewnych ludzi i potrzebował zasięgnąć języka.

Posłuszny swej gwałtownej, barbarzyńskiej naturze, Cymeryjczyk ruszył w kierunku smugi światła, przesywającej pobliskie ciemności. W chwilę później znalazł pęknięcie w szczelinie zamkniętej okiennicy, zajrzał więc w okno niskiego budynku o grubych, kamiennych murach.

Miał przed sobą przestronną komnatę obwieszoną aksamitnymi draperiami, pełną kosztownych kilimów i sprzętów. Wokół łoża stało kilku mężczyzn — sześciu krzepkich, zamorańskich zbirów i dwóch innych, o trudnej do określenia narodowości. Na łożu rozciągnięto rozebranego do pasa człowieka. Był to góral kezankijski: wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o nabiegłych krwią oczach i lśniącej od potu, szerokiej piersi. Czterech krzepkich napastników przytrzymało go za ręce i nogi unieruchamiając zupełnie, chociaż mięśnie kończyn i barków drgały mu jak naprężone liny. Na oczach Conana szczupły mężczyzna w turbanie z czerwonego jedwabiu wyjął kleszczami rozżarzony węgiel z paleniska i przysunął go do dygoczącej, poznaczonej śladami oparzeń piersi Kezankijczyka. Inny człowiek, wyższy od tego w czerwonym turbanie, warknął coś, czego Cymeryjczyk nie zrozumiał. Góral gwałtownie potrząsnął głową i splunął wściekle na pytającego. Płonący węgiel spadł na owłosioną pierś wyrywając nieludzki ryk z ust ofiary. W tej samej chwili Conan z całej siły uderzył ramieniem w okiennicę.

Cymeryjczyk wcale nie postąpił tak nierozsądnie, jakby się wydawało. Z pewnych powodów potrzebował przyjaźni górali kezankijskich, ludzi powszechnie znanych z wrogiego

nastawienia do wszystkich obcych. Właśnie nadarzyła się okazja, by ją sobie zaskarbić. Okiennica z trzaskiem rozleciała się w drzazgi, wpadając do środka razem z Conanem. Cymeryjczyk skoczył do środka pokoju, trzymając w jednej ręce krótką, zakrzywioną szablę, a w drugiej długi, zuagirski sztylet. Oprawcy odwrócili się gwałtownie, wydając okrzyki zdumienia.

Ujrzeni wysoką, odzianą po zuagirsku postać o twarzy skrytej pod fałdami powiewającego zawoju. W półmroku błysnęły roziskrzone, niebieskie oczy. Przez moment wszyscy zastygli w bezruchu.

Człowiek w czerwonym turbanie rzucił krótki rozkaz, a wtedy rozczochrany, olbrzymi Zamoranin skoczył na spotkanie nadciągającego przeciwnika. Opryszek trzymał nisko krótki miecz i zaatakował od dołu. Cios był prawdziwie morderczy, jednak wznoszące się ramię napotkało opadający bułat Conana. Zaciśnięta na rękojeści miecza dłoń poleciała w bok, pryskając deszczem krwi, a długie, wąskie ostrze w lewej ręce Cymeryjczyka przecięło gardło napastnika, tłumiąc jęk bólu.

Conan przeskoczył ciało powalonego wroga. Ruszył na Czerwony Turban i jego wysokiego kompana. Pierwszy dobył noża, drugi szabli.

— Załatw go, Jillad! — warknął Czerwony Turban, odskakując przed gwałtownym atakiem Cymeryjczyka. — Zał, pomóż nam!

Człowiek o imieniu Jillad odparował cięcie szabli i oddał cios. Conan uniknął pchnięcia, odskakując z kocią zwinnością w bok, ale ten unik przywiódł go w zasięg noża Czerwonego Turbana. Błysnęło ostrze, klinga uderzyła w bok barbarzyńcy, ale nie zdołała przebić pierścieni czarnej kolczugi. Napastnik cofnął się błyskawicznie, ledwie unikając sztychu Conana, tak, że wąska klinga zuagirskiego sztyletu przecięła jedwabną szatę i skórę na

piersi. Czerwony Turban potknął się o stołek. Upadł ciężko, lecz nim Conan zdołał wykorzystać przewagę, Jillad natarł na niego z szablą, zasypując go lawiną ciosów. Odpierając atak Cymeryjczyk zauważył, że napastnik zwany Żalem zachodzi go z boku z ciężkim berdyszem w rękę, a Czerwony Turban gramoli się na nogi.

Nie czekał, aż odetną mu odwrót. Szerokim zamachem szabli zmusił Jillada do cofnięcia się. Żal uniósł berdysz do ciosu, a wtedy Conan zanurkował pod wzniesionym ramieniem i błyskawicznym pchnięciem rozciągnął przeciwnika na podłodze. Po chwili nędznik zwijał się we własnej krwi i wnętrznościach. Cymeryjczyk rzucił się ku ludziom trzymającym więźnia. Z krzykiem wypuścili Kezankijczyka, sięgając po swe zakrzywione szable. Jeniec stoczył się z posłania, cudem zdoławszy uniknąć ciosu, jaki wymierzył mu jeden z oprawców. Conan stanął między góralem a napastnikami — chociaż rozpoczął się odwrót, nadal walczył, odpierając ich uderzenia.

— Otwórz drzwi i wychodź! Szybko! — krzyknął do Kezankijczyka.

— Psy! — ryczał Czerwony Turban. — Nie pozwólcie im uciec!

— Chodź tu i zakosztuj śmierci, nędzniku! — zaśmiał się Conan, mówiąc po zamorańsku z barbarzyńskim akcentem.

Oslabiony torturami góral zdołał wreszcie odsunąć rygiel i pchnął drzwi, prowadzące na mały dziedziniec. Potykając się, wybiegł w noc, zaś Conan zatrzymał przeciwników w wąskim przejściu, gdzie nie mogli wykorzystać swej przewagi. Zadając ciosy i odparowując je, śmiał się i klął na przemian. Czerwony Turban miotał się za plecami napierających napastników, wykrzykując obelgi.

Szabla Conana opadała jak błyskawica. Jeden z Zamoran

wrzasnął i padł, chwytając się za pierś. Nacierający Jillad przewrócił się na niego. Zanim przeklinający, wrzeszczący i cisnący się w przejściu napastnicy zdołali się wydostać na zewnątrz, Conan odwrócił się i pomknął przez dziedziniec do muru, za którym zniknął Kezankijczyk.

Wepchnąwszy swój oręż za pas odbił się od ziemi, chwycił krawędź muru, podciągnął się w górę i obrzucił szybkim spojrzeniem ciemną, krętą uliczkę. Nagle niebo spadło mu na głowę i bez czucia stoczył się na drugą stronę, w mrok...

Nikły blask padający Conanowi na twarz ocucił go. Usiadł, mrugając oczami, klnąc cicho i szukając po omacku swojej broni. Płomyk zgasł i w ciemności rozległ się głos:

— Nie obawiaj się, Conanie z Cymerii, jestem twoim przyjacielem.

— Kim jesteś, na Kroma? — spytał barbarzyńca. Odnalazł już leżącą obok szablę i nieznacznie podkurczył nogi do skoku. Leżał na ulicy, u podnóża muru, z którego spadł, a pochylony nad nim człowiek stanowił zaledwie niewyraźny, krępy kształt na tle rozgwieżdżonego nieba.

— Przyjacielem — powtórzył tamten miękkim, iranistańskim akcentem. — Nazywaj mnie Sassan.

Conan podniósł się z szablą w dłoni. Iranistańczyk wyciągnął coś w jego kierunku. W świetle gwiazd Conan dostrzegł błysk stali, lecz nim zadał cios zrozumiał, że nieznajomy trzyma w ręku jego własny sztylet, skierowany nie ostrzem, lecz rękojeścią.

— Jesteś podejrzliwy jak wilk, Cymeryjczyku — zaśmiał się Sassan. — Lepiej zachowaj swoją stal dla wrogów.

— Gdzie oni są? — zapytał Conan, biorąc sztylet.

— Odjechali w góry, tropem Okrwawionego Boga.

Barbarzyńca doskoczył doń i chwyciwszy żelaznym chwytem

za khilat na piersiach Sassana, zajrzał w kpiące, ciemne oczy o zagadkowym wyrazie.

— Niech cię diabli, mów, co wiesz o Okrwawionym Bogu! — syknął, przyciskając nóż do boku Iranistańczyka, tuż pod żebrami.

— Wiem — powiedział Sassan — że przybyłeś do Arenjunu, ścigając złodziei, którzy ukradli ci mapę, pokazującą miejsce ukrycia skarbu większego od bogactw Yildiza. Ja również czegoś tu szukam. Ukrywałem się w pobliżu i widziałem przez dziurę w murze, jak wpadłeś do komnaty, gdzie torturowano Kezankijczyka. Skąd wiedziałeś, że to oni ukradli twoją mapę?

— Wcale nie wiedziałem — mruknął Conan, . — Usłyszałem krzyk i wydawało mi się, że powinienem się wtrącić. Gdybym wiedział, że to ci, których szukam... Co jeszcze wiesz?

— Niewiele. Niedaleko stąd, w górach, znajduje się ukryta świątynia, do której nawet górale boją się zbliżyć. Mówią, że stoi tam od niepamiętnych czasów, a uczeni mężowie spierają się, czy została zbudowana przez Grondarian, czy też postawił ją nieznany, pradawny lud, zamieszkujący Hyrkanię już po Kataklizmie. Kezankijczycy nie dopuszczają tam obcych, ale Nemedyczykowi imieniem Ostorio udało się ją odnaleźć. Wszedł do środka i ujrzał złoty posążek, wysadzany czerwonymi kamieniami. Nazwał go Okrwawionym Bogiem. Nie mógł go zabrać ze sobą, bo posążek był większy od człowieka i o wiele za ciężki, ale sporządził mapę, zamierzając po niego wrócić. Wydostał się szczęśliwie z krainy gór, lecz jakiś zbir zadźgał go w Shadizarze. Zanim umarł, dał mapę tobie, Conanie.

— I co dalej? — spytał ponuro Cymeryjczyk.

Na ulicy było wciąż pusto i cicho.

— Skradziono ci ją — rzekł Sassan. — Wiesz, kto to zrobił.

— Z początku nie miałem pojęcia — burknął Conan. Później dowiedziałem się, że złodziejami byli Koryntjanin Zyras i Arahak — wydziedziczony książę turański. Ich sługa szpiegował umierającego Ostoria i doniósł im o mapie. Ścigałem ich aż tutaj, ale nie wiedziałem, jak wyglądają. Dziś wieczór usłyszałem, że ukrywają się gdzieś w pobliżu. Krążyłem w ciemnościach, szukając jakiegoś śladu, kiedy usłyszałem ten krzyk.

— Walczyłeś z nimi, nie wiedząc, kim są! — rzekł Sassan. — Kezankijczyk to Rustum — szpieg Keraspy, naczelnika górali. Zwabili go do tego domu i przypiekali, by zdradził im tajemne przejście przez góry. Resztę wiesz.

— Wszystko, prócz tego, kto mnie strącił z muru.

— Któryś z nich rzucił stołkiem i trafił cię w głowę. Kiedy spadłeś na drugą stronę, nie poświęcili ci więcej uwagi. Pewnie sądzili, że nie żyjesz, albo nie poznali cię w tym stroju. Rzucili się za Kezankijczykiem, lecz nie wiem, czy go schwytali. Niebawem wrócili, wsiedli na konie i pognali jak szaleni na zachód, zostawiając ciała zabitych. Poszedłem sprawdzić, kim jesteś i poznałem cię.

— Zatem człowiek w czerwonym turbanie to Arahak — mruknął Conan. — A gdzie Zyras?

— Przebrany za Turańczyka. To ten, na którego wołali Jillad.

— Aha! A co z tobą? — warknął Conan.

— Tak jak ty, chcę zdobyć posążek, mimo że spośród wszystkich, którzy wyruszyli na jego poszukiwanie, tylko Ostorio powrócił żywy. Jakieś przekleństwo zdaje się ciążyć na tych, którzy zamierzają splądrować świątynię...

— Co o tym wiesz? — spytał ostro Cymeryjczyk.

Sassan wzruszył ramionami.

— Niewiele. Górale mówią o klątwie rzuconej przez boga na



wszystkich, którzy wyciągają chciwe ręce po jego posążek, ale ja nie wierzę w zabobony. Myślę, że ty też się ich nie lękasz, prawda?

— Oczywiście, że nie!

Prawdę mówiąc, Conan lękał się. Chociaż nie obawiał się człowieka ani zwierzęcia, nadprzyrodzone zjawiska wywoływały w jego barbarzyńskiej duszy atawistyczny lęk. Nie zamierzał się jednak do tego przyznawać.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Iranistańczyka.

— No, tylko tyle, że żaden z nas nie zdoła sam stawić czoła całej bandzie Zyrasa, natomiast razem możemy rzucić się za nimi w pościg i odebrać im bożka. Co ty na to?

— Tak, zrobimy to. Jeśli jednak spróbujesz jakichś sztuczek, zabiję cię jak psa.

Sassan roześmiał się.

— Wiem, do czego jesteś zdolny. Możesz mi zaufać.

Chodź, konie czekają.

Iranistańczyk poprowadził Conana przez labirynt uliczek ze zwieszającymi się z góry ażurowymi balkonami i przez ciemne, cuchnące zaułki, aż zatrzymali się przed bramą oświetloną blaskiem zawieszanej nad nią latarni. Na pukanie w furcie pojawiła się brodata twarz. Sassan powiedział cicho kilka słów i bramę otwarto. Wszedł do środka, a za nim dręczony podejrzeniami Conan. Jednak konie rzeczywiście na nich czekały.

Na rozkaz nadzorcy zaspani słudzy poczęli je siodłać i napełniać juki żywnością.

Wkrótce Conan i Sassan wyjechali z miasta zachodnią bramą, niedbale strzeżoną przez zaspane straże. Sassan był tęgim, lecz muskularnym mężczyzną o szerokiej, bystrej twarzy i żywych, ciemnych oczach. Był uzbrojony we włócznię, z którą obchodził

się ze zręcznością świadczącą o dużej wprawie. Conan nie wątpił, że w potrzebie Sassan będzie walczył równie sprawnie i dzielnie. Nie wątpił też, że może polegać na jego uczciwości tak długo, jak długo ich przymierze będzie korzystne dla Iranistańczyka, i że później Sassan będzie się starał zamordować współnika przy pierwszej sposobności, byle tylko zatrzymać dla siebie cały łup.

Świt zastał ich wśród poszarpanych wąwozów nagich, czarnych Gór Kezankijskich, oddzielających najdalej na wschód wysunięte granice Zamory i Koth od równin turańskich stepów. Chociaż zarówno Zamora, jak i Koth rościły sobie prawa do tego obszaru, żadne z państw nie zdołało go podbić i Arenjun, bezpiecznie usytuowany na urwistej skale, skutecznie powstrzymywał ciągle najazdy turańskich hord ze wschodu. Droga ciągle rozgałęziała się, ślady kopyt traciły na wyrazistości, aż wreszcie Sassan przyznał, że nie wie, gdzie się znajdują.

— Nadal jedziemy po ich śladach — powiedział Conan — a chociaż ty ich nie widzisz, ja nie straciłem ich z oczu.

Minęło parę godzin i ślady kopyt znów stały się widoczne.

— Doganiamy ich — rzekł Conan. — Mają nad nami przewagę liczebną. Musimy pozostać poza zasięgiem ich wzroku, dopóki posąg nie znajdzie się w ich rękach. Potem zastawimy zasadzkę i odbierzemy im zdobycz.

Sassanowi rozbłysły oczy.

— Dobrze! Lecz nade wszystko ostrożność! To kraina Keraspy, a on grabi wszystkich podróżnych.

Wczesnym popołudniem nadal zdążali po śladach starą, prawie zatartą drogą. Właśnie dotarli do wąskiego wąwozu, gdy Sassan rzekł:

— Jeśli ten Kezankijczyk wrócił do swojej wioski, to możemy mieć kłopoty.

Gwałtownie ściągnęli wodze, bo nagle z wąwozu wyjechał szczupły góral o ostrych rysach twarzy.

— Stać! — krzyknął, unosząc rękę. — Z czyjego rozkazu wjechaliście na ziemię Keraspy?

— Spokojnie — mruknął Conan do Iranistańczyka. — On z pewnością nie jest sam.

— Keraspa pobiera myto od podróżnych — rzekł cicho Sassan. — Może tylko o to im chodzi.

Gmerając za pasem, rzekł do jeźdźca:

— Jesteśmy tylko ubogimi wędrowcami, ale radzi opłacimy myto waszemu dzielnemu naczelnikowi. Jesteśmy sami...

— A ten z tyłu? — spytał góral, ruchem głowy wskazując na drogę, którą przybyli. Sassan odwrócił się. W tejże chwili Kezankijczyk wyrwał zza pasa sztylet i zadał błyskawiczny cios. Uczynił to bardzo szybko, ale Conan był jeszcze szybszy. Ostrze zmierzało ku gardłu Sassana, gdy rozległ się ostry świst i brzęk stali uderzającej o stal. Sztylet wyleciał z rąk Kezankijczyka, który z przekleństwem chwycił za rękojeść szabli. Nim zdążył jej dobyć, Cymeryjczyk uderzył ponownie, rozcinając turban i czaszkę. Koń górala, rżąc i kwicząc, zrzucił ciało pana na ziemię. Conan spiął swojego wierzchowca.

— Do wąwozu! — wrzasnął. — To zasadzka!

Zanim ciało Kezankijczyka stoczyło się na ziemię, powietrze przeszył świst strzał i brzęk cięciw. Rumak Sassana, ugodzony strzałą w kark, poderwał się do galopu i poniósł jeźdźca w głąb wąwozu. Poganiając swojego wierzchowca, Conan poczuł muśnięcie przelatującej koło ucha strzały. Pomknął za Sassanem, który stracił panowanie nad swoim koniem. Pędząc w kierunku wąwozu ujrzeli wypadających z niego galopem jeźdźców, wywijających szerokimi, zakrzywionymi szablami. Sassan

poniechał prób okiełznania rozszalałego rumaka i przebił włócznią pierwszego z atakujących. Grot przeszył napastnika, wyrzucając go z siodła.

W następnej chwili Conan zrównał się z drugim jeźdźcem, który zamachnął się nań ciężką szablą. Cymeryjczyk uniósł swoją broń, konie uderzyły piersią o pierś i stalowe ostrza związały się z brzękiem. Conan stanął w strzemionach. Zebrawszy wszystkie siły uderzył, łamiąc gardę przeciwnika i rozłupując mu czaszkę.

Nie zatrzymując się, galopowali w głąb wąwozu, ścigani świstem strzał. Śmiertelnie raniony koń Sassana potknął się i upadł, lecz Iranistańczyk zwinnie zeskoczył z padającego zwierzęcia.

— Siadaj za mną! — krzyknął Conan, spinając cugle.

Sassan z włócznią w dłoni wskoczył na koński zad. Spięty ostrogami, obładowany rumak ruszył ciężkim galopem. Rozbrzmiewające w tyle wrzaski świadczyły o tym, że łucznicy pobiegli do swych ukrytych wierzchowców. Po chwili zakręt wąwozu stłumił wszelkie odgłosy.

— Ten kezankijski szpieg musiał dotrzeć do Keraspy — dyszał Sassan. — Pragną krwi, nie złota. Myślisz, że dostali Zyrasa?

— Mógł przejechać, zanim zastawili pułapkę, a może to właśnie jego tropili i nadzialiśmy się na nich przypadkiem. Myślę, że Zyras ze swoimi ludźmi jest wciąż przed nami.

O milę dalej, wjeżdżając w rozległą kotlinę otoczoną skałami, usłyszeli słabe odgłosy pogoni. Po drugiej stronie stromy stok prowadził w górę, na wąską przełęcz. Dojeżdżając do niej zobaczyli, że przejście jest zamknięte niewysokim, kamiennym murem. Sassan krzyknął i zeskoczył z konia, kryjąc się przed chmarą nadlatujących ze świstem strzał. Jedna z nich wbiła się głęboko w końską pierś. Zwierzę zachwiało się, po czym runęło z

łoskotem. Conan zeskoczył w ostatniej chwili. Przetoczył się za głazy, gdzie już znalazł schronienie jego towarzysz. Kolejne pociski łamały się na kamieniach albo z głuchym stukiem wbijały się w ziemię. Obaj awanturnicy popatrzyli po sobie.

— Znaleźliśmy Zyrasa! — rzekł Sassan, wyginając wargi w sardonicznym uśmiechu.

— Zaraz przypuszczą atak — wyszczerzył zęby Conan — a Keraspa zamknie potrzask z tyłu.

Za muru nadleciał urągliwy głos Zyrasa:

— Wyjdźcie i dajcie się zastrzelić, kundle! Co to za Zuagir stoi obok ciebie, Sassan? Myślałem, że rozwalilem mu łeb zeszłej nocy!

— Jestem Conan! — ryknął Cymeryjczyk.

— Mogłem się domyślić — krzyknął Zyras po krótkim milczeniu. — No, teraz was mamy!

— Jedziemy na tym samym koniu! — krzyknął Conan. — Słyszeliście odgłosy walki w wąwozie?

— Tak, słyszeliśmy je, kiedy poiliśmy konie. Kto was ściga?

— Keraspa z setką Kezankijczyków! Myślisz, że kiedy z nami skończą, to pozwolą wam odejść? Torturowaliście jednego z nich!

— Lepiej połączmy nasze siły — dodał Sassan.

— Mówisz prawdę? — nie dowierzał Zyras.

Nad murem pojawiła się jego okryta turbanem głowa.

— Jesteś głuchy, człowieku? — odparł Conan.

Wąwóz rozbrzmiewał wrzaskami i tętentem kopyt.

— Chodźcie tu, szybko! — zawołał Zyras. — Dość będzie czasu na podział łupu, jeżeli wyjdziemy z tego z życiem.

Conan i Sassan wyskoczyli z ukrycia i pobiegli po stoku do muru, gdzie żylaste ręce pomogły im przejść na drugą stronę. Barbarzyńca spojrział na swoich nowych sprzymierzeńców.

Zyras, ponury mężczyzna o twardym spojrzeniu, odziany w tu — rański strój, Arshak, elegancki nawet po tylu godzinach konnej jazdy, trzech śniadoskórych Zamoran, szczerzących zęby na powitanie. Zarówno Zyras, jak Arshak, nosili krótkie kolczugi, takie same jak Conan i Sassan.

Kezankijczycy — blisko dwudziestu jeźdźców — ściągnęli wodze, gdy śmignęły ku nim strzały z łuków Arshaka i Zamoran. Kilku odpowiedziało tą samą bronią, lecz większość zawróciła, odjeżdżając poza zasięg strzał. Zsiedli z koni, szykując się do ataku, gdyż mur był zbyt wysoki na konną szarżę. Jeden rumak miał puste siodło, inny włókł za sobą rannego jeźdźca z nogą uwięzłą w strzemieniu.

— Musieli nas śledzić! — warknął Zyras. — Oszukałeś nas, Conanie! Tam nie ma setki wojowników!

— Starczy ich, by poderżnąć nam gardła — odparł Cymeryjczyk, próbując kciukiem ostrza swego miecza. — A Keraspa może w każdej chwili posłać po posiłki.

— Za tym murem nie jesteśmy bez szans — mruknął Zyras. — Chyba wybudował go ten sam lud, który postawił świątynię Okrwawionego Boga. Oszczędzajcie strzały!

Kezankijczycy ruszyli w górę zwartą grupą, osłaniani przez czterech łuczników nieustannie szyjących strzałami z boków. Biegący na przedzie trzymali przed sobą lekkie puklerze. Conan dostrzegł płomiennorudą brodę Keraspy. Chytry naczelnik krył się za plecami swoich ludzi.

— Strzelać! — wrzasnął Zyras.

Strzały wpadły w tłum i trzy wijące się postacie pozostały na stoku, jednak reszta parła naprzód z dziko pałającymi oczami i zimnym żelazem zaciśniętym w owłosionych łapskach. Obrońcy wystrzelili w zgraję napastników ostatnie strzały i stanęli na

murze dobywając broni. Górale przypuścili atak. Kilku próbowało podsadzić towarzyszy, inni opierali puklerze o mur, aby dostarczyć im stopni. Wzdłuż zapory rozlegał się łomot uderzeń, szcęk stali i przekleństwa ginących. Conan odrąbał głowę pierwszemu Kezankijczykowi i ujrzał, jak stojący obok Sassan wbija włócznię w rozdziawione usta innego tak, że ostrze wyszło przez kark. Dzikooki góral, tocząc pianę z ust, dźgnął jednego z Zamoran nożem w brzuch. W powstałą lukę natychmiast wcisnęli się wyjący Kezankijczycy, wdrapując się na mur i przeskakując na drugą stronę, zanim Cymeryjczyk zdołał ich powstrzymać. Barbarzyńca otrzymał cios w lewe ramię, lecz oddał go z nawiązką, gruchocząc kark napastnika.

Przeskoczył obalonego górala i runął w tłum napastników, nie mając czasu rzucić okiem, jaki obrót przybrała walka na flankach. Zyras przeklinał po koryntiańsku, Arshak po hyrkańsku. Ktoś przeraźliwie wrzeszczał. Jakiś góral ścisnął gorylimi łapskami szyję Conana, lecz ten tylko naprężył mięśnie karku i pchnął nożem przeciwnika, który puścił go z jękiem i stoczył się z muru. Dysząc ciężko i rozglądając się, Cymeryjczyk uświadomił sobie, że napór zelżał. Kilku pozostałych przy życiu górali kuśtykało po stoku — wszyscy broczyli krwią. U podnóża muru leżał stos trupów. Wszyscy trzej Zamoranie byli martwi lub umierający. Opodal, wsparty plecami o głazy, siedział Arshak. Krew ciekła mu przez palce. Jego wargi posiniały, lecz zmusił się do niesamowitego uśmiechu.

— Urodzony w pałacu — szeptał — umieram pod murem, jak pies... Nieważne — los tak chciał... Ten posążek jest przeklęty — wszyscy, którzy go poszukiwali, zginęli... Z tymi słowami zmarł.

Zyras, Conan i Sassan popatrzyli po sobie w milczeniu — trzech ponurych, zbryzganych krwią obszarpańców. Każdy z

nich był lekko ranny w rękę lub nogę, ale kolczugi uchroniły ich od śmierci, która dopadła ich towarzyszy.

— Widziałem, jak Keraspa umykał chyłkiem! — warknął Zyras. — Pójdzie do wioski i sprowadzi nam na głowę całe plemię. Musimy się pospieszyć, znaleźć posążek i wywieźć go, zanim Keraspa nas dopadnie. Złota wystarczy dla trzech.

— Racja — zagrzemiał Conan — ale zanim wyruszymy, oddaj mi moją mapę.

Zyras otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamknął je widząc, że Sassan podniósł łuk jednego z Zamoran i nałożył strzałę na cięciwę.

— Rób, jak ci mówi Conan — rzekł Iranistańczyk.

Zyras wzruszył ramionami i oddał wymięty pergamin.

— Niech was diabli, chyba zasłużyłem na trzecią część skarbu. Cymeryjczyk zerknął na mapę i wepchnął ją za pas.

— W porządku. Nie żywię urazy. Jesteś wieprz, lecz jeśli będziesz postępował z nami uczciwie, my też będziemy w porządku, prawda, Sassan?

Zapytany kiwnął głową, po czym napełnił kołczan strzałami.

Konie Zyrasa stały uwiązane pod murem. Trzej kompani wybrali trzy najlepsze wierzchowce oraz trzy zapasowe i ruszyli dalej. Zapadła noc, ale z uwagi na Keraspę parli naprzód, nie zważając na ciemności. Conan czujnie obserwował swoich współników. Wiedział, że decydująca chwila nadejdzie dopiero wtedy, gdy znajdą się z posążkiem w bezpiecznym miejscu i nie będą już sobie potrzebni. Wtedy Zyras i Sassan mogą się zmówić, by go zamordować, lub też jeden z nich przedstawi mu plan zabicia drugiego, lecz już teraz wolał ich mieć na oku. Mimo, że Cymeryjczyk był twardy i bezlitosny, barbarzyńskie poczucie honoru nie pozwalało mu samemu próbować zdrady.



Zastanawiał się też, co chciał powiedzieć mu przed śmiercią twórca mapy. Śmierć przyszła po Ostoria w chwili, gdy zaczął opisywać świątynię. Nemedianin chciał właśnie ostrzec przed czymś Conana, kiedy krew uderzyła mu do ust.

Zbliżał się świt. Z wąskiego wąwozu wjechali w dolinę otoczoną stromymi ścianami skalnymi. Wąwóz, którym przybyli, był jedyną drogą prowadzącą do niecki. Znaleźli się na skalnej półce o szerokości prawie trzydziestu kroków. Po jednej stronie urwisko wznosiło się na strzał z luku, po drugiej opadało w dół, w bezdenną przepaść. Wydawało się, że nie sposób zejść tędy na zasnutę mgłą dno doliny. Jednak trzech wspólnicy niewiele uwagi poświęcili posępnemu krajobrazowi, zaabsorbowani widokiem, który kazał im zapomnieć o głodzie i znużeniu.

Na skalnej półce stała błyszcząca we wschodzącym słońcu świątynia, wykuta w pionowej ścianie urwiska. Wielki portyk był zwrócony w stronę wylotu wąwozu. Występ prowadził do wielkich, pozieleniałych ze starości, mosiężnych wrót. Conan nawet nie próbował odgadnąć, jaki lud i jaka kultura postawiła tu tę budowlę. Rozwinął mapę i spojrział w notatki na marginesie, usiłując znaleźć sposób otwarcia drzwi.

Sassan ześliznął się z siodła i pobiegł naprzód, krzycząc głośno z radości.

— Głupiec — mruknął Zyras, zeskakując z konia. — Ostorto zostawił na marginesie mapy ostrzeżenie — coś o pobieraniu daniny przez boga.

Sassan szarpał różne ozdoby i wypukłości portalu. Po chwili usłyszeli triumfalny okrzyk — odrzwia drgnęły. Nagle krzyk Iranistańczyka zmienił się we wrzask trwogi. Wrota zakołysały się i runęły, rozgniatając go jak muchę. Metalowa płyta zupełnie przykryła ciało. Po ziemi sączyły się strumyki ciemnej krwi.

Zyras wzruszył ramionami.

— Mówiłem, że to głupiec. Ostorio musiał znaleźć jakiś sposób otwierania wrót, tak by nie spadły z zawiasów.

O jednego przyszłego przeciwnika mniej, pomyślał Conan.

— Te zawiasy to oszustwo — rzekł, oglądając z bliska drzwi. — Ha! Znowu się podnoszą!

Zawiasy były, jak stwierdził Cymeryjczyk, fałszywe. Wrota umocowano na dwóch pierścieniach, umieszczonych przy dolnych rogach tak, że mogły opadać na zewnątrz jak most zwodzony. Od obu górnych rogów biegingy w góré łańcuchy, znikające w otworach wykutych w górnej krawędzi framugi. Teraz łańcuchy z cichym zgrzytem naprężyły się i zaczęły ciągnąć drzwi w góré, do poprzedniej pozycji. Conan porwał upuszczoną przez Sassana włócznie i oparłszy jej koniec w wyłobieniu wewnętrznej powierzchni drzwi, wcisnął ostrze w róg portalu. Zgrzytliwy dźwięk ustał i drzwi stanęły, lekko uniesione. — Sprytnie — przyznał Zyras. — Skoro bóg pobrał już swoją daninę, powinniśmy mieć wolną drogę.

Wszedł na płytę leżących drzwi i wkroczył do świątyni. Conan ruszył za nim. Zatrzymali się w przedsionku i zajrzeli do mrocznego wnętrza, jakby zaglądali w gniazdo żmij. W starożytnej świątyni zalegała cisza, zakłócana jedynie cichym szuraniem ich stóp. Weszli ostrożnie w półmrok. Szkarłatne promienie raziły ich oczy jak blask zachodzącego słońca. Ujrzeni złoty posąg bożka, wysadzany czerwono płonącymi kamieniami.

Figura, nieco większa od dorosłego człowieka, przedstawiała mężczyznę o proporcjach karła, stojącego szerokimi, płaskimi stopami na bloku bazaltu. Po obu stronach zwróconego twarzą do wejścia bożka ustawiono wielkie, rzeźbione fotele z czarnego drewna, ozdobione klejnotami i macicą perłową, w stylu

niepodobne do niczego, co Conan widział w czasie swoich licznych wędrówek.

Nieco na lewo, kilka stóp od podstawy piedestału, podłogę świątyni przecinała od ściany do ściany szczelina szerokości blisko piętnastu stóp. Kiedyś, zapewne zanim jeszcze wybudowano tu świątynię, skała pękła podczas trzęsienia ziemi. Bez wątplenia przed wiekami kapłani odrażającego kultu rzucali w tę ciemną przepaść wrzeszczące ofiary jako daninę dla bożka. Wyniosłe ściany świątyni były pokryte dziwnymi rzeźbami, a sklepienie ginęło w mroku. Jednak wpatrzeni w posąg awanturnicy nie zwracali na to uwagi. Mimo zwierzęcej, odrażającej formy, bożek stanowił fortunę; ten widok na chwilę zmącił zdrowy rozsądek Conana.

— Na Kroma i Ymira! — westchnął. — Za te rubiny można by kupić królestwo!

— To zbyt wiele, aby dzielić się z barbarzyńskim ciurą — rzekł Zyras.

Te wycedzone nieświadomie przez zaciśnięte zęby słowa ostrzegły Cymeryjczyka. Błyskawicznie uchylił się, unikając ciosu. Świszczące ostrze musnęło tylko jego szyję, odcinając kosmyk długich włosów. Klnąc w duchu własną nieostrożność, Conan odskoczył i wyciągnął szablę z pochwy. Zyras natarł nań z impetem, lecz barbarzyńca odparował pchnięcie. Wymieniając ciosy przesuwali się tam i z powrotem przed wpatrzonym w nich bożkiem. Świątynia rozbrzmiewała tupotem ich nóg, sapaniem i brzękiem stali. Conan był wyższy od Koryntianina, lecz ten był silny, zręczny i doświadczony — znał wiele niebezpiecznych sztuchów. Raz po raz Cymeryjczyk był o włos od śmierci.

Nagle Conan pośliznął się na gładkiej posadzce i szabla skręciła mu się w dłoni. Zyras włożył całą swoją siłę i zręczność

w pchnięciu, które przebiłoby przeciwnika na wylot, gdyby sięgnęło celu — lecz barbarzyńca nie stracił równowagi aż tak bardzo, jakby się wydawało. Zwinnie jak kot odsunął się na bok tak, że długa klinga przeszła mu pod prawą pachą, przeszywając powiewny khilat... Na moment ostrze uwięzło w materiale. Zyras dźgnął sztyletem trzymanym w lewej ręce. Ostrze wbiło się w prawe ramię Conana, lecz w tej samej chwili nóż Cymeryjczyka przebił kolczugę przeciwnika i utkwiał między żebrami. Koryntianin zagulgotał, zachwiał się i runął na posadzkę.

Conan upuścił nóż i przykucnął, odrywając pasek materiału ze swej tuniki, aby dodać kolejny bandaż do tych, które już nosił. Owinął ranę, pomagając sobie zębami zacisnął węzeł i spojrzał w wybałuszone ślepia Okrwawionego Boga. Rozdziawiając usta, bożek zdawał się napawać widokiem krwi. Zdjęty zabobonnym lękiem Conan wzdrygnął się, dreszcz przebiegł mu po plecach.

Zaraz jednak wziął się w garść. Czerwony posążek należał teraz do niego, kłopot tylko w tym, jak go stąd zabrać? Gdyby odlano go z jednej bryły metalu, byłby o wiele za ciężki, by móc go ruszyć, lecz ostrożne opukiwanie ręką sztyletu wykazało, że figura jest wewnątrz pusta. Cymeryjczyk okrążył ją, zamierzając wywrócić jeden z rzeźbionych foteli i użyć go jako sanek do wywleczenia zdjętego z piedestału posągu za pomocą zapasowych koni i łańcuchów zamykających wrota, gdy nagle usłyszał jakiś szmer i odwrócił się gwałtownie.

— Nie ruszaj się! — rzekł z triumfem nieznajomy głos, przemawiający po zamorańsku z kezankijskim akcentem.

Conan ujrzał stojących w progu dwóch mężczyzn, mierzących do niego z ciężkich, hyrkańskich łuków. Jeden z przybyszów był wysoki, szczupły i rudobrody.

— Keraspa! — warknął Conan, sięgając po leżącą na ziemi

szablę i sztylet.

— Nie ruszaj się! — powtórzył naczelnik górali. — Myśleliście, że pojechałem do wioski po posiłki, prawda? A ja tymczasem śledziłem was całą noc, jadąc z jednym z moich ludzi, który nie został ranny w walce.

Spojrzał na posąg.

— Gdybym wiedział, że w świątyni znajduje się coś tak cennego, już dawno bym ją ogołocił, niezależnie od przesądów moich ludzi. Rustum, odbierz mu miecz i sztylet!

Góral spojrzał na mosiężny łeb jastrzębia, wieńczący głównie szabli Cymeryjczyka.

— Zaczekaj! — krzyknął. — To on ocalił mnie od tortur w Arenjunie! Poznaję tę broń!

— Milcz! — warknął naczelnik. — Śmierć złodziejom!

— Nie! On uratował mi życie! Co ty mi dałeś prócz ryzykownych zadań i skąpej zapłaty? Wymawiam ci posłuszeństwo, ty psie!

Rustum skoczył, unosząc w górę szablę odebraną Cymeryjczykowi, ale Keraspa wypuścił strzałę, która trafiła go w pierś. Rustum krzyknął i zatoczył się w tył, po czym runął w otchłań. Jego przeciągły krzyk, coraz słabszy i cichszy, odbił się od sklepienia świątyni. Keraspa błyskawicznie wyrwał następną strzałę z kołczana i napiął cięciwę, nim Conan zdążył na niego skoczyć. Nieuzbrojony Cymeryjczyk sprężył się, gotów rzucić się na przeciwnika nawet ze strzałą w piersi, gdy inkrustowany rubinami bożek zstąpił z piedestału i z głośnym, metalicznym szczękiem zrobił jeden długi krok w kierunku Keraspy.

Góral z przeraźliwym wrzaskiem wymierzył w bożka i wypuścił strzałę. Pocisk trafił w metalowe ramię i odskoczył wysoko, koziołkując. Długie ramiona pochwyciły Kezankijczyka

za rękę i nogę. Bożek odwrócił się i ruszył ciężko ku szczelinie. Z okrytych pianą ust Keraspy wydobywały się przerażające okrzyki. Oniemiały ze zgrozy Conan zamarł na chwilę i posąg zagroził mu drogę ucieczki. Gdyby spróbował teraz przemknąć obok bożka, znalazłby się w zasięgu jednego z dwóch długich, metalowych ramion. Mimo swej masy posąg poruszał się równie szybko, jak człowiek.

Czerwony bóg zbliżył się do szczeliny i uniósł Keraspę wysoko w powietrze, zamierzając wrzucić go w otchłań. Conan zobaczył rozdziawione usta opętańczo wrzeszczącego Kezankijczyka, czerniejące wśród gęstej, zlepionej pianą brody.

— Kiedy posąg załatwi się z Keraspą — pomyślał — niewątpliwie zabierze się za mnie. Starożytni kapłani nie musieli wrzucać w przepaść ofiar dla swojego bożka — sam się o to troszczył.

Posąg zakołysał się na swych złotych nogach, trzymając nad głową ryczącego naczelnika, gdy nagle Conan, cofając się mimowolnie, natrafił dłońmi na poręcz jednego z foteli. Za dawnych dni musieli w nich zasiadać arcykapłani lub inni mistrzowie ceremonii. Cymeryjczyk odwrócił się, chwycił za oparcie masywnego tronu i uniósł go w powietrze. Z wysiłkiem zakręcił fotelem nad głową i rzucił, trafiając bożka w plecy, między złote łopatki, w tej samej chwili, gdy ten wrzucał w przepaść wrzeszczącego Keraspę. Drewniany tron roztrzaskał się na kawałki, lecz pocisk trafił bożka w momencie, gdy był lekko pochylony do przodu, kończąc ruch, którym cisnął naczelnika w otchłań. Metalowy posąg stracił równowagę. Przez chwilę chwiało się na skraju szczeliny, młóćąc złotymi ramionami powietrze. Później runął w przepaść w ślad za ofiarą.

Conan postawił na posadzce drugi fotel i zajrzał za krawędź

szczeliny. Wrzaski Keraspy ucichły w głębi. Conanowi przez chwilę wydawało się, że słyszał odległy szczęk posągu uderzającego o ściany przepaści, lecz nie był tego pewien. Nie było końcowego trzasku ani głuchego uderzenia — nic, tylko cisza.

Conan otarł czoło muskularnym ramieniem i uśmiechnął się krzywo. Koniec klątwy rzuconej przez Okrwawionego Boga i koniec z posągiem. Choć wraz ze złotym bożkiem w szczelinie zniknęły nadzieje na wzbogacenie się, Cymeryjczyk był zadowolony — za tę cenę kupił swoje życie.

Są przecież inne skarby...

Podniósłszy swój oręż i łuk Rustuma, wyszedł w poranne słońce, by wybrać konia.

ROBERT E. HOWARD

## CÓRKA LODOWEGO OLBRZYMA

*Znużony urokami cywilizacji Conan powraca do swej ojczystej Cymerii . Jednak po miesiącu czy dwóch uganiania się za dziewczkami i pijaństwa, niespokojna natura ciągnie go do starych przyjaciół — Zbirów. Razem z nimi udaje się na zbrojną wyprawę do Vanaheimu .*

Ucichł szcęk mieczy i toporów, umilkły wrzaski zabijanych — nad poczerwieniałym śniegiem zapadła cisza. Posępne, blade słońce błyszczało oślepiająco na lodowcach i okrytych śniegiem równinach, zapalając srebrne błyski na porąbanych pancerzach i poszczerbionych klingach tam, gdzie leżeli polegli w boju. Tu i ówdzie pozbawiona czucia dłoń wciąż ścisnęła rękojeść złamanego miecza, a odrzucone w przedśmiertnych skurczach w tył, okryte hełmami głowy, posępnie zadzierały ku niebu rude i złociste brody, jakby w ostatniej inwokacji do Ymira — lodowego olbrzyma, boga wojowników. Pośród oblanych szkarłatem zasp i obleczonych w zbroje trupów stali naprzeciw siebie dwaj mężczyźni. Tylko oni poruszali się na tym pustkowiu. Wszystko wokół zastygło: mroźne niebiosa nad nimi, biała, bezkresna równina dookoła i martwi u ich stóp. Kroczyli wolno wśród ciał, jak duchy przybywające ze świata umarłych na umówione spotkanie. Stanęli twarzą w twarz w zalegającej ciszy.



Obaj byli rośli i potężnie zbudowani. Postradali tarcze, a ich zbroje były pogiete i poszczerbione. Na ich pancerzach i zbuczonych mieczach zakrzepła krew, zaś zwieńczone rogami hełmy nosiły ślady ciosów. Pierwszy wojownik nie nosił brody i miał czarne włosy; kędziory i broda drugiego były rude jak krew na oblanym słońcem śniegu.

— Człowieku — rzekł ten ostatni — powiedz mi swoje imię, by moi bracia w Vanaheimie wiedzieli, kto jako ostatni z bandy Wulphere'a padł z ręki Heimdula.

— Nie w Vanaheimie — odparł czarnowłosy — lecz w Walhalli powiesz swoim braciom, żeś spotkał Conana z Cymerii!

Heimdul skoczył nań rycząc wściekle, a jego miecz zatoczył świetlisty łuk. Conan zachwiał się i przed oczyma wytrysnął mu snop czerwonych płomieni, gdy opadające ze świstem ostrze trzasnęło w jego hełm, krzesząc błękitne skry. Zatoczył się, lecz całą siłą swych potężnych ramion pchnął wroga mieczem. Ostrze przeszło mosiężne łuski kolczugi, przebiło serce i rudowłosy wojownik zwałił się martwy u stóp Conana.

Cymeryjczyk stał z opuszczonym mieczem w ręku, ogarnięty falą mdlącego zmęczenia. Odbijające się od śniegu słońce cięło w oczy jak nóż; niebo wydawało się dziwnie nierzeczywiste i odległe. Odwrócił się plecami do rozległego, zdeptanego pobojuwiska, na którym wojownicy o żółtych brodach leżeli spleceni w śmiertelnych uściskach z rudobrodymi wojami. Zrobił kilka niepewnych kroków i nagle blask śnieżnych pól zgasł w jego oczach. Oślepli, padł w śnieg i opierając się na obleczonym w kolczugę ramieniu potrząsał głową, jak raniony lew, próbując rozproszyć mrok zasnuwający mu oczy.

Nagle przez fale oszołomienia przedarł się srebrzysty śmiech i Conan odzyskał wzrok. W otaczającej go scenerii zaszła jakaś

dziwna zmiana, coś, czego nie mógł nazwać ani określić — ziemia i niebo przybrały niezwykłą barwę. Jednak nie zastanawiał się nad tym. Przed nim, kołysząc się jak młode drzewko na wietrze, stała młoda kobieta. Jej ciało zdawało się gładkie jak kość słoniowa; oprócz pajęczyny cienkiego welonu była naga jak jutrzienka. Jej drobne, bielsze od śniegu stopy stąpały lekko po białej równinie. I śmiała się z nie wierzącego własnym oczom wojownika śmiechem słodszy niż plusk srebrnej fontanny, choć przepojonym okrutną drwiną.

— Kim jesteś? — spytał Cymeryjczyk. — Skąd przybywasz?

— Co to za różnica? — powiedziała głosem bardziej melodyjnym niż dźwięk srebrnostrunnej harfy, lecz wyostrzonym okrucieństwem.

— Zawołaj swoich ludzi — rzekł ściskając rękojeść miecza. — Choć opuściły mnie siły, nie wezmą mnie żywcem. Widzę, że należysz do Vanirów.

— Czy tak powiedziałam?

Powiódł spojrzeniem po jej niesfornych lokach, które na pierwszy rzut oka wydały mu się rude. Teraz zobaczył, że jej włosy — ani rude, ani złote — były wspaniałą mieszaniną obu barw. Patrzył oczarowany. Te kędziory były jak złoto elfów: słońce lśniło w nich tak oślepiająco, że jego wzrok ledwie mógł znieść ten widok. W jej oczach — trochę niebieskich, trochę szarych — tańczyły światła i chmury kolorów, jakich nie potrafił nawet nazwać. Jej pełne wargi uśmiechały się, a ciało — od drobnych stóp aż po wspaniałą koronę falujących włosów — było bosko piękne, jak ze snu. Serce waliło mu jak młotem.

— Nie mogę rzec — powiedział — czy jesteś z Vanaheimu, a zatem moim wrogiem, czy z Asgardu, a więc przyjacielem. Wiele wędrowałem, lecz nigdzie nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

Blask twoich włosów mnie oślepia. Nigdy nie widziałem takich włosów, nawet u jasnowłosych cór Źsirów. Na Ymira!

— Kimże jesteś, by przysięgać na Ymira? — zadrwiła. — Cóż wiesz o bogach śniegu i lodów, ty, który przybyłeś z południa szukać przygód wśród obcych?

— Na posępnych bogów moich przodków! — zakrzyknął w gniewie. — Chociaż nie jestem złotowłosym Źsirem, nikt lepiej ode mnie nie włada mieczem! Dziś widziałem, jak padło osiemdziesięciu wojowników i tylko ja jeden przeżyłem bitwę, którą rabusie Wulfhere'a stoczyli z wilkami Bragi! Powiedz mi, kobieto, czy widzisz błysk stali na śnieżnej równinie lub zbrojnych mężów podążających po lodowcu?

— Widzę szron błyszczący w słońcu — odparła. — Słyszę wiatr szepczący wśród wieczystych śniegów.

Z westchnieniem potrząsnął głową.

— Niord powinien dołączyć do nas przed bitwą. Obawiam się, że razem ze swoimi zbrojnymi wpadł w zasadzkę. Wulfhere i jego wojownicy leżą martwi... Wojna zagnała nas daleko i myślałem, że na wiele staj wokół nie ma żadnej wioski, ale nie mogłaś przyjść z daleka bez odzienia. Prowadź mnie do swego szczepu, jeśli jesteś z Asgardu, bo osłabłem od ciosów i jestem utrudzony walką.

— Moja wioska leży dalej niż zdołasz dojść, Conanie z Cymerii — zaśmiała się. Pochyliła się nad nim rozkładając szeroko ramiona, przechylając głowę na bok i spoglądając nań zmysłowo iskrzącymi się oczami, na pół przysłoniętymi przez długie, jedwabiste rzęsy.

— O, człowieku, czyż nie jestem piękna?

— Niczym naga jutrenka wstająca wśród śniegów — wymamrotał, a oczy płonęły mu jak wilkowi.

— Więc czemu nie wstaniesz i nie pójdziesz za mną? Cóż to za potężny wojownik, który leży u mych stóp? — powiedziała śpiewnie głosem przepojonym drwiną. — Leż w śniegu i umieraj jak tamci głupcy, Conanie o czarnych włosach! Nie zdołasz dojść tam, dokąd ja podążam.

Conan klnąc dźwignął się na nogi; jego ogorzałą, poznaczoną bliznami twarz wykrzywił grymas wściekłości, a w niebieskich oczach pojawił się groźny błysk. Dzika żądza sprawiła, że krew żywiej popłynęła mu w żyłach i załomotała w skroniach jak młotem. Wezbrało w nim gwałtowne pożądanie, przesywające go jak stalowe ostrze, zasnuwające ziemię i niebo czerwonym oparem.

Ogarnięty szaleństwem zapomniał o zmęczeniu i słabości. Bez słowa wepchnął zbroczony miecz do pochwy i rzucił się na dziewczynę, starając się pochwyć jej miękkie ciało w szeroko rozłożone ramiona. Z szyderczym śmiechem odskoczyła w tył i uciekła, rzucając mu przez ramię drwiące spojrzenia. Z cichym pomrukiem Conan ruszył za nią. Zapomniał o walce, zapomniał o Niordzie i jego wojownikach, którzy nie przybyli na czas. Myślał tylko o tej drobnej, białej postaci zdającej się raczej płynąć niż biec.

Przebiegli przez oślepiająco białą równinę. Zdeptane, czerwone od krwi pobojowisko zniknęło im z oczu, lecz Conan nadal ścigał kobietę z milczącą, właściwą barbarzyńcom wytrwałością. Ciężkimi stopami łamał zmarzniętą skorupę śniegu, wpadał w zasy i z najwyższym trudem przedzierał się przez nie. Dziewczyna biegła tanecznym krokiem, lekko, jak piórko sunące po powierzchni stawu, a jej bose stopy ledwie zostawiały ślad na pokrywanej śnieg szreni. Mimo ognia płynącego w żyłach wojownika, mróz kąsał go przez kolczugę i

podbitą futrem tunikę; lecz dziewczyna w powiewnym welonie biegła lekko i radośnic, jakby tańczyła wśród palm różanych ogrodów Poitainu.

Coraz dalej i dalej wiodła ścigającego ją Conana. Z wyschniętych warg Cymeryjczyka płynął potok paskudnych przekleństw. Zgrzytał zębami, a żyły na jego skroniach nabrzmiały i pulsowały boleśnie.

— Nie ujdiesz! — ryczał. — Zaprowadź mnie w zasadzkę, niech spiętrzę u twych stóp głowy twoich krewniaków! Skryj się przede mną, a wywrócę góry, aby cię odnaleźć! Będę cię ścigał do samego Piekła!

Usłyszał jej doprowadzający do szaleństwa śmiech i piana popłynęła mu z ust. Dziewczyna wiodła go coraz dalej i dalej w pustkowia. Mijały godziny i słońce opadło nad horyzont, wydłużając cienie. Krajobraz zmienił się: rozległe równiny ustąpiły miejsca długim łańcuchom nie kończących się wzgórz. Daleko na północy barbarzyńca dostrzegł wyniosłe górskie szczyty pokryte wiecznymi, niebieskawymi z tej odległości śniegami, zaróżowione promieniami krwawo zachodzącego słońca. Mroczniejące niebo nad nimi przecinały migotliwe promienie zorzy, rozkładające się jak wachlarz ostrzy z zimnego, płomienistego blasku o zmiennych barwach. Przecinane dziwnymi błyskami i światłami niebiosy płonęły. Śnieg skrzył się upiornie: raz niebieskim, raz purpurowym, to znów srebrnym, zimnym blaskiem. Conan zawzięcie brnął naprzód przez to migotliwe, zaczarowane królestwo lodu; w krystalicznym labiryncie gór jedyną realną rzeczą wydawało mu się białe, nagie ciało, wciąż biegnące tuż przed nim.

Nie zastanawiał się nad niezwykłością wydarzeń — nawet wtedy, gdy ujrzał dwie gigantyczne postacie zagradzające mu

drogę. Łuski ich kolczug pobielały od szronu, a hełmy i topory pokrył lód. Śnieg przyprószył im włosy, lód zmienił brody w kryształowe sople, a ich oczy były zimne jak blask spływający z niebios.

— Bracia! — krzyknęła dziewczyna, tańcząc między nimi. — Patrzcie, kto nadchodzi! Przeprowadziłam wam człowieka, abyście go zabili! Wyrwicie mu serce, żebyśmy mogli je dymiące złożyć na stole naszego ojca!

Olbrzymi odpowiedzieli jej rykiem przypominającym zgrzyt kry trącej o skutym lodem brzeg. Unieśli ciężkie, błyszczące w świetle gwiazd topory, lecz oszalały Cymeryjczyk rzucił się na nich, nie bacząc na nic. Oszronione ostrze mignęło mu przed oczami, oślepiając blaskiem; mimo to zadał straszliwy cios i odrąbał napastnikowi nogę w kolanie. Trafiony padł z jękiem i w tej samej chwili piorunujący cios topora drugiego olbrzyma rzucił Conana w śnieg. Ramię zdrętwiało mu na moment, ale kolczuga uratowała mu życie. Na tle zimno płonącego nieba ujrzał przeciwnika unoszącego się nad nim jak kolos wyciosany w lodzie. Topór spadł — i zarył się głęboko w śnieg oraz zamarzniętą ziemię, gdyż Cymeryjczyk w ostatniej chwili przetoczył się na bok i skoczył na nogi. Olbrzym z rykiem wyszarpnął ostrze, lecz miecz Conana już opadł. Pod napastnikiem ugięły się kolana i wolno osunął się w śnieg, poczerwieniały od krwi tryskającej z rozplatanego karku.

Conan odwrócił się i ujrzał stojącą opodal dziewczynę, patrzącą nań ze zgrozą szeroko otwartymi oczyma, z których zniknęła wszelka drwina. Barbarzyńca wydał dziki okrzyk i z miecza, którym potrząsnął w przyływie szalonego gniewu, prysnęły krople krwi.

— Zawołaj resztę swoich braci! — krzyknął. — Rzucę ich serca

wilkom! Nie ujdiesz mi!

Z okrzykiem przerażenia odwróciła się i pomknęła przed siebie. Już się nie śmiała i nie rzucała mu kpiących spojrzeń.

Biegła, lękając się o własne życie. Chociaż wyęczał wszystkie siły, aż krew zdawała się rozsadzać mu skronie i śnieg wirował mu przed oczyma czerwonymi płatkami, wciąż oddalała się od niego, a jej sylwetka malała w sączącym się z nieba blasku, aż stała się nie większą od dziecka, później zaś tańczącym na śniegu, białym płomieniem, aż wreszcie zaledwie niewyraźną plamą. Jednak Conan ścigał ją nadal, zataczając się i zaciskając zęby. Nagle niewyraźna plama zmieniła się w biały płomyk, następnie w postać dziecinnego wzrostu, i po chwili była już tylko sto kroków przed nim. Powoli, krok za krokiem, i ta odległość zmniejszała się.

Dziewczyna biegła teraz z wysiłkiem: słyszał jej szybki, zdyszany oddech, widział rozwiane złote loki i błysk strachu w spojrzeniu, jakie mu rzuciła przez ramię. Zawzięta pogoń barbarzyńcy przyniosła rezultaty. Nogi uciekającej straciły swą chyżość; zaczęła się zataczać.

W nieokiełznanej duszy Cymeryjczyka buchnął piekielny płomień, tak zręcznie przez nią rozdmuchany. Z nieludzkim rykiem dopadł dziewczyny, która odwróciła się krzycząc przeraźliwie i wyciągając ramiona w obronnym geście. Miecz upadł na śnieg — Conan przyciągnął dziewczynę do siebie. Odchyliła gibkie ciało w tył, rozpaczliwie szamocząc się w jego żelaznym uścisku. Złote włosy powiewały wokół jej twarzy, oślepiając go swym blaskiem, a dotyk gibkiego ciała wijącego się w jego okrytych kolczugą ramionach, doprowadzał go do szaleństwa. Wpił się silnymi palcami w jej gładką skórę — była zimna jak lód. Miał uczucie, że ściska kobietę nie z krwi i kości,

ale z parzącego lodu. Odchyłała w bok złocistą główkę, usiłując uniknąć gwałtownych pocałunków, jakie wyciskał na jej pełnych wargach.

— Jesteś zimna jak śnieg — mamrotał oszołomiony. — Chodź, ogrzeję cię ogniem mej krwi...

Z rozpaczliwym okrzykiem wyrwała mu się i odskoczyła, zostawiając w jego ręku cienki jak pajęczyna welon. Spojrzał na jej złote loki rozrzucone w nieładzie, na ciężko falującą białą pierś i błyszczące przerażeniem, piękne oczy. Przez chwilę stał ogarnięty podziwem dla jej straszliwej urody, patrząc na jej nagie ciało wśród śniegów.

Uniosła ramiona ku pełnemu światel niebu i krzyknęła głosem, który na zawsze pozostał mu w uszach:

— Ymirze! O, mój ojciec, ocal mnie!

Conan skoczył wyciągając ręce, aby ją pochwycić, gdy nagle z gromowym trzaskiem pękających lodowców całe niebo stanęło w ogniu. Ciało dziewczyny okrył biały płaszcz płomieni tak oślepiających, że Conan osłonił oczy rękami przed ich nieznośnym blaskiem. Przez krótką chwilę niebiosy i ośnieżone wzgórza oblała poświata trzaskającego białego ognia, błękitnych włócznie mroźnego blasku i zimnych, szkarłatnych płomieni.

Conan zatoczył się z krzykiem. Dziewczyna zniknęła. Skrzący się śnieg leżał pusty i nieruchomy; tylko wysoko w górze, na zimnym niebie szalały ognie. Po odległych, błękitnych górach przetoczył się grom, jak huk olbrzymiego wojennego rydwanu pędzącego za zaprzęgiem koni, których rozszalałe kopyta krzeszały błyskawice śniegu i budziły podniebne echa.

Nagle zorza, okryte śniegiem wzgórza i płonące niebo zatańczyły opętańczo przed oczami Cymeryjczyka. Tysiące błyskawic eksplodowało deszczem iskier i niebo zawirowało,



niczym gigantyczne koło sypiące gwiazdami. Ośnieżone wzgórza zatrzęsły się pod stopami Conana, który osunął się w śnieg i legł nieruchomo.

W ciemnym, zimnym wszechświecie, którego słońce zgasło eony lat wcześniej, Cymeryjczyk poczuł drgnienie życia, obcego i nieodgadnionego. Znajdował się w centrum trzęsienia ziemi, miotany tu i tam; ktoś rozcierał mu ręce i stopy. Conan zaczął jęczeć z bólu i szukać po omacku swego miecza.

— Przychodzi do siebie, Horso — rzekł czyjś głos. — Spieszcie się, musimy wygnać mróz z jego członków, jeśli ma jeszcze kiedyś znów dzierżyć miecz.

— Ma zaciśniętą lewą dłoń — mruknął inny głos. — Coś w niej trzyma...

Conan otworzył oczy i ujrzał brodate, pochylające się nad nim twarze. Otaczali go rośli, złotowłosi wojownicy w kolczugach i futrach.

— Conanie! — powiedział jeden z nich. — Żyjesz!

— Na Kroma, Niord — szepnął Cymeryjczyk. — Jestem żywy, czy też wszyscy spotkaliśmy się w Walhalli?

— Żyjemy — mruknął Asgardczyk, zajmujący się na wpół odmrożonymi stopami Conana. — Musieliśmy wyrąbać sobie drogę z zasadzki, inaczej dołączylibyśmy do was przed bitwą. Kiedy przybyliśmy na pobojuwisko, ciała jeszcze nie ostygły. Nie znaleźliśmy cię wśród zabitych, więc poszliśmy po twoich śladach. Na Ymira, Conanie, dlaczego zapuściłeś się w pustkowie Północy? Godzinami podążaliśmy po twoich śladach. Gdyby zawiąła je zamieć, nigdy byśmy cię nie znaleźli, na Ymira!

— Nie przysięgaj tak często na Ymira — wymamrotał niespokojnie inny wojownik, spoglądając na odległe góry. — To jego kraina i legendy mówią, że bóg czeka swojej pory wśród

tych ośnieżonych szczytów.

— Widziałem kobietę — mówił wciąż zamroczony Conan. — Na równinie potykaliśmy się z ludźmi Bragi. Nie wiem, jak długo walczyliśmy. Tylko ja pozostałem przy życiu. Byłem słaby i oszołomiony. Kraina wokół mnie była jak ze snu — dopiero teraz wszystko wydaje mi się zwykłe i znajome. Ta kobieta przyszła i drwiła ze mnie. Była piękna jak mroźny ogień Piekieł. Kiedy na nią spojrzałem, ogarnęło mnie dziwne szaleństwo i zapomniałem o całym świecie. Goniłem ją. Nie widzieliście jej śladów? Albo olbrzymów w lodowych zbrojach, których zabiłem?

Niord potrząsnął głową.

— Na śniegu znaleźliśmy tylko twoje ślady, Conanie.

— Wobec tego chyba oszalałem — powiedział zdumiony Cymeryjczyk. — Mimo to, nie wydajecie mi się bardziej rzeczywiści, niż ta dziewczka o złotych włosach, która nago uciekała przede mną po śniegu. Już miałem ją w ramionach, gdy zniknęła mi w zimnych płomieniach.

— On majaczy — szepnął jeden z wojowników.

— Wcale nie! — krzyknął stary mężczyzna o dzikim i posępnym spojrzeniu. — To była Atali, córka Ymira, lodowego olbrzyma! Ona przychodzi do martwych na pobojuwiska i ukazuje się umierającym! Sam ją widziałem, gdy jako chłopiec leżałem półżywy na krwawym polu Wolfraven. Ujrzałem ją kroczącą wśród leżących w śniegu trupów; jej nagie ciało lśniło jak kość słoniowa, a złote włosy błyszczały nieznośnym blaskiem w promieniach księżyca. Leżałem i skamlałem jak zdychający pies, bo nie miałem siły, żeby się za nią poczołgać. Ona wabi wojowników w pustkowia, by zabili ich jej bracia — olbrzymi, którzy składają dymiące ludzkie serca na stole Ymira. Cymeryjczyk widział Atali, córkę lodowego olbrzyma.

— Ba! — mruknął Horsa. — Umysł starego Gorma zmąciła otrzymana za młodu rana głowy. Conan majaczył w bitewnym szale — spójrzcie, jaki ma powgniatany hełm. Każdy z tych ciosów mógł zamącić mu w głowie. Pogonił w pustkowia za ułudą. Jest z Południa; cóż on może wiedzieć o Atali?

— Pewnie mówisz prawdę — mamrotał Conan. — To wszystko było takie dziwne i niesamowite... Na Kroma!

Urwał, spoglądając na strzęp materiału zwisający z kurczowo zaciśniętej, lewej dłoni. Pozostali patrzyli w milczeniu na cienki jak pajęczyna welon, jakiego nie uprzedła żadna ziemską kądziel.

**L. SPRAGUE DE CAMP,  
LIN CARTER**

**GNIAZDO LODOWEGO ROBAKA**

*Dręczony wspomnieniem lodowej piękności Atali i znudzony monotonią życia cymeryjskiej wioski, Conan jednie na południe, ku cywilizowanym królestwom, mając nadzieję, że bez trudu zaciągnie się tam jako kondotier na służbę któregoś z hyboryjskich książątek. Ma dopiero 23 lata.*

# 1

Samotny jeździec przez cały dzień pokonywał stoki Gór Eiglofijskich, które rozciągały się ze wschodu na zachód niczym potężny mur śniegu i lodu, oddzielający północne krainy — Vanaheim, Asgard i Hyperboreę — od południowych królestw. W środku zimy większość przełęczy była niedostępna, jednak z nadejściem wiosny znów stawały otworem, pozwalając oddziałom dzikich, jasnowłosych barbarzyńców z północy napadać na cieplejsze, sąsiednie ziemie.

Jeździec był sam. Znalazłszy się na przełęczy wiodącej ku Królestwu Kresowemu i Nemedii ściągnął wodze koniowi i zatrzymał się na chwilę, spoglądając na rozpościerający się przed nim, fantastyczny widok.

Niebo było kopułą ze szkarłatnych i złotych mgieł, ciemniejących od zenitu po horyzont purpurą nadciągającego wieczoru. Jednak wspaniała łuna dogasającego dnia malowała jeszcze zwodniczo białe szczyty gór ciepłą, różaną poświatą. Kładła też gęste, lawendowe cienie na zmrożoną powierzchnię olbrzymiego lodowca, który wił się niczym gigantyczna żmija z dolinki pośród wierzchołków, pełznąc wciąż w dół, by skrócić przy przełęczy i znów odbić w lewo, zaś u stóp gór skurczyć się i zmienić w strugę płynącej wody. Człowiek, który wjechał na przełęcz, musiał ostrożnie podążać skrajem lodowca i żywić nadzieję, że nie wpadnie w żadną ze szczelin i nie zostanie porwany przez lawinę schodzącą ze stoków powyżej. Zachodzące słońce zmieniło lodowiec w lśniący bezmiar szkarłatu i złota.

Skalne zbocza wznoszące się po obu stronach żlebu były usiane sporadycznie rosnącymi, karłowatymi drzewkami.

Jeździec wiedział, że jest na Lodowcu Śnieżnego Diabła, zwanym też Lodową Rzeką Śmierci. Słyszał o tym miejscu, choć w trakcie swych licznych wędrówek jeszcze nigdy tu nie był. Wszystko, co mu mówiono o tej strzeżonej przez lodowiec przełęczy, było przepełnione dziwnym lękiem. Jego ziomkowie, Cymeryjczycy, mieszkający wśród poszarpanych szczytów na zachodzie, mówili o Śnieżnym Diablu ze zgrozą, chociaż nikt nie wiedział dlaczego. Jeździec często zastanawiał się nad legendami związanymi z tym lodowcem, przydającymi mu dziwnej aury odwiecznego zła. Mówiono, że całe oddziały zbrojnych znikają tu bez śladu i na wieki.

Młody Cymeryjczyk imieniem Conan nie zważał na takie pogłoski. Uważał, że zaginięci prawdopodobnie nie mieli wprawy w chodzeniu po górach i nieopatrznie weszli na któryś z wątych, śnieżnych mostów, jakie często maskują lodowe szczeliny. Śnieżny most runął, grzebiąc ich w głębi zielono — błękitnego lodowca. Na Kroma, takie wypadki się zdarzały i niejedynemu towarzyszowi młodości Conana padł ich ofiarą. Jednak nie był to powód, aby mówić o Śnieżnym Diablu z drzeniem w głosie i lękiem w oczach, trwożliwie rozglądając się wokół.

Conan chciał jak najszybciej przebyć przełęcz i zjechać między niskie wzgórza Królestwa Kresowego, ponieważ znużyło go monotonne życie jego rodzinnej, cymeryjskiej wioski. Nieszczęsna wyprawa ze złotowłosymi Żsiramami na Vanaheim przyniosła mu w zysku tylko parę guzów. Ponadto pozostało mu po niej dręczące wspomnienie lodowej piękności Atali — córki lodowego olbrzyma, która wabiła go w śmiertelną pułapkę lodowych pustkowi.

Wszystko to sprawiło, że miał dość posępnej Północy. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do ciepłych krajów Południa, aby znów zakosztować rozkoszy jedwabnych strojów, słodkiego wina, dobrego jadła i miękkiego, kobiecego ciała. Dosyć, powiedział sobie, nudnego, wiejskiego życia i spartańskich niewygód w polu i w obozowisku!

Jego koń sam dotarł do miejsca, gdzie lodowiec krzyżował się ze szlakiem wiodącym prosto ku nizinom. Conan zeskoczył z wierzchowca i poprowadził zwierzę wąską ścieżką między lodowcem po lewej, a wysokim, pokrytym śniegiem stokiem po prawej. Obszerna szuba z niedźwiedziej skóry jeszcze podkreślała szerokie bary młodzieńca. Kryła też kolczugę i ciężki, długi miecz u jego boku.

Pod okapem zwieńczonego rogami hełmu lśniły niebieskie, błyszczące oczy; dolną część twarzy barbarzyńcy zasłaniała chusta chroniąca płuca przed kłusującym na wysokości mrozem. W wolnej ręce młodzieniec niósł długą włócznię. Gdy ścieżka zaczęła się wić po powierzchni lodowca, Conan podwoił ostrożność, dźgając końcem włóczni śnieg w miejscach, gdzie podejrzewał obecność ukrytych szczelin. Przy łuku siodła, na rzemiennej pętli wisiał jego topór.

Cymeryjczyk dotarł do końca wąskiej ścieżki między lodowcem a zboczem, gdzie jęzor lodu skręcał w lewo, a szlak schodził dalej w dół szerokim, łagodnym stokiem, przyprószonym wiosennym śniegiem, pokrywającym głązy i wzgórki. Nagle przeraźliwy okrzyk sprawił, że Conan błyskawicznie odwrócił się i szybko spojrział w górę. ‘

O strzał z łuku w lewo, w miejscu, gdzie lodowiec biegł płasko przed ostatecznym spadkiem w dół, grupka włochatych, niezgrabnych istot otaczała dziewczynę w białym futrze. W

czystym powietrzu nawet z tej odległości Conan zdołał dostrzec łagodny owal twarzy i grzywę lśniących, ciemnoblonde włosów, wymykających się spod białego kaptura. Dziewczyna była prawdziwą piękną.

Nie tracąc czasu na rozważania, Conan zrzucił szubę i używając włóczni jako tyczki, wskoczył na konia. Zebrał wodze i wbił ostrogi w bok rumaka. Gdy zdziwione zwierzę uniosło się lekko na tylnych nogach w gwałtownym skoku, Conan otworzył usta, by wznieść przeraźliwy, donośny okrzyk wojenny Cymeryjczyków — lecz natychmiast je zamknął. Gdyby był młodszy, krzyknąłby, aby dodać sobie odwagi, ale lata służby w turańskiej armii wiele go nauczyły. Po co przedwcześnie ostrzegać przeciwników?

Jednak i tak niebawem go usłyszeli. Chociaż śnieg tłumiał tętent końskich kopyt, cichy szcęk zbroi oraz chrzęst siodła i uprząży sprawiły, że jeden z napastników odwrócił się. Krzyknął i pociągnął sąsiada za ramię tak, że po kilku sekundach wszyscy obrócili się do nadjeżdżającego Conana, szykując się, by stawić mu czoła.

Grupka składała się z około tuzina ludzi gór, uzbrojonych w prymitywne, drewniane maczugi oraz włócznie i topory o kamiennych ostrzach. Dzicy byli krótkonodzy i krępi, poowijani w wystrzępione, brudne futra. Małe, nabiegłe krwią oczka jarzyły im się w głębokich oczodołach pod niskimi czołami; grube wargi odsłaniały wielkie, żółte zęby. Zdawali się być pozostałością jakiegoś wczesnego stadium ludzkiej ewolucji, o której niegdyś dyskutowali w obecności Conana filozofowie na dziedzińcu nemedyskiej świątyni. Jednak teraz Cymeryjczyk był zbyt zajęty koniem i włócznią, by poświęcić takim sprawom więcej niż przelotną myśl. W następnej chwili jak grom runął na



wrogów.

# 2

Conan wiedział, że jedynym sposobem walki z tak przeważającym liczebnie przeciwnikiem jest pełne wykorzystanie ruchliwości, jaką zapewniał mu koń — nieustanne zmiany pozycji, tak, aby nie mogli go otoczyć. Zbroja przez jakiś czas uchroni go przed większością ich ciosów, nawet jeśli swym prymitywnym orężem powalą rumaka. Tak więc podjechał do najbliższego małpoluda, w ostatniej chwili kierując wierzchowca lekko w bok.

Żelazny grot przeszył ciało i kości włochatego stwora, który wrzasnął, upuścił swoją broń i próbował chwycić drzewce włóczni. Impet pędzącego wierzchowca cisnął nim o ziemię. Przód włóczni pochylił się, a tylna część uniosła się ku górze. Przelatując przez rozproszoną grupkę wrogów, Conan wyszarpnął włócznię.

Ludzie gór wydali chóralny wrzask wściekłości. Wymachiwali rękami i wołali do siebie, wykrzykując tuzin sprzecznych rozkazów naraz. W międzyczasie Conan zawrócił konia i pogalopował z powrotem na nieprzyjaciół.

Rzucony oszczep ześliznął się po jego obleczonym w kolczugę ramieniu, inny lekko zranił rumaka w bok. Lecz Cymeryjczyk przebił włócznią następnego przeciwnika i znów odjechał bez uszczerbku, pozostawiając za sobą wijące się w konwulsjach ciało, spryskujące śnieg szkarłatną posoką.

Przy trzeciej szarzy trafiony włócznią mężczyzna padając potoczył się po ziemi, łamiąc drzewce. Conan w pędzie odrzucił

złomek włóczni i ujął w dłoń stylisko wiszącego u siodła topora. Jeszcze raz pognał na wroga, unosząc się w strzemionach. Stalowe ostrze błysnęło w zachodzącym słońcu, gdy topór zatoczył w powietrzu dużą ósemkę — pętlę na lewo i pętlę na prawo. Dwaj następni wrogowie runęli w śnieg z rozplatanymi czerepami. Szkarłatne krople prysnęły na śnieg. Trzeci mężczyzna, który nie zdążył uskoczyć dostatecznie szybko, został obalony i stratowany kopytami wierzchowca.

Skowycząc ze strachu, podniósł się z trudem i kuśtykając zaczął uciekać. W następnej chwili sześciu pozostałych przyłączyło się doń w panicznej ucieczce przez lodowiec. Conan ściągnął wodze, patrząc w ślad za szybko znikającymi w dali postaciami — i natychmiast musiał zeskoczyć z konia, który zadygotał i upadł. Włócznia o krzemiennym grocie wbiła się głęboko w bok zwierzęcia, tuż za lewą nogą Conana. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by stwierdzić, że koń jest martwy.

— Niech mnie Krom skarże za moją głupotę! — warknął do siebie.

W północnych krainach konie były drogie i trudne do zdobycia. Tego rumaka przyprowadził tu aý z Zamory. Przez caur dũugr zimc trzymaũ go w stajni, karmiũ i rozpieszczaũ. Przyũrczajrc siã do Źsirów wyruszajrcych na wyprawc wojennr, zostawiũ go w domu, wiedzrc, ye gućboki unieg i zdradliwy lód uczyniũ go maũo uýytecznym. Liczyũ na to, iy wierny koñ zanie sie go z powrotem do ciepłych krajów, a teraz zwierzę było martwe; to wszystko zaś dlatego, że impulsywnie wtrącił się w sprawy górskiego ludu, które wcale go nie dotyczyły.

Kiedy przestał dyszeć i czerwona mgła bitewnego szału zniknęła mu przed oczu, obrócił się do dziewczyny, w obronie której walczył. Stała kilka stóp dalej, patrząc na niego szeroko

otwartymi oczyma.

— Nic ci nie jest, dziewczyno? — mruknął. — Czy te bestie zrobiły ci krzywdę? Nie bój się, nie jestem twoim wrogiem. Jestem Conan Cymeryjczyk.

Odpowiedziała mu w dialekcie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszał. Zdawało mu się, że to jakieś narzecze hyperborejskie zmieszane ze słowami w innych językach — zarówno w nemedyjskim, jak i takich, których nie znał. Z trudem zrozumiał połowę tego, co chciała powiedzieć.

— Ty walczyć jak bóg — wykrztusiła. — Myślałam... ty Ymir przyjsć ocalić Ilgę.

Gdy ochłonęła, słowo po słowie wyciągnął z niej całą jej historię. Nazywała się Ilga i była z ludu Virunów — hyperborejskiego plemienia, które przywędrowało do Kresowego Królestwa. Jej lud toczył nieustanną wojnę z włóchatymi ludożercami mieszkającymi w jaskiniach Gór Eiglofijskich. W tej surowej krainie bój o przetrwanie był naprawdę zażarty — gdyby Conan jej nie ocalił, dziewczyna zostałaby zjedzona przez tych, którzy ją schwytali.

Dwa dni wcześniej — wyjaśniła — wyruszyła z małym oddziałkiem Virunów ku przełęczy nad Lodowcem Śnieżnego Diabła. Stamtąd zamierzali po kilkudniowej jeździe na północny wschód dotrzeć do Sigtony — najbliższej warowni Hyperborejczyków. Tam mieli krewnych, z którymi pragnęli pohandlować na przednówku. Wuj Ilgi, który jej towarzyszył, chciał również poszukać jej tam dobrego męża. Jednak wpadli w zasadzkę zastawioną przez włóchatych małpoludów i tylko Ilga uszła z życiem ze strasznej bitwy na śliskich zboczach. Ostatnim poleceniem, jakie wydał jej wuj, zanim padł z czaszką rozplataną kamiennym toporem, był nakaz, by gnała jak wichur do domu.

Zanim znalazła się poza zasięgiem wzroku ludzi gór, jej koń pośliznął się na oblodzonej ścieżce i złamał nogę. Udało jej się zeskoczyć z siodła i — choć potłuczona — zaczęła uciekać na piechotę. Jednak włochaci widzieli ten upadek i grupka wojowników ruszyła w dół lodowca, aby ją pochwycić. Zdawało jej się, że uciekała przed nimi całymi godzinami. W końcu dopadli ją i otoczyli, jak to widział Conan.

Cymeryjczyk wymruczał słowa współczucia; jego zapiekła niechęć do Hyperborejczyków wyrosła na gruncie cierpień, których zaznał jako ich niewolnik, nie rozciągała się jednak na ich kobiety. Opowieść dziewczyny była ponura, lecz takie było życie w tych surowych, północnych krainach. Często słyszał podobne historie.

Jednak teraz stanęli przed kolejnym problemem. Zapadała noc, a oni oboje nie mieli koni. Wiatr się wzmaczał i mieli nikłą szansę na przeżycie nocy na lodowcu. Musieli znaleźć jakieś schronienie i rozpalić ogień, inaczej Lodowiec Śnieżnego Diabła zabierze dwie kolejne ofiary.

# 3

Nieco później Conan zasnął. Znaleźli niszę pod nawisem skały z boku lodowca, gdzie lód stopniał na tyle, że zdołali się w nią wcisnąć. Oparci plecami o granitową skałę, mocno podrapani i poobcierani po przeciskaniu się przez szczelinę, znaleźli miejsce, gdzie mogli się wygodnie ułożyć. Przed wgłębieniem wznosił się bok lodowca — przezroczysty lód, poprzecinany labiryntem szczelin. Mimo, iż ciągnący od lodu chłód przeszywał do szpiku kości — i tak było im cieplej, niż byłoby na powierzchni lodowca, gdzie wyjący wicher gnał teraz ciężkie, gęste chmury.

Ilga niechętnie poszła za Conanem, chociaż wyraźnie jej powiedział, że nie zamierza zrobić jej krzywdy. Odpychała jego dłoń, wykrzykując jakieś dziwne słowo brzmiące jak *yakhmar*. W końcu, straciwszy cierpliwość, stuknął ją lekko pięścią w głowę i nieprzytomną zaniósł do wilgotnej jaskini.

Później poszedł po swoją niedźwiedzią szubę oraz ekwipunek i prowiant przytroczony do końskiego siodła. Na skalistym zboczu wznoszącym się na skraju lodowca uzbierał dwa naręcza gałęzi, które zaniósł do jamy. Za pomocą krzesiwa i hubki rozniecił małe ognisko. Dawało raczej złudzenie ciepła, niż naprawdę grzało, bo nie odważył się rozpalić zbyt wielkiego ognia z obawy, iż pobliskie lodowe ściany mogą się stopić i zalać ich schron.

Pomarańczowe błyski ognia penetrowały mrok szczelin i tuneli ciągnących się w głąb lodowca, ich załamania i rozgałęzienia niknące w dali. Conan pochwycił uchem słaby szmer płynącej wody, przerywany od czasu do czasu

trzeszczeniem i skrzypieniem wolno poruszającego się lodowca.

Cymeryjczyk znów wyszedł na mroźny wiatr, aby odrąbać kilka płatów mięsa ze sztywniejącego końskiego kadłuba. Później zaniósł je do jaskini i usmażył, zatknąwszy na końcach zaostrzonych patyków. Końskie steki oraz pajdy razowego chleba z sakwy przy siodle popite cierpkim, asgardzkim piwem z bukłaka z kozłej skóry stanowiły prosty, ale pożywny posiłek.

Jedząc, Ilga wyglądała na zamyśloną. Z początku Conan myślał, że wciąż gniewa się na niego o uderzenie, którym ją ogłuszył. Jednak stopniowo pojął, że myśli o czymś zupełnie innym. Nie była zła, lecz obłądnie przerażona. Nie był to zwykły lęk, jaki czuła przed bandą ścigających ją, kudłatych ludożerców, lecz głęboko zakorzeniony, przesądny strach, w jakiś sposób wiążący się z lodowcem. Kiedy próbował ją o to pytać, nie była w stanie wykrztusić z siebie nic więcej prócz tego dziwnego słowa: *yakhmar*, a jej śliczna twarzączka pobladła i ściągnęła się z przerażenia. Kiedy próbował ją nakłonić, aby wyjaśniła mu, co oznacza to słowo, robiła tylko jakieś dziwne, nic mu nie mówiące gesty.

Po posiłku, ogrzani i zmęczeni, skulili się razem pod niedźwiedzim futrem. „Bliskość jej ciała nasunęła Conanowi myśl, że nieco gorącej miłości mogłoby szybciej ukoić dziewczynę do snu. Zrobiwszy pierwsze delikatne kroki, znalazł ją całkiem chętną. Nie pozostawała też obojętna wobec jego młodzieńczych zabiegów; jak się szybko przekonał, nie była nowicjuską w tej grze. Nim minęła godzina dyszała i krzyczała z rozkoszy w jego objęciach. Potem, sądząc, że zapomniała o strachu, Cymeryjczyk odsunął się i zasnął kamiennym snem.

Jednak dziewczyna nie zasnęła. Leżała nieruchomo, spoglądając w ciemność zalegającą w lodowych jaskiniach za

kręgiem słabego blasku rzucanego przez dogasające ognisko. W końcu, przed świtem, nadeszło to, czego się tak bała.

Dźwięk był słaby i piskliwy — cicha, monotonna melodia rozbrzmiewająca w jej umyśle, aż stała się ona bezradna jak ptak schwyty w sidła. Serce waliło jej w piersi. Nie mogła ani poruszyć się, ani odezwać, by obudzić chrapiącego obok młodzieńca.

Nagle u wylotu najbliższego korytarza w lodzie pojawiły się dwa dyski zimnego, zielonego ognia — dwie wielkie kule wtapiające się w jej młodą duszę i rzucające na nią śmiertelny czar. Za tymi płonącymi oczami nie było myśli ni intelektu — tylko nienasycony głód.

Jak we śnie Ilga wstała, pozwalając niedźwiedziej skórze opaść do swych stóp. Naga, smukła i biała w panujących wokół ciemnościach, weszła w mrok tunelu i zniknęła. Piekielny pisk ścichł i umilkł; zimne, zielone ślepie mrugnęły i zgasły. A Conan spał dalej.



# 4

Zbudził się. Jakieś dziwne przeczucie — ostrzeżenie wysłane przez niezwykle wyostrzone zmysły barbarzyńcy — podrażniło jego nerwy. Niczym czujny, drapieżny kot, Conan w jednej chwili ocknął się z głębokiego snu. Leżał bez ruchu, wszystkimi zmysłami badając otaczającą go ciemność.

Później z głuchym pomrukiem zerwał się na równe nogi i stwierdził, że jest sam w jaskini. Dziewczyna zniknęła. Jednak jej futra, które zrzuciła w trakcie miłosnych igraszek, nadal tu były. Conan ściągnął brwi w gniewnym grymasie. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu, niewidzialnymi palcami drażniąc końce jego nerwów.

Pospiesznie ubrał się i przypasał broń. Z toporem w rękę przecisnął się przez wąską przestrzeń między nawisem a bokiem lodowca. Na zewnątrz wiatr już ucichł. Chociaż Conan czuł w powietrzu nadchodzący świt, jeszcze żaden promień poranka nie przyćmił diamentowego blasku tysięcy pulsujących mu nad głową gwiazd. Nad szczytami na zachodzie wisiał sierp księżyca, rzucając bladozłotą poświatę na śnieżne przestrzenie.

Conan potoczył wokół bystrym spojrzeniem. Na śniegu wokół wejścia do jamy nie dostrzegł żadnych śladów stóp czy walki. Z drugiej strony wydawało się nieprawdopodobne, by Ilga nago powędrowała w głąb labiryntu szczelin i tuneli, gdzie marsz, nawet w butach podkutych gwoździemi, był niemal niemożliwy, a każdy fałszywy krok mógł się skończyć upadkiem w jeden z tych zimnych strumieni stopionego lodu, płynących po dnie

lodowca.

Niesamowite zniknięcie dziewczyny sprawiło, że Conanowi włosy na głowie stanęły dęba. Pozostając w głębi duszy przesądnym barbarzyńcą, nie obawiał się żadnej śmiertelnej istoty, lecz niesamowite, nieziemskie stwory i moce kryjące się w mrocznych zakamarkach jego prymitywnego świata wprawiały go w przerażenie.

Wciąż rozglądał się wokół i nagle drgnął. Najwidoczniej niedawno coś wynurzyło się z dziury w lodzie, kilka kroków od nawisu. Było ogromne, długie, miękkie i przedziwne — nie poruszało się za pomocą nóg. Widać było niewyraźny, kręty szlak, jaki brzuch tego stwora pozostawił w miękkim puchu — niczym jakiś potworny, śnieżny wąż.

Zachodzący księżyc świecił słabo, lecz wyostrzony w głąszy wzrok Conana z łatwością czytał ślad. Trop wiódł w górę, między śnieżnymi pagórkami i sterczącymi głazami, ku smaganym wichrem szczytom. Cymeryjczyk nie wątpił, że to coś zabrało dziewczynę.

Niczym czarny, zwalisty, okryty futrem cień poszedł tym tropem, mijając miejsce, gdzie leżał jego zabity koń. Teraz ze ścierwa pozostało zaledwie parę kości. Wśród resztek dojrzał ślad stwora, jednak bardzo niewyraźny, bo zawiany śniegiem. Nieco dalej odnalazł dziewczynę — a raczej to, co z niej zostało. Nie miała głowy i większej części tułowia, a w blasku gasnącego księżyca białe kości lśniły jak kość słoniowa. Były oczyszczone z ciała tak dokładnie, jakby zostało ono rozpuszczone lub zlizane przez jakiś ogromny, chropowaty jęzor.

Conan był wojownikiem, twardym synem twardego ludu, który widział śmierć w tysiącu różnych postaci. Jednak teraz ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Kilka godzin temu ta

smukła, miła dziewczyna leżała w jego ramionach, odwzajemniając pieszczoty. Teraz zostały z niej tylko okaleczone, bezgłowe szczątki, jak po lalce, zepsutej i odrzuconej w kąt.

Cymeryjczyk zmusił się do obejrzenia zwłok. Z pomrukiem zdziwienia stwierdził, że były zamrożone na kamień i pokryte skorupą twardego lodu.

# 5

Conan zmrużył oczy w zadumie. Ilga nie mogła wstać z posłania wcześniej niż godzinę temu, bo kiedy się obudził, szuba zachowała ciepło jej ciała. W tak krótkim czasie ciepłe ciało nie zamarza na kamień, nie mówiąc już o tym, że nie pokrywa się lodem. To było niezgodne z naturą.

Nagle zaklął. Ogarnęła go odraza i wściekłość, gdyż wiedział już, co porwało śpiącą u jego boku dziewczynę. Przypomniał sobie na pół zapomniane legendy opowiadane wokół ognisk w czasach jego dzieciństwa. Jedna z nich mówiła o straszliwym potworze śniegów, ponurej Remorze — wampirze lodów, której imię wymawiano szeptem i ze zgrozą.

Conan wiedział, że wszystkie zwierzęta wydzielają ciepło. Te znajdujące się na niższych szczeblach rozwoju, okryte łuską lub pancerzem, gady i ryby, miały temperaturę otoczenia. Jednak Remora — robak śnieżnych krain — wydawała się być jedynym stworzeniem wydzielającym zimno — a przynajmniej tak by to wyobraził Conan. Emanowała przejmującym chłodem, który w ciągu kilku minut mógł pokryć zwłoki pancerzem z lodu. Ponieważ żaden ze współplemieńców Conana nie twierdził, że kiedykolwiek widział Remorę, barbarzyńca uznał, iż stworzenie to już dawno umarło.

Zatem to musiał być potwór, którego obawiała się Ilga, i przed którym daremnie próbowała go ostrzec słowem *yakhmar*. Conan postanowił pójść śladem potwora do jego legowiska i zabić go. Sam niezbyt sobie uświadamiał motywy swojego postępowania.

Jednak mimo całej swej młodzieńczej gwałtowności i dzikiego, niepohamowanego temperamentu, Cymeryjczyk miał własne, prymitywne poczucie honoru. Lubił dotrzymywać słowa i wypełniać dobrowolnie podjęte zobowiązania. Mimo iż nie uważał się za rycerskiego bohatera bez skazy, traktował kobiety z szorstką uprzejmością, kontrastującą z bezwzględnym okrucieństwem, jakie okazywał wobec nieprzyjaciół. Nigdy siłą nie narzucał swojej miłości kobietom i starał się nimi opiekować, jeśli były od niego zależne.

Teraz uważał, że zawiódł. Akceptując jego miłosne zabiegi, Ilga oddała się pod jego opiekę. A kiedy najbardziej go potrzebowała, on spał jak zabity. Nie wiedząc o hipnotycznym, piskliwym dźwięku, jakim Remora paraliżowała ofiary i jakim uspiła zazwyczaj bardzo czujnie śpiącego barbarzyńcę, Conan klął swoją głupotę i ignorancję, przez które nie zwrócił należytej uwagi na ostrzeżenia dziewczyny. Zgrzytnąwszy zębami i zagryzłszy wargi ze złości, postanowił zetrzeć tę plamę na swoim honorze, nawet gdyby miało go to kosztować życie.

Kiedy niebo na wschodzie pojaśniało, Cymeryjczyk wrócił do jaskini. Związał swoje rzeczy w węzełek i ułożył plan działania. Kilka lat wcześniej popędziłby śladem lodowej larwy wierząc, że niespożyta siła i ostry miecz pozwolą mu wyjść cało z każdej opresji. Jednak nabyte doświadczenie, nawet jeśli nie wykorzeniło wszystkich pierwotnych odruchów, nauczyło go mimo wszystko pewnej rozwagi.

Z lodowym robakiem nie można było walczyć gołymi rękami. Samo dotknięcie tego stworzenia oznaczało śmierć przez zamrożenie. Nawet miecz i topór miały ograniczoną skuteczność. Potworne zimno mogło skruszyć metal lub też przenieść się po rękojeści i zamrozić rękę, która ją dzierżyła.

Jednak — i tu na wargach Conana pojawił się posępny uśmiech — może uda mu się obrócić siłę robaka przeciwko niemu samemu.

Szybko i cicho dokończył przygotowania. Nażarta larwa niewątpliwie śpi. Ale Cymeryjczyk nie wiedział, ile czasu zajmie mu dotarcie do jej legowiska i obawiał się, że następna zamieć może zasypać kręty ślad potwora.

# 6

Okazało się, że odnalezienie legowiska lodowego robaka zajęło Conanowi nieco ponad godzinę. Wschodzące słońce zaledwie zdążyło wznieść się nad szczyty Gór Eiglofijskich sprawiając, że śnieżne pola skrzyły się jak wybrukowane kruszonymi diamentami, gdy barbarzyńca w końcu stanął przed wylotem lodowej jaskini, do której prowadził ślad na śniegu. Otwór znajdował się w ścianie mniejszego lodowca, połączonego ze Śnieżnym Diabłem. Stojąc na wzniesieniu, Conan widział cały stok w dole i miejsce, gdzie ten mniejszy lodowiec skręcał, aby złączyć się z głównym, niczym dopływ rzeki.

Cymeryjczyk wszedł do tunelu. Promienie wschodzącego słońca błyszcząły i odbijały się od przezroczystych, lodowych ścian po obu stronach, załamując się w tęczowe wzory i wielobarwne rozbłyski. Miał wrażenie, że w jakiś magiczny sposób kroczy przez twarde wnętrze kolosalnego klejnotu.

Później, gdy wszedł w głąb lodowca, otoczyła go ciemność. Mimo to parł naprzód, ostrożnie stawiając krok za krokiem. Postawił kołnierz niedźwiedziej szuby, chroniąc się przed przenikliwym zimnem, jakie go otaczało. Sprawiało ono, że bolały oczy i zmuszało do nabierania tchu krótkimi, płytkimi oddechami, by nie odmrozić sobie płuc. Kryształki lodu osiadały na jego twarzy — jak delikatna maska, łamiąca się przy każdym ruchu mięśni i tworząca się na nowo. Jednak szedł dalej, mocno trzymając owinięty starannie w futra węzełek.

Nagle w mroku przed sobą ujrział dwoje zimnych, zielonych

ślepi, zdających się wwiercać w najgłębsze zakamarki jego duszy. Te świetliste kule rzucały swój własny, jakby rozchodzący się pod wodą blask. W ich słabej poświacie, podobnej do fosforescencji spróchniałego drewna, młodzieniec dostrzegł, że jaskinia kończyła się głęboką studnią, która była legowiskiem lodowego robaka. Zwój za zwojem, jego ogromne cielsko spoczywało zwinięte w zagłębieniu tego gniazda. Pozbawione kości ciało pokrywał jedwabisty puch gęstego, białego futra. Paszcza była jedynie bezzębnym, owalnym otworem, teraz zamkniętym i wybrzuszonym. Nad tym pyskiem, w gładkiej, zaokrąglonej, nieforemnej głowie błyszcząły dwa świetliste ślepie.

Nażarta, lodowa larwa potrzebowała kilku chwil, aby zareagować na obecność intruza. W czasie niezliczonych eonów, jakie stwór przeżył w mroźnej ciszy Lodowca Śnieżnego Diabła, żaden człowiek nigdy nie zagroził mu w jego własnym legowisku. Teraz Conan usłyszał niesamowity, melodyjny, hipnotyzujący pisk, napływający niepohamowanymi falami, usypiającymi jak narkotyki.

Jednak było już za późno. Barbarzyńca odwinął futra i wydobył niesiony w nich przedmiot. Był nim jego ciężki, stalowy asgardzki hełm zwieńczony rogami, napakowany rozżarzonymi węglami z ogniska, w których tkwiło ostrze topora, przymocowanego rzemieniem owiniętym wokół rękojeści do zapinki. Stylisko topora i pasek hełmu były związane wozkami zdjętymi z martwego wierzchowca.

Trzymając koniec wozki w jednej ręce, Conan rozkręcił ciężar nad głową, obracając nim jak procą. Pęd powietrza rozżarzył tłące się węgle do czerwoności, a następnie do białości. W powietrzu rozszedł się swąd palonego rzemienia.

Lodowy robak podniósł tępo ścięty łeb. Powoli otwarł owalną



paszczę, ukazując rząd małych, zagiętych do środka zębów. Gdy piskliwy dźwięk stał się nie do zniesienia, a czarny owal pyska zaczął się przybliżać do Cymeryjczyka, ten przestał kręcić hełmem młynka w powietrzu. Wyrwał z płonących węgli rozżarzony do czerwoności topór i błyskawicznym ruchem cisnął nim w rozdziawioną paszczę. Chwyciwszy hełm za jeden z rogów, Conan rzucił go w ślad za toporem. Potem odwrócił się i pobiegł ile sił w nogach.

Conan nigdy nie zdołał sobie potem przypomnieć, jak dotarł do wyjścia. Konwulsyjne podrygi lodowego potwora wstrząsały lodowcem. Lód wokół barbarzyńcy pękał z gromowym trzaskiem. Z tunelu nie wydobywał się już powiew nieziemskiego chłodu — zamiast niego w powietrzu rozeszły się duszące kłęby oślepiającej, białej pary.

Potyając się, ślizgając i padając na śliskiej, nierównej powierzchni tunelu, obijając się o ściany, Conan w końcu dotarł do wyjścia. Lodowiec pod jego stopami dygotał, wstrząsany konwulsjami zdychającego potwora. Pióropusze pary trysnęły z licznych szczelin i otworów po obu stronach Cymeryjczyka, który ślizgając się i zataczając biegł w dół ośnieżonego zbocza. Kierował się w bok, chcąc jak najszybciej zejść z lodowca. Jednak zanim dotarł na stały grunt, między poszarpane skały i karłowate drzewka, lodowa skorupa eksplodowała. Gdy rozżarzona do czerwoności stal topora zetknęła się z zimnym wnętrzem lodowej larwy, coś musiało się stać.

Z ogłuszającym hukiem lód zatrzęsł się, pękł, wyrzucił w powietrze tysiące szklistych odłamków i zapadł się, tworząc bezładne rumowisko lodu i wody, szybko skryte przez ogromną chmurę pary. Conan stracił równowagę, upadł, potoczył się, przejechał kilka metrów po lodzie i z trzaskiem wyrznął w głąz

na skraju lodowca. Śnieg zatkał mu usta i zalepił oczy. Ogromny serak wywrócił się i rąbnął w głaz, pod którym leżał, niemal grzebiąc go pod odłamkami lodu.

Na pół ogłuszony, Conan wygramolił się spod pryzmy odłamków. Mimo iż — ostrożnie poruszywszy kończynami — stwierdził, że ma wszystkie kości całe, był tak poobijany, jakby stoczył bitwę. W miejscu, gdzie znajdowało się legowisko lodowego robaka, teraz ział czarny krater, nad którym unosiła się ogromna chmura pary oraz wirujących kryształków lodu. Ze wszystkich stron spływały doń strugi błota i wody. Cały kawał lodowca otaczającego krater zapadł się.

Stopniowo wszystko wracało do normy. Zimny, górski wiatr rozwiewał kłęby pary. Woda ze stopionego lodu znów zamarzła. Lodowiec ponownie znieruchomiał.

Potłuczony i zmęczony Conan pokuśtykał ku przełęczy. Kulejąc, musiał teraz dotrzeć do Nemedii lub Ophiru, dopóki nie zdoła kupić, wyprosić, pożyczyć lub ukraść innego wierzchowca. Jednak szedł z lekkim sercem, zwracając posiniaczoną twarz na południe — ku złotym krainom, gdzie wspaniałe miasta wznosiły swe smukłe wieże do ciepłego słońca i gdzie silny, odważny mężczyzna przy pewnej dozie szczęścia mógł zdobyć złoto, wino i miękkie kobiety o pełnych piersiach.

>

**ROBERT E. HOWARD**

**KRÓLOWA CZARNEGO WYBRZEŻA**

*Conan wraca do królestw hyboryjskich i zostaje kondotierem na służbie Nemedii , Ophiru , a w końcu Argos. W tym ostatnim państwie drobne nieporozumienie z przedstawicielami prawa zmusza go do wejścia na pokład pierwszego wypływającego z portu statku. Cymeryjczyk ma prawie dwadzieścia cztery lata.*

**CONAN PRZYSTĘPUJE DO PIRATÓW**

*Jak pąk zielony, co z wiosną się budzi,  
Dając liść malowany przez ognie jesieni,  
Tak me serce czyste dla jednego z ludzi  
Trawił żar bezlitosny miłości płomieni.*  
— *PIEŚŃ O BELIT*

Kopyta zatętniły na ulicy stromo schodzącej ku nabrzeżom. Rozpierzchający się z wrzaskiem mieszkańcy przez krótką jak mgnienie oka chwilę dostrzegli odzianą w pancerz postać na czarnym ogierze, w obszernym, rozwianym na wietrze, szkarłatnym płaszczu. Daleko w tyle po ulicy niosły się krzyki i hałas pogoni, lecz jeździec nie odwrócił się. Wypadł na nabrzeże i osadził rozpędzonego wierzchowca na samym skraju przystani. Żeglarze, stawiający szeroki, pasiasty żagiel na pękatej galerze o wysokich burtach, rozdziawili usta ze zdumienia. Szyper, krępy i czarnobrody, stał na dziobie, bosakiem odpychając statek od pali, a gdy jeździec ześliznął się z siodła i jednym długim susem przeskoczył na śródokręcie, wykrzyknął ze złością:

— Kto cię prosił na pokład?

— Odbijaj! — ryknął intruz, popierając te słowa gwałtownym machnięciem ogromnego miecza, z którego prysnęły czerwone krople.

— Ale my zmierzamy do wybrzeży Kush! — protestował szyper.

— Zatem płynę do Kush! Odbijaj, mówię! — rzekł tamten, rzucając szybkie spojrzenie na ulicę, którą galopował oddział

jeźdźców; daleko za nimi truchtała gromada piechurów, każdy z kuszą na ramieniu.

— A masz czym zapłacić? — dopytywał się szyper.

— Zapłacę ci moją stalą! — ryknął mężczyzna w zbroi, potrząsając wielkim mieczem, który zimno błysnął w słońcu. — Na Kroma, człowieku, jeżeli ta galera zaraz nie odpłynie, to skąpię pokład we krwi jej załogi!

Szyper znalazł się na ludziach. Jedno spojrzenie na smagłą, pokrytą bliznami twarz obcego, zastygłą w gniewnym grymasie i rzucił gromki rozkaz, jednocześnie mocno odpychając statek od pali mola. Galera wypłynęła na głębszą wodę i wiosła zaskrzypiały rytmicznie; wreszcie podmuch wiatru wypełnił obwisły żagiel. Lekki statek przechylił się pod tym podmuchem, a potem jak łabędź ruszył swoim kursem, coraz prędzej ślizgając się po falach.

Na nabrzeżu jeźdźcy potrząsali mieczami, wygrażając i krzykiem wzywając szypra, aby natychmiast zawrócił oraz ponaglając kuszników, by się pospieszyli, zanim galera znajdzie się poza zasięgiem ich bełtów.

— Niech się pieklą — wojownik skrzywił twarz w uśmiechu. — Trzymaj ją na kursie, sterniku!

Szyper zeskoczył z dziobu, przeszedł między rzędami wioślarzy i wszedł na śródkręcie. Nieznajomy stał tam oparty plecami o maszt, czujnie spoglądając wokół zwięzonymi oczyma i z mieczem gotowym do ciosu. Żeglarz zmierzył go przeciągłym spojrzeniem, przezornie trzymając ręce z daleka od zatkniętego za pasem kordelasa. Miał przed sobą rosłą, potężnie zbudowaną postać w czarnym, łuskowatym półpancerzu, oksydowanych nagolennikach i hełmie z błękitnej stali, z którego sterczały wypolerowane, bycze rogi. Z okrytych zbroją ramion spływał

szkarłatny płaszcz, rozwiany na wietrze. Spięty złotą klamrą szeroki pas z rekiniej skóry przytrzymał pochwę miecza. Pod rogatym hełmem czarna grzywa równo przyciętych włosów kontrastowała z błękitem gorejących oczu.

— Jeżeli już mamy razem podróżować — powiedział szyper — to równie dobrze możemy to uczynić w pokoju. Ja jestem Tito, licencjonowany mistrz żeglarskiego kunsztu z portów Argos. Zmierzam do Kush, aby wymieniać z czarnymi królami paciorki, jedwabie, cukier oraz miecze o mosiężnych rękojeściach na kość słoniową, koprę, rudę miedzi, niewolników i perły.

Wojownik obejrzał się na szybko znikające w oddali doki, gdzie maleńkie ludzkie postacie wciąż bezsilnie wymachiwały rękami, najwyraźniej daremnie próbując znaleźć łódź na tyle szybką, aby mogła doścignąć chyżo żeglującą galerę.

— Jestem Conan, Cymeryjczyk — odparł. — Przybyłem do Argos w poszukiwaniu zajęcia, jednak skoro nie toczą się tu żadne wojny, nie znalazłem dla siebie niczego, do czego warto byłoby przyłożyć rękę.

— Dlaczego ścigają cię strażę? — spytał Tito. — Co prawda to nie mój interes, lecz myślałem, że może...

— Nie mam nic do ukrycia — odparł Cymeryjczyk. — Na Kroma, chociaż spędziłem szmat czasu pośród was, cywilizowanych ludzi, nadal nie pojmuję waszych obyczajów. Zeszłej nocy, w tawernie, kapitan królewskiej gwardii chciał siłą odbić ukochaną młodemu żołnierzowi, który, oczywiście, przebił go mieczem. Jednak wygląda na to, że jakieś przekłete prawo nie zezwala zabijać gwardzistów i chłopak z dziewczyną umknęli. Rozeszła się wieść, że widziano mnie z nimi, więc dziś rano zawleczono mnie do sądu i sędzia pyta, gdzie podział się ten młodzik. Odparłem, że ponieważ jest moim przyjacielem, nie

mogę go wydać. Wtedy sąd zawrzał gniewem, a sędzia zaczął głądzić o moich obowiązkach względem państwa, społeczeństwa i o innych rzeczach, których nie pojmuję i kazał mi wyznać, dokąd uciekł mój przyjaciel. Do tej pory zdążyłem się już rozzłościć, bo przecież wyjaśniłem moje stanowisko. Jednak powściągnąłem gniew i zachowałem spokój, zaś sędzia piszczy, że zlekceważyłem sobie sąd, mam być wtrącony do lochu i gnić tam, dopóki nie wydam przyjaciela. Wtedy — widząc, że wszyscy oni postradali rozum, dobyłem miecza i rozplątałem sędziemu czaszkę; potem wyrąbałem sobie drogę z sali i ujrzawszy uwiązanego w pobliżu ogiera dowódcy gwardii, dosiadłem go i pognałem ku nabrzeżom, gdzie zamyślałem znaleźć statek zmierzający do obcych krajów.

— No cóż — rzekł niechętnie Tito — sądy zbyt wiele razy oszukały mnie w procesach z bogatymi kupcami, abym miał je darzyć miłością. Będę musiał odpowiedzieć na wiele pytań, jeśli kiedyś znów zawinę do tego portu, ale mogę dowieść, iż działałem pod przymusem. Możesz więc schować swój miecz. Jesteśmy spokojnymi żeglarzami i nic nam do ciebie. Ponadto dobrze mieć na pokładzie takiego wojownika jak ty. Chodź do rufówki, wychylimy po kuflu piwa.

— W to mi graj — ochoczo przystał Cymeryjczyk, chowając miecz do pochwy.

„Argus” był małą, silną galerą, podobną do wielu innych handlowych jednostek, jakie krążyły między portami Zingary i Argos a południowymi wybrzeżami, trzymając się brzegu i rzadko wyruszając na otwarte morze. Miał wysoką rufę i zadarty, wygięty dziób; szeroki pokład wdzięcznie zwężał się na obu końcach. Za ster służyło długie wiosło na rufie, a ożaglowanie składało się z wielkiego, pasiastego żagla z

jedwabiu, wspomaganego przez kliwer. Wioseł używano głównie przy wychodzeniu z ujść rzek i zatok oraz w czasie ciszy. Było ich dziesięć na każdej burcie, pięć od dziobu i pięć od rufy, po obu stronach małego pokładu. Najcenniejszą część ładunku przymocowano pod śródpokładem i pod pokładem dziobowym. Ludzie spali na pokładzie lub między ławkami wioślarzy, osłanianymi, w razie złej pogody, baldachimami. Załogę stanowiło dwudziestu ludzi przy wiosłach, trzech przy sterze i szyper.

Tak więc „Argus” miarowo sunął na południe, korzystając z dość sprzyjającej pogody. Z dnia na dzień słońce prażyło coraz mocniej i porozciągano baldachimy — jedwabne, pasiaste płachty pasujące do kolorowego żagla i lśniących złocień na dziobie i nadburciach.

Wreszcie ujrzeli brzegi Shemu — rozległe, pagórkowate łąki z widocznymi w oddali białymi szczytami miejskich wież, z jeźdźcami o czarnych brodach i haczykowatych nosach, którzy siedząc na swych rumakach, podejrzliwie spoglądali na galerę. Nie rzucano kotwicy; handel z gwałtownymi i ostrożnymi synami Shemu przynosił niewielkie zyski.

Mistrz Tito nie wpłynął również do zatoki rozciągającej się w miejscu, gdzie rzeka Styks wlewa swe ogromne masy wody do oceanu, a nad błękitem wód wznoszą się potężne, czarne fortece Khemi. Nieproszone statki rzadko zawijały do tego portu, gdzie smagłokórzy czarnoksiężnicy wypowiadali straszliwe zaklęcia w oparach ofiarnego dymu, wznoszącego się nieustannie z zakrwawionych ołtarzy, na których wrzeszczały nagie kobiety i gdzie Set, Stara Żmija, arcydemon dla Hyboryjczyków, ale bóg dla Stygijczyków, ukazywał — jak mówiono — lśniące sploty tłumom swych wyznawców.



Mistrz Tito ominął szerokim łukiem te senne, kryształowo czyste wody, choć zza strzeżonego przez fort cypla wyskoczyła gondola o dziobnicy w kształcie żmii i nagie, smagłoskóre kobiety z czerwonymi kwiatami we włosach przyzywały jego żeglarzy, przybierając wyzywające pozy.

Później nie widzieli już żadnych wież w głębi lądu. Minęli południowe granice Stygii i płynęli wzdłuż wybrzeży Kush.

Morze i życie na morzu stanowiło niezgłębioną tajemnicę dla Conana, którego ojczyzna leżała wśród wysokich wzgórz północnych wyżyn. On sam budził nie mniejsze zainteresowanie krzepkich żeglarzy, z których niewielu widziało wcześniej człowieka jego rasy.

Byli typowymi argijskimi marynarzami o niskiej, lecz krępej budowie ciała. Conan górował nad nimi wzrostem i bez trudu mógł pokonać dwóch najsilniejszych z nich na raz. Byli twardzi i zawzięci, lecz nie mogli sprostać jego wytrzymałości i wilczej żywotności, stalowym mięśniom i zmysłom wyostrzonym przez trudy życia pędzonego w dziczy. Był skory do śmiechu, ale straszny w gniewie. Jadł za trzech i lubił mocne trunki, co było jego słabostką. Pod wieloma względami naiwny jak dziecko, nienawykły do wyrafinowania cywilizacji, odznaczał się jednak wrodzoną inteligencją i zazdrośnie strzegł swoich praw, niebezpieczny jak wygłodniały tygrys dla tych, którzy weszli mu w drogę. Młody wiekiem, zahartował się w trakcie licznych wojen i długich wędrówek, których historię zdradzał jego wygląd. Nosił rogaty hełm z rodzaju tych, jakich używali zùotowùosi Źsirowie z Nordheimu, pancerz i nagolenniki byùu dzieùem najprzedniejszych pùatnerzy z Koth, mocnr kolczugù, opinajrùcù jego ramiona i nogi, wykonano w Nemedii, u boku miaù wielki, akwiloński miecz, zaù wspaniaùu, szkarùatny

płaszcz nie mógł zostać utkany nigdzie poza Ophirem.

I tak płynęli na południe, aż Mistrz Tito zaczął wypatrywać otoczonych wysoką palisadą wiosek czarnych ludzi. Jednak na brzegu jednej z zatok znaleźli tylko dymiące zgliszcza i stosy nagich, czarnych ciał. Tito zaklął siarczyście.

— Niegdyś dobrze się tu handlowało. To robota piratów.

— A jeśli ich spotkamy? — spytał Conan, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Mój statek to nie okręt wojenny. Będziemy uciekać, a nie walczyć. Jeśli jednak dojdzie do starcia, to już kiedyś odparliśmy rabusiów i możemy to zrobić znowu; chyba, że będzie to „Tygryska” Belit.

— Kim jest Belit?

— Wcieloną diabolicą. Jeżeli dobrze odczytałem ślady, to jej rzeźnicy zniszczyli wieś nad zatoką. Obym kiedyś ujrzał, jak zawiśnie na stryczku! Nazywają ją królową Czarnego Wybrzeża. To shemicka kobieta dowodząca czarnymi piratami. Nękają kupieckie statki i wiele z nich posłali już na dno.

Spod pokładu na rufie Tito wydobył pikowane kaftany, stalowe hełmy, łuki i strzały.

— Opór nie na wiele się zda, jeśli nas dopadną — mruknął. — Ale dusza się wzdraga przed oddaniem życia bez walki.

Słońce dopiero zaczynało wschodzić, gdy wachta krzyknęła ostrzeżenie. Zza długiego cypla wyspy na sterburcie wysunęła się smukła, złowroga sylwetka długiej galery o wysokim pokładzie, biegnącym od dziobu po rufę. Czterdzieści par wiosł szybko niosło ją po wodzie, a przy nadburciach roilo się od nagich, czarnych postaci, które śpiewały i łomotały włóczniami w owalne tarcze. Na maszcie powiewał długi, purpurowy proporzec.

— Belit! — wrzasnął pobladył Tito. — Yare! Ster lewo na burt! Do ujścia tego potoku! Jeżeli zdążymy dobić do brzegu zanim nas dopadną, może zdołamy ujść z życiem!

Ostro skręciwszy, „Argus” pomknął w kierunku przyboju tłukącego o porośnięty palmami brzeg, a Tito, biegając tam i z powrotem, zachęcał zdyszanych wiosłarzy do większego wysiłku. Broda szypra zjeżyła się, a oczy płonęły.

— Dajcie mi łuk — zażądał Conan. — Nie uważam tej broni za oręż godny mężczyzny, ale uczyłem się łucznictwa od Hyrkańczyków i źle by o mnie świadczyło, gdybym nie zdołał naszpikować jednego czy dwóch na tamtym pokładzie.

Stojąc na rufie patrzył, jak węzokształtny okręt wrogów lekko ślizga się po falach. Nawet dla nie obeznanego z żeglarstwem Conana było oczywiste, że „Argus” nie może zwyciężyć w tym wyścigu. Strzały, wysyłane z pokładu pirackiego statku, z sykiem padały w morze nie dalej niż dwadzieścia kroków za rufą galery.

— Lepiej stawmy im czoła — warknął Cymeryjczyk — albo wszyscy zginiemy ze strzałami w plecach, nie zadawszy nawet jednego ciosu!

— Mocniej, psy! — ryknął Tito, wściekle wygrażając pięścią. Brodaci wiosłarze pomrukiwali, napierając na wiosła, aż pod skórą zagrały im węzły mięśni i pot kroplami spływał im po skórze. Popychana uderzeniami wiosł mała, dzielna galera skrzypiała i trzeszczała we wszystkich wiązaniach, niemal skacząc po wodzie. Wiatr ucichł; żagle obwisły. Nieubłagani piraci zbliżali się coraz bardziej i jeszcze dobra mila dzieliła uciekających od zbawczego brzegu, gdy jeden ze sterników krztusząc się wypadł za burtę, z długą strzałą sterczącą mu z karku. Tito skoczył, by zająć jego miejsce, a Conan, wparłszy szeroko rozstawione nogi w rozkołysany pokład rufowy, uniósł

łuk. Teraz widział dokładnie piracki statek. Wioślarzy chronił rząd tarcz umieszczonych wzdłuż burt, lecz płasający na wąskim pokładzie wojownicy byli widoczni jak na dłoni. Wymalowani i przybrani piórami, przeważnie nadzy, potrząsali włóczniami i barwnymi tarczami.

Na pomoście znajdującym się na dziobie stała smukła postać, której biała skóra ostro kontrastowała z lśniącem hebanem otaczających ją ciał. Niewątpliwie była to Bęlit. Conan przyciągnął cięciwę do ucha — lecz jakiś kaprys lub skrupuły powstrzymały go i sprawiły, że w ostatniej chwili zmienił zamiar i posłał strzałę w pierś stojącego u boku kobiety, wysokiego oszczepnika w pióropuszu.

Cał po cał u rozbójnicza galera doganiała mniejszy statek. Deszcz strzał spadł na pokład „Argusa” i rozległy się głośnie jęki trafionych. Wszyscy sternicy polegli, naszpikowani strzałami i Tito samotnie dzierżył wielkie wiosło, klnąc zawzięcie pod nosem i wpierając w pokład muskularne nogi. Nagle zakrztusił się i padł ze strzałą w męznym sercu. „Argus” zszedł z kursu i wpadł w dryf. Załoga wydała okrzyk przerażenia, a Conan objął dowodzenie w charakterystyczny dla siebie sposób.

— Śmiało, chłopcy! — ryknął, zwalniając cięciwę, która brzęknęła zjadliwie. — Bierzcie broń i dajcie tym psom parę kopniaków, zanim poderzną nam gardła! Nie ma po co dłużej giąć się nad wiosłami; wtargną na pokład, nim przepłyniemy pięćdziesiąt kroków!

Zdesperowani żeglarze poniechali wiosła i chwycili za broń. Stawili dzielny, choć daremny opór. Zdążyli tylko raz wystrzelić z łuków, nim dopadł ich piracki okręt. Pozbawiony sternika „Argus” przechylił się na bok i okuty stalą dziób pirata z trzaskiem uderzył w śródkręcie. Haki abordażowe wbiły się w

burtę. Z furt strzelniczych wysokiego pokładu czarni wojownicy zasypali marynarzy lawiną strzał, które z łatwością przebijały pikowane kaftany, a potem skoczyli z włóczniami w rękę, aby dokończyć rzezi. Na pokładzie pirackiego statku zostało pół tuzina ciał — dowód łuczniczego kunsztu Conana.

Walka na „Argusie” była krótka i krwawa. Krępi żeglarze nie byli w stanie sprostać rosnącym barbarzyńcom i zginęli co do jednego. Tylko w jednym miejscu bitwa przybrała inny obrót. Stojący na wysokiej rufie Conan znalazł się na tym samym poziomie, co pokład pirackiej galery. Gdy jej okuty stałą dziób rozplątał burtę „Argusa”, Cymeryjczyk, odrzuciwszy łuk i stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach, nie stracił równowagi. Rosły korsarz przeskakujący reling napotkał w powietrzu ostrze wielkiego miecza, które czysto rozcięło go na pół, tak że tors poleciał w jedną stronę, a nogi w drugą. Później, w przypiływie wściekłości, zostawiając za sobą stertę leżących przy nadburciu porąbanych ciał, Conan przesadził reling i spadł na pokład „Tygryscy”.

W mgnieniu oka stał się centrum huraganu kłujących włóczni i spadających maczug. Jednak w oślepiającym błysku stali nieodparcie posuwał się naprzód. Włócznie łamały się na jego tarczy lub ze świstem przesywały powietrze, a jego wielki miecz śpiewał pieśń śmierci. Cymeryjczyka ogarnął bojowy szal właściwy jego rasie i z płonącymi oczyma zasnutymi czerwoną mgłą ślepej furii rozcinał czaszki, łamał zębra, odrąbywał kończyny i wypruwał wnętrzności, zamieniając pokład w upiorne jatki swym okropnym zniwem krwi i roztrzaskanych mózgów.

W zbroi chroniącej go przed ciosami, oparłszy się plecami o maszt, piętrzył wokół siebie wał zmasakrowanych trupów, aż

wrogowie odstąpili, dysząc z wściekłości i strachu. A kiedy chwycili za włócznie, szykując się do rzutu, a on sprężył się, aby skoczyć w gąszcz wrogów i zabrać kilku ze sobą, przenikliwy okrzyk zmroził uniesione ramiona. Zastygli jak posągi; czarni giganci z naszykowanymi do rzutu dzidami i odziany w zbroję wojownik z okrwawionym mieczem.

Belit wyskoczyła przed czarnych, odtrącając ich włócznie. Z falującą piersią i błyszczącymi oczyma zwróciła się do Conana. Nagły podziw ścisnął serce barbarzyńcy. Dziewczyna była smukła, lecz zbudowana jak bogini — o ciele gibkim, a jednocześnie bujnym. Jedynym jej odzieniem była szeroka, jedwabna przepaska. Białe jak kość słoniowa członki i półkule piersi sprawiły, że dyszący żądzą bitwy Cymeryjczyk poczuł przypływ jeszcze gwałtowniejszych uczuć. Gęste włosy, czarne jak stygijska noc, opadały jej lśniącymi puklami na smukłe plecy. Czarne, skierowane na Cymeryjczyka oczy płonęły dziwnym blaskiem.

Była nieposkromiona jak pustynny wiatr, zwinna i niebezpieczna jak pantera. Podeszła do niego, nie bacząc na wielkie ostrze, zbroczone krwią jej wojowników. Stała tak blisko wielkiego wojownika, że dotknęła kształtnym udem miecza. Spojrzała w posępne, groźne oczy Cymeryjczyka i jej pełne, czerwone wargi rozchyliły się.

— Kim jesteś? — zapytała. — Na Isztar, nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ty, chociaż przemierzyłam morza od wybrzeży Zingary po ognie najdalszego południa. Skąd przybywasz?

— Z Argos — odparł krótko, obawiając się podstępu. Gdyby jej dłoń wykonała jakikolwiek ruch w kierunku wysadzanego klejnotami sztyletu, jednym ciosem rozciągnąłby dziewczynę na pokładzie. Jednak w sercu nie żywił obaw: zbyt wiele kobiet — z

barbarzyńskich i cywilizowanych krajów — miał w swych silnych jak stal ramionach, aby nie rozpoznać ognia, jaki płonął w jej oczach.

— Nie jesteś hyboryjskim mięczakiem! — wykrzyknęła. — Jesteś dziki i groźny jak szary wilk. Twoich oczu nie osłabiły światła miasta; twoich mięśni nie zmiękczył żywot pędzony wśród marmurowych ścian!

— Jestem Conan, Cymeryjczyk.

Dla ludów gorącego klimatu Północ była mglistą, na połę mityczną krainą, zamieszkałą przez srogich, błękitnookich gigantów, którzy czasem schodzili ze swych lodowych pustkowi, niosąc śmierć i pożogę. Ich oddziały nigdy nie zapuszczały się tak daleko na południe, więc ta córka Shemu nie mogła odróżnić Żsirów od Vanirów czy Cymeryjczyków. Nieomylnym instynktem wrażliwym wszystkim kobietom wyczuła, że oto znalazła kochankę, a jego rasa znaczyła tylko tyle, że przydawała mu splendoru przybysza z dalekich krajów.

— A ja jestem Bęlit! — krzyknęła tak, jakby mówiła: „Jestem królową!”

— Spójrz na mnie, Conanie! — Szeroko rozwarła ramiona. — Jestem Bęlit, królowa Czarnego Wybrzeża. O, tygrysie Północy, jesteś zimny jak śnieżne szczyty, które cię wydały. Weź mnie i zmiądz w gwałtownym uścisku! Pójdź ze mną na krańce ziemi i morza! Ogień, stal i krew uczyniły mnie królową — bądź moim królem!

Conan omiół spojrzeniem krwawe szeregi piratów, szukając oznak gniewu lub zazdrości. Nie znalazł. Hebanowych twarzy nie wykrzywiała wściekłość. Zrozumiał, że dla tych ludzi Bęlit była czymś więcej niż kobietą: boginią, której woli nikt nie śmiał się sprzeciwić. Zerknął na „Argusa”, kołyszącego się na purpurowej

fali, mocno przechylonego na burtę, z pokładem omywanym przez fale, przytrzymywanego przez haki abordażowe. Spojrzał na obramowany błękitem brzeg, na bezmiar mglistozielonego oceanu, na tętniącą życiem postać stojącą przed nim — i coś drgnęło w duszy barbarzyńcy. Przemierzać lśniące, błękitne dziedziny z tą białoskórą, młodą tygryską — kochać, śmiać się, wędrować i grabić...

— Pożegluję z tobą — mruknął, strząsając czerwone krople z miecza.

— Hej, N'Yago! — jej głos dźwięczał jak napięta cięciwa. Przynieś zioła i opatrz rany twego pana! Pozostali, przenieść łupy na pokład i odbijać!

Kiedy Conan siedział na rufie, opierając się plecami o reling, a stary szaman przemywał mu liczne rany na rękach i nogach, ładunek nieszczęsnego „Argusa” szybko przeniesiono na „Tygrysicę” i złożono w małych kajutach pod pokładem. Ciała załogi i poległych piratów rzucono za burtę kłębiącym się rekinom, a rannych wojowników ułożono na śródkręciu, gdzie mieli czekać na obandażowanie ran. Potem odczepiono haki abordażowe i gdy „Argus” bezgłośnie pogrążał się w czerwonych od krwi wodach, popychana rytmicznymi uderzeniami wiosł „Tygryska” ruszyła na południe.

A gdy tak płynęli po kryształowo czystych, błękitnych głębinach, Bęlit przyszła na rufę. Oczy jej płonęły jak ślepiaczącej się w mroku pantery, gdy zerwała z siebie ozdoby, sandały oraz jedwabną przepaskę i rzuciła je do stóp Conana. Wspiąwszy się na palce i uniósłszy ramiona w górę, jak drżący posąg nagiej bieli, krzyknęła do swej hordy straceńców:

— Wilki błękitnych mórz, spójrzcie na ten taniec — miłosny taniec Bęlit, której ojcowie byli królami Asgalunu!



I tańczyła, jak wir pustynnego wichru, jak buchający płomień rozszalałego ognia, jak pęd do tworzenia i pęd do niweczenia. Jej białe stopy deptały zakrwawiony pokład i patrząc na nią umierający zapominali o śmierci. A potem, gdy białe gwiazdy zabłyśły na aksamitnym granacie zmierzchu, zmieniając jej wirujące ciało w smugę alabastrowej mgielki, z dzikim okrzykiem rzuciła się do stóp Conana, a gwałtowny przypływ żądz sprawił, że Cymeryjczyk zapomniiał o całym świecie i mocno przycisnął zdyszana, naga tancerkę do czarnych płyt swej zbroi.

*W tym królestwie Śmierci i zmurszałego głazu,  
Diabelski blask klejnotów oczy jej poraził,  
I dziwny zamęt w sercu poczułem od razu,  
Jakby ktoś trzeci między nas się wraził.  
— PIEŚŃ O BELIT*

„Tygryska” krążyła po morzu i czarne wioski trzęsły się ze strachu. Tam–tamy dudniły po nocach, przekazując wieść, że morska diablica znalazła sobie kochanka, żelaznego męża, którego gniew był jak wściekłość ranionego lwa. A ocalali żeglarze z wypatroszonych stygijskich statków obrzucali przekleństwami Bęlit i białego wojownika o srogich, niebieskich oczach; tak więc stygijscy książęta dobrze go popamiętali i pamięć ta była drzewem, które w przyszłości miało wydać gorzkie, krwawe owoce.

Lecz „Tygryska”, nie zważając na nic jak błędzący wiatr, żeglowała wzdłuż południowych wybrzeży, aż zakotwiczyła przy ujściu szerokiej, posępnej rzeki, której brzegi porastała mroczna i tajemnicza dżungla.

— Oto rzeka Zarkheba, co oznacza „śmierć” — rzekła Bęlit. Jej wody są trujące. Spójrz, jakie są ciemne i mętne. W tej rzece żyją tylko jadowite gady. Czarni unikają tych okolic. Kiedyś stygijska galera, umykając przede mną, popłynęła w górę rzeki i przepadła. Kazałam rzucić kotwicę w tym właśnie miejscu i po wielu dniach czarne wody zniosły tu ten statek, opuszczony i z zakrwawionym pokładem. Znaleźliśmy na nim tylko jednego

człowieka — szaleńca, który umarł bełkocząc coś bez sensu. Ładunek był nietknięty, lecz los załogi pozostał zagadką.

— Kochany mój, sądzę, iż gdzieś nad tą rzeką musi być jakieś miasto. Słyszałam opowieści o gigantycznych wieżach i murach widzianych z daleka przez żeglarzy, którzy ośmielili się popłynąć kawałek w górę rzeki. My nie lękamy się niczego; ruszajmy tam i splądrujmy to miasto!

Conan przystał na to. Zazwyczaj godził się na jej pomysły. To jej umysł układał plany wypraw, zaś jego ramię wprowadzało je w czyn. Mało go obchodziło, dokąd żeglowali i z kim walczyli — byle tylko żeglować i walczyć. Był zadowolony z życia.

Bitwy i wyprawy przerzedziły załogę; pozostało tylko około osiemdziesięciu oszczepników, co ledwie wystarczało, by manewrować długą galerą. Jednak Bęlit nie chciała tracić czasu na długi rejs na południe, ku wyspiarskim królestwom, w których rekrutowała swych bukanierów. Rozpierała ją chęć przeżycia nowej przygody; tak więc „Tygryska” wpłynęła w ujście rzeki, a wiosłarze mocniej napaarli na wiosła, gdy zaczęła się przebijać przez wartki nurt.

Minęli pierwszy zakręt, za którym skryło się morze, i zachód słońca zastał ich uparcie płynących pod prąd, omijających piaszczyste łachy, na których wiły się osobliwe gady. Nie dostrzegli nawet zwykłego krokodyla ani żadnego ptaka czy czworonożnego zwierzęcia przychodzącego na brzeg, do wodopoju. Podążali przez ciemność poprzedzającą wschód księżyca, między brzegami zmienionymi w nieprzeniknione palisady mroku, zza których dobiegały tajemnicze szmery i odgłosy skradających się kroków, i błyski ponurych ślepi. Raz dał się słyszeć nieludzki, drwiący okrzyk — krzyk małpy, rzekła Bęlit dodając, iż w tych człekokształtnych zwierzętach są uwięzione

dusze złych ludzi, jako kara za dawne zbrodnie. Jednak Conan wątpił w to, bowiem niegdyś, w jednym z hyrkańskich miast widział trzymane w pozłacanej klatce takie smutnookie zwierzę, które nazywano małpą, i nie było w nim nic z owej demonicznej złośliwości, jaka rozbrzmiewała w skrzekliwym śmiechu odbijającym się echem w mrocznej dżungli.

Później wszedł księżyc, jak kałuża krwi w hebanowej ramie, a dżungla powitała go przeraźliwym, opętańczym zgiełkiem. Ryki, wycia i jęki przyprawiły czarnych wojowników o drzenie; jednak Conan zauważył, że cały ów hałas szedł z głębi dżungli, jakby zwierzęta, tak samo jak ludzie, unikały czarnych wód Zarkheby.

Wzniósłszy się nad ciemną gęstwinę drzew i ponad falujące listowie, księżyc osrebrzył rzekę i kilwater statku stał się smugą roziskrzonych, fosforyzujących bąbelków, które rozchodziły się jak lśniący trakt z rozpękłych klejnotów. Wiosła zanurzały się w błyszczącą wodę i wynurzały się spowite w mroźne srebro. Pióra w pióropuszech wojowników chwiały się na wietrze, a drogie kamienie na rękojeściach mieczy i na puklerzach lśniły chłodnym blaskiem.

To zimne światło wznieciło lodowate ognie w klejnotach zdobiących czarne pukle Bęlit, której gibka postać leżała na lamparczej skórze rzuconej na pokład. Podparta na łokciach, z brodą spoczywającą na wąskich dłoniach, spoglądała w twarz Conana, który leżał obok niej, a słaby wietrzyk rozwiewał mu czarną grzywę. Oczy Bęlit były jak dwa czarne klejnoty płonące w świetle księżyca.

— Otacza nas tajemnica i groza, Conanie — powiedziała. I zmierzamy do królestwa koszmarów i śmierci. Czy lękasz się?

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami okrytymi zbroją.

— I ja się nie boję — mówiła w zadumie. — Nigdy się nie bałam. Zbyt często zaglądałam Śmierci w oczy. Czy lękasz się bogów, Conanie?

— Wolę się trzymać od nich z daleka — odparł powściągliwie barbarzyńca. — Jedni bogowie są skorzy do czynienia krzywd, inni — do pomocy; przynajmniej tak mówią ich kapłani. Mitra Hyboryjczyków musi być potężnym bogiem, skoro jego lud wznosił miasta we wszystkich stronach świata. Jednak nawet Hyboryjczycy obawiają się Seta. Zaś Bel, patron złodziei, jest dobrym bogiem. Dowiedziałem się o nim, kiedy byłem złodziejem w Zamorze.

— A co z twymi bogami? Nie słyszałam, byś ich wzywał.

— Ich wodzem jest Krom. Mieszka na wielkiej górze. Po co go wzywać? Niewiele go obchodzi, czy człowiek żyje, czy nie. Lepiej już milczeć niż zwracać na siebie jego uwagę, bo prędzej ześle zgubę niż szczęście! Jest ponury i nieczuły, lecz w chwili narodzin tchnie w ludzką duszę żądzę walki i przetrwania. Czegóż więcej można wymagać od boga?

— A co ze światami za rzeką śmierci? — nalegała.

— Wiara mojego ludu nie daje nadziei ani tu, ani tam — odparł Conan. — Na tym świecie człowiek daremnie walczy i cierpi, znajdując przyjemność jedynie w bitewnym szaleństwie; a kiedy umiera, jego dusza wstępuje w szarą, mglistą krainę chmur i mroźnych wichrów, aby błąkać się wśród nich przez wieczność.

Belit zadrżała.

— Życie, choćby najgorsze, jest lepsze od takiego losu. A w co wierzysz, Conanie?

Wzruszył ramionami.

— Poznałem wielu bogów. Ten, kto przeczy ich istnieniu, jest równie ślepy jak ten, co wierzy w nich zbyt głęboko. Nie oczekuję

niczego po śmierci. Może będzie to ciemność zapowiadana przez nemedyjskich mędrców lub Kromowe królestwo lodu i chmur, a może śnieżne równiny i wyniosłe sklepienia Valhalli, w którą wierzy lud Nordheimu. Nie wiem i nie dbam o to. Póki żyję, pragnę żyć pełnią życia; czuć na podniebieniu gęsty sok czerwonego mięsiwa i tęgiego wina, zaznać gorących uścisków białych ramion i bitewnego szału, gdy stalowe ostrza broczą skrami i posoką. Tym się zadowolę. Niech mędrzy, kapłani i filozofowie zastanawiają się nad kwestią rzeczywistości i ułudy. Ja wiem jedno: jeśli życie jest złudzeniem, to i ja również nim jestem, a wtedy to złudzenie jest dla mnie rzeczywistością. Żyję, tętnię życiem, kocham, zabijam i jestem rad.

— Ale bogowie są rzeczywistością — powiedziała, podążając za własnymi myślami. — A nad nimi wszystkimi są bogowie Shemitów — Isztar, Astarte, Derketo i Adonis. Bel o kręconej brodzie i kpiących oczach również jest shemickim bóstwem, bowiem dawno, dawno temu narodził się w starożytnym Shumirze i chichocząc poszedł w świat, aby kraść klejnoty starożytnym władcom. Wiem, że jest życie po śmierci i wiem to także, Conanie z Cymerii — powiedziała, zwinnie podnosząc się na kolana i obejmując go ramionami — że moja miłość jest silniejsza od śmierci! Leżałam w twych ramionach, zdyszana po dzikich pieszczotach; obejmowałeś mnie, ścisnąłeś i zdobywałeś, wysysając ze mnie duszę swymi gwałtownymi pocałunkami. Moje serce jest złączone z twoim, moja dusza jest częścią twojej duszy! Nawet gdybym była martwa, a ty walczyłbyś o życie, wróciłabym z otchłani, aby ci pomóc, czy mój duch żeglowałby pod purpurowymi żaglami po kryształowo czystych wodach raj, czy też wilby się smażyć płomieniami Piekła! Jestem twoja i wszyscy bogowie razem wzięci z całą swą wiecznością nie

zdołają nas rozdzielić!

Wachtowy stojący na oku krzyknął przeraźliwie. Odepchnąwszy Bęlit na bok, Conan zerwał się na równe nogi. Jego miecz zabłysł srebrzyście w świetle księżyca, a włosy na głowie zjeżyły się. Czarny wojownik wisiał nad pokładem, trzymany przez coś, co wyglądało jak czarny, giętki pień drzewa chylącego się nad pokładem. Barbarzyńca pojął, że był to gigantyczny wąż, który wciągnął swe połyskliwe cielsko na dziób i chwycił w paszczkę nieszczęsnego wojownika. Oślizgłe łuski błyszczały obrzydliwie w blasku księżyca, gdy gad unosił się wysoko nad pokładem, a pochwycony człowiek wił się i jęczał jak mysz w paszczy pytona. Conan pognał na dziób i zamachnąwszy się swym ogromnym mieczem niemal przerąbał cielsko węża, grubsze od ludzkiego tułowia. Krew splamiła nadburcia, gdy zdychający potwór ześlizgnął się z pokładu, wciąż trzymając swoją ofiarę, i zwój za zwojem pogrążył się w rzece, tłukąc cielskiem o wodę, aż wzbiła się krwawa piana, w której gad i człowiek zniknęli razem.

Od tej pory sam Conan objął wachtę na dziobie, lecz żaden inny koszmar nie wypełzwał z mroków nocy; a gdy ranek rozjaśnił dżunglę, Cymeryjczyk dostrzegł wznoszące się nad czubkami drzew czarne kły wież. Zawołał Bęlit, która spała opodal owinięta w jego szkarłatny płaszcz; z roziskrzonym wzrokiem przybiegła na wezwanie. Otworzyła usta, szykując się do wydania rozkazu wojownikom, aby chwycili łuki i włócznie, lecz w tej samej chwili szeroko otwarła oczy ze zdziwienia.

Minąwszy porośniętą dżunglą cypel i skręciwszy w stronę przeciwległego brzegu, ujrzeli widmowe miasto. Chwasty i wysokie kępy trzcin rosły między głazami popękanych murów i strzaskanych płyt, które niegdyś były ulicami, rozległymi placami

i szerokimi dziedzińcami. Ze wszystkich stron — oprócz tej, z której płynęła rzeka — do miasta wdzierała się dżungla, kryjąc obalone kolumny i sterty gruzu swą jadowitą zielenią. Tu i ówdzie chylące się wieże kłoniły się jak pijane na tle porannego nieba, a wśród rozsypujących się ścian sterczały spękane filary. Na głównym placu wznosiła się marmurowa piramida zwieńczona smukłą kolumną, na szczycie której przysiadło coś, co Conan uznał za posąg, póki jego bystre oczy nie wypatrzyły oznak życia.

— To wielki ptak — rzekł jeden z wojowników, stojący na dziobie.

— To potworny nietoperz — upierał się inny.

— To mała — rzekła Bęlit.

W tym momencie stwór rozpostarł szerokie skrzydła i odleciał w głąb dżungli.

— Skrzydlata mała — wykrztusił stary N'Yaga. — Lepiej nam było poderżnąć sobie gardła, niż tu przybywać. To nawiedzone miejsce.

Bęlit wydrwiła jego przesady, po czym rozkazała przybić do brzegu i przycumować galerę do skruszałych nabrzeży. Pierwsza zeskoczyła na ląd, a tuż za nią Conan, za nimi zaś ruszyli hebanowoskórzy piraci w chwiejących się na wietrze pióropuszech, z nastawionymi włóczyniami, niepewnie spoglądając na otaczającą ich dżunglę.

Wszędzie zalegała cisza, złowroga jak milczenie drzemiącej w słońcu żmii. Bęlit;wyglądała niezwykle malowniczo na tle ruin; jej wibrująca życiem, gibka postać dziwnie kontrastowała z rozpościerającą się wokół pustką i zniszczeniem. Nad dżunglą powoli i niechętnie wstało słońce, oblewając wieże złotą poświatą, pozostawiającą przyczajone pod rozchwianymi



murami cienie. Bëlit wskazała smukłą, okrągłą wieżę, chybczącą się na murszejących fundamentach. Wiodła do niej szeroka aleja ze spękanych, pozarastanych trawą płyt, zakończona ogromnym ołtarzem. Bëlit przebiegła po prastarej drodze i stanęła przed nim.

— To świątynia dawnych bogów — powiedziała. — Spójrz, po bokach ołtarza widać kanaliki na krew, a deszcze przez dziesięć tysięcy lat nie zmyły z nich tych ciemnych plam. Mury runęły, lecz ten kamień trwa, nie bacząc na czas i żywioły.

— Kimże byli ci dawni bogowie? — dopytywał się Conan. Bezradnie rozłożyła smukłe ręce.

— Żadne legendy nie wspominają o tym mieście. Jednak spójrz na uchwyty na końcach tej płyty! Kapłani często chowają swoje skarby pod ołtarzami. Niech czterech z was spróbuje, czy uda wam się ją podnieść.

Cofnęła się, by zrobić miejsce wojownikom, spoglądając na wznoszącą się nad nimi, mocno pochyloną wieżę. Trzech najsilniejszych piratów chwyciło wykute w kamieniu uchwyty — dziwnie nieprzystosowane do kształtu ludzkiej ręki, gdy Bëlit odskoczyła z przeraźliwym okrzykiem. Stanęli jak wryci, a pomagający im, nachylony nad ołtarzem Conan odwrócił się z przekleństwem na ustach.

— Wąż w trawie — powiedziała, cofając się. — Chodź tu i zabij go, a wy przyłóżcie się do tego kamienia.

Conan szybko podszedł do niej, a jego miejsce zajął inny wojownik. Barbarzyńca niecierpliwie rozgarniał trawę, szukając gada, a czarni olbrzymi, mocno wparłszy się nogami w ziemię, stękając zaczęli podnosić kamień, aż ogromne mięśnie grały i prężyły się pod ich hebanową skórą. Ołtarz nie dał się podnieść, lecz niespodziewanie wywrócił się. W tej samej chwili rozległ się

potężny łoskot i wieża runęła ze strasznym trzaskiem, grzebiąc pod gruzami czterech czarnych wojowników.

Ich kompani wydali okrzyk zgrozy, a Belit zacisnęła smukłe palce na muskularnym ramieniu Conana.

— Nie było żadnej zmii — szepnęła. — To był tylko pretekst, aby cię odciągnąć. Bałam się o ciebie. Dawni bogowie dobrze strzegą swoich skarbów. Odrzucmy te głazy.

Nie szczędząc trudu uczynili tak i wydobyli zmasakrowane ciała czterech towarzyszy. A pod nimi znaleźli, zbroszoną krwią tych nieszczęśników, wykutą w litej skale kryptę. Ołtarz, przemyślnie umocowany na kamiennych zawiasach, pełnił rolę pokrywy. I na pierwszy rzut oka zdawało się, że kryptę wypełnia płynny ogień, odbijający światło wczesnego ranka milionem lśniących zwierciadeł. Przed szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma piratów leżało niewyobrażalne bogactwo: diamenty, rubiny, krwawniki, szafiry, turkusy, kamienie księżycowe, opale, szmaragdy, ametysty i inne, nieznanne klejnoty, błyszczące jak oczy grzesznych kobiet. Krypta była wypełniona po brzegi lśniącymi kamieniami, które poranne słońce rozjarzało migotliwym płomieniem.

Z cichym okrzykiem Belit upadła na kolana w zakrwawiony gruz na krawędzi krypty i zanurzyła ramiona po łokcie w ten bezmiar wspaniałości. Wyciągnęła je, trzymając coś, co wydarło z jej ust następny okrzyk — długi sznur purpurowych kamieni, podobnych do grudek zakrzepłej krwi nawleczonych na gruby, złoty drut. Ich poświata zmieniała złoty blask słońca w krwawą mgiełkę.

Belit spoglądała na to jak urzeczona. Dusza Shemity znajduje radosne upojenie w bogactwach i dobrach materialnych, a widok tych skarbów mógłby wstrząsnąć nawet tonącym w zbytku

cesarzem Shushanu.

— Bierzcie klejnoty, psy! — rzuciła rozkaz chrapliwym z podniecenia głosem.

— Patrzcie! — muskularne ramię czarnego wyciągnęło się w kierunku „Tygrysicy” i Bęlit odwróciła się z gniewnym pomrukiem na szkarłatnych wargach, jakby spodziewała się ujrzeć inny okręt korsarski przybijający do brzegu, by ją pozbawić łupu. Lecz to tylko ten sam czarny kształt uniósł się z furty strzelniczej galery i poszybował nad dżunglę.

— Diabelska mała obejrzała okręt — mamrotali zaniepokojeni czarni.

— I co z tego? — wrzasnęła gniewnie Bęlit, niecierpliwie odgarniając z czoła niesforny pukiel włosów. — Zróbcie z włóczni i płaszczy nosze do przeniesienia tych klejnotów... A ty dokąd idziesz, do diabła?

— Obejrzyć galerę — mruknął Conan. — Ten nietoperzoczek mógł równie dobrze wybić dziurę w jej dnie.

Szybko przebiegł po splekany nabrzeżu i skoczył na okręt. Wystarczyła krótka inspekcja pod pokładem, by zaklął z pasją, rzuciwszy chmurne spojrzenie w stronę, gdzie zniknęły nietoperzoskrzydły. Cymeryjczyk pospiesznie wrócił do Bęlit, nadzorującej plądrowanie krypty. Założyła naszyjnik i czerwone kamienie lśniły posępny blaskiem na jej nagiej, białej piersi. Ogromny, czarny wojownik stał zanurzony niemal do pasa w jamie pełnej klejnotów i czerpiąc je pełnymi garściami, podawał niecierpliwie wyciągającym ręce kompanom. Między ciemnymi palcami przeciekały mu strumienie blasku; krople czerwieni kapąły mu z dłoni, migocząc wszystkimi barwami mroźnej tęczy. I zdawało się, że to czarny tytan stanął w rozkroku w jasnej otchłani Piekieł, trzymając gwiazdy w wyciągniętych dłoniach.

— Ten latający diabeł przedziurawił beczki z wodą — rzekł Conan. — Usłyszelibyśmy hałas, gdyby nie opętały nas tak te klejnoty. Głupio zrobiliśmy nie zostawiając nikogo na straży. Woda z tej rzeki nie nadaje się do picia. Wezmę dwudziestu ludzi i poszukam pitnej wody w dżungli.

Ogarnięta osobliwym zamroczeniem spojrzała na niego, dziwnie pustym spojrzeniem, a jej palce nieprzerwanie bawiły się naszyjnikiem na piersi.

— Bardzo dobrze — powiedziała z roztargnieniem, ledwo go słysząc. — Ja przeniosę łupy na pokład.

Dżungla szybko zamknęła się za nimi, a światło ze złocistego stało się szare. Z łukowatego sklepienia zielonych gałęzi zwieszały się podobne do pytonów liany. Wojownicy szli gęsiego, brnąc przez odwieczny półmrok jak czarne zjawy podążające za białym duchem.

Poszycie nie było tak gęste, jak się Conan spodziewał. Ziemia była miękka, lecz nie grząska. W miarę jak oddalali się od rzeki, grunt stopniowo się podnosił. Coraz bardziej zagłębiali się w falujące, zielone odmęty i wciąż nie znajdowali śladu wody ani płynącego strumienia, ani spokojnego stawu. Nagle Conan zatrzymał się raptownie, a jego wojownicy zastygli w bezruchu jak bazaltowe posągi. W pełnej napięcia ciszy, jaka po tym zapadła, Cymeryjczyk niecierpliwie potrząsnął głową.

— Idźcie dalej — mruknął do swego zastępcy, N’Gory. — Maszerujcie przed siebie, aż zniknę wam z oczu; wtedy zatrzymajcie się i zaczekajcie na mnie. Sądzę, że ktoś nas śledzi. Słyszałem jakieś szmery.

Czarni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, ale zrobili, co im kazano. Kiedy ruszyli przed siebie, Conan spiesznie ukrył się za wielkim drzewem, spoglądając w kierunku, z którego

przybyli. Z tej gęstwiny liści mógł się wyłonić nie wiedzieć jaki stwór...

Jednak nic się nie stało: odgłosy maszerujących oszczepników ucichły w dali. Nagle Conan uświadomił sobie, że powietrze jest przesycone jakimś dziwnym, egzotycznym zapachem. Coś delikatnie dotknęło jego skroni. Obrócił się błyskawicznie. Z kępy zielonych, osobliwie ulistnionych łądyg kłoniły się do niego olbrzymie, czarne kwiaty. To jeden z nich go dotknął. Zdawał się go zapraszać, gnąc swą sprężystą szyję. Kwiaty rozwijały płatki i cicho szeleściły, choć nie było wiatru. Conan odskoczył, rozpoznając czarny lotos, którego nektar niósł śmierć, a zapach — sen pełen majaków. Jednak już czuł, że ogarnia go słodki letarg. Chciał unieść miecz, żeby ściąć węzowe łądygi, lecz ramię opadło mu bezwładnie. Otworzył usta, by wezwać swoich wojowników, lecz wydał jedynie ciche rżenie. W następnej chwili, z zatrważającą gwałtownością, dżungla zakołysała się i zasnuła mgłą; nie usłyszał już straszliwych krzyków i jęków, jakie rozległy się opodal, gdyż kolana ugięły się pod nim i bezwładnie opadł na ziemię. Nad jego rozciągniętym bezwładnie ciałem wielkie, czarne kwiaty kołysały się w bezwietrznym powietrzu.

*Czy był to sen tylko, co moc lotosu zesała?  
Przeklęty zatem sen, co nędzny kupił żywot  
I każda chwila niemocy, która nie widziała,  
Krwii czerwonej, plamiącej noża mego brzeszczot.  
— PIEŚŃ O BELIT*

Najpierw była to czerń zupełnej pustki i przelatujące przez nią zimne wiatry z kosmicznych przestrzeni. Później kształty — osobliwe, monstrialne i ulotne — zaczęły się przewijać przez bezmiar nicości, jak gdyby ciemność przybierała materialną postać. Powiały wichry tworząc trąbę powietrzną, wirującą piramidę ryczącej czerni. Z niej powstał Kształt i Wymiar; potem, nagle, jak rozchodzące się chmury, ciemności rozstąpiły się, ukazując wielkie miasto z zielonego kamienia, na brzegu szerokiej rzeki płynącej po bezkresnej równinie. W tym mieście poruszały się nieziemskie istoty.

Choć miały ludzką postać, z pewnością nie były ludźmi. Skrzydlate i ogromne, nie wywodziły się z tego tajemniczego pnia ewolucji, którego szczytowym pędem jest człowiek, lecz były rozwiniętym kwieciem innego, obcego drzewa, rosnącego osobno. Nawet nie licząc skrzydeł, przypominały ludzi w tym samym stopniu, w jakim człowiek w swej najdoskonalszej postaci przypomina wielkie małpy. Pod względem duchowego, estetycznego oraz intelektualnego rozwoju przewyższały człowieka tak samo, jak ten przewyższa goryla. Jednak kiedy wznosiły swój olbrzymi gród, pierwotni przodkowie człowieka

jeszcze nie wyłonili się ze szlamu pradawnych oceanów.

Istoty te były śmiertelne, jak wszystkie, co są z ciała i krwi. Żyły, kochały i umierały, choć ich czas życia był niezwykle długi. Potem, po niezliczonych milionach lat, nadeszła Wielka Zmiana. Obraz drżał i falował, jak malowidło na targanej wiatrem kurtynie. Epoki przetaczały się nad miastem i ziemią niczym fale toczące się po piasku, a każda z nich niosła zmiany. Gdzieś na planecie przemieszczały się centra magnetyczne; ogromne lodowce i pola lodowe cofały się ku nowym biegunom.

Zmieniło się oblicze wielkiej rzeki. Równiny przekształciły się w cuchnące gadzim życiem bagniska. Tam, gdzie niegdyś rozpościerały się żyzne łąki, teraz rosły puszcze, zmieniające się w wilgotne dżungle. Mijające wieki zostawiły swój ślad również na mieszkańcach miasta. Nie wywędrowali do nowych ziem. Jakieś niepojęte dla człowieka powody kazały im pozostać w prastarym grodzie i oczekiwać swej zguby. I tak jak bogata niegdyś i potężna kraina coraz głębiej tonęła w czarnym bagnie dżungli, tak i jej mieszkańcy coraz bardziej pogrążali się w chaosie. Straszliwe konwulsje wstrząsały ziemią; noce były rozjarzone posępnym blaskiem wybuchających wulkanów, które usiały ciemny horyzont licznymi słupami ognia.

Po trzęsieniu ziemi, które zburzyło zewnętrzne mury i najwyższe wieże, rzeka przez wiele dni była czarna od jakiejś trującej substancji wyplutej z głębin ziemi, a w wodzie, którą ten lud pił przez wieki zaszła jakaś przerażająca zmiana.

Wielu tych, co ją pili, zmarło; zaś ci, którzy przeżyli, ulegali przemianie: subtelnej, stopniowej i strasznej. Przystosowując się do nowych warunków, cofnęli się w rozwoju znacznie poniżej swego pierwotnego stanu. Lecz śmiertcionośne wody zmieniały ich jeszcze okropniej, z jednego potworniejącego pokolenia na

drugie. Oni, którzy byli skrzydlatymi bogami, stali się demonami, a wszystko, co ocalało z niezmiernej mądrości ich przodków, zostało wypaczone i w najokropniejszy sposób przekręcone. I tak, jak wzniesli się na wyżyny, o jakich ludzkość nie mogła nawet marzyć, tak teraz stoczyli się niżej, niż człowiekowi mogłoby się przyśnić w najobłądniejszym koszmarze. Wymierali szybko z powodu kanibalizmu i okropnych walk toczonych w nocnych mrokach dżungli. Aż w końcu wśród porośniętych mchem ruin miasta pozostał tylko jeden — skarłowaciały, ohydny wybryk natury.

Wtedy po raz pierwszy pojawili się ludzie: ciemnoskórzy mężczyźni o orlich rysach, w zbrojach ze skóry i miedzi, zbrojni w łuki — wojownicy prehistorycznej Stygii. Było ich tylko pięćdziesięciu, wycieńczonych i wychudłych po długich trudach wędrówki, brudnych i podrapanych po marszu przez dżunglę, poowijanych w zakrwawione bandaże świadczące o ciężkich walkach. W ich sercach tkwiła pamięć wojny i klęski, i ucieczki przed silniejszym plemieniem, które gnało ich coraz dalej na południe, aż zgubili się w zielonym labiryncie dżungli i rzek. Wycieńczeni, legli wśród ruin, gdzie czerwone kwiaty kwitnące raz na sto lat kołysały się przy pełni księżyca, i zapadli w sen. A kiedy spali, z mroku wypełznął odrażający, czerwonoooki kształt i nad każdym z nich odprawił upiorne i straszne rytuały. Wiszący na pociemniałym niebie księżyc barwił dżunglę czerwienią i czernią; szkarłatne kwiaty lśniły jak plamy krwi nad pogrążonymi we śnie wojownikami. Później księżyc zaszedł i oczy czarnoksiężnika błyszczały niczym czerwone klejnoty oprawione w heban nocy.

Gdy świt rozpostarł swój biały welon nad rzeką, nie było ani jednego człowieka; tylko włochate, skrzydlate monstrum



siedzące w kręgu pięćdziesięciu wielkich, cętkowanych hien, które uniosły ku niebu rozedrgane pyski i zawyły jak dusze potępione. Później scena następowała po scenie tak szybko, że każda deptała po piętach swojej poprzedniczce. Był bezład poruszeń, stapienie się światła i cieni na tle czarnej dżungli, ruin z zielonego kamienia i mętnych wód rzeki. Czarni ludzie płynęli w górę rzeki w długich pirogach o dziobach ozdobionych szczykami zębów czaszkami, albo z włóczniami w dłoniach, skuleni, skradali się wśród drzew. Umykali z wrzaskiem przed czerwonymi ślepiami i toczącymi pianę szczękami. Wrzaski umierających rozdzierały mrok; w mroku słychać było skradające się kroki, a oczy wampira płonęły czerwienią. I były ohydne biesiady w świetle księżyca, przez którego purpurowe oblicze nieustannie przelatował nietoperzopodobny kształt.

Potem, nagle — wyraźnie widoczna, w przeciwieństwie do tamtych, niewyraźnych obrazów — zza porośniętego dżunglą cypla wypłynęła długa galera, pełna postaci o hebanowej skórze, a na jej dziobie stał białoskóry olbrzym w błękitnej stali. Dopiero wtedy Conan pojął, że śni. Do tej pory nie uświadamiał sobie swojego istnienia. Gdy jednak ujrzał siebie stąpającego po pokładzie „Tygryscy”, chociaż wcale się nie obudził, zdał sobie sprawę zarówno ze swej egzystencji, jak i z tego, że śni.

Gdy się nad tym zastanawiał, obraz zmienił się gwałtownie, ukazując polanę w dżungli, na której stał N’Gora z dwiętnastoma oszczepnikami, jakby na kogoś czekając. W tej samej chwili, gdy Conan pojął, iż to jego oczekują, z nieba runął koszmar i kamienny spokój wojowników ustąpił miejsca okrzykom przerażenia. Jak oszaleli ze strachu, czarni porzucili swój oręż i na oślep pognali przed siebie, ścigani przez ohydny potwora, którego skrzydła łopotały nad ich głowami.

Po tej wizji, w trakcie której Conan daremnie próbował odzyskać przytomność, zapanował całkowity chaos. Barbarzyńcy zdawało się, że widzi swoje ciało leżące pod rozkołysaną kępą czarnych kwiatów, a z gąszczu podpełza ku niemu odrażający stwór.

Tytanicznym wysiłkiem zerwał niewidoczne więzy trzymające go w uśpieniu i podniósł się z ziemi.

Z niedowierzaniem rozejrzał się wokół. Widząc kołyszący się obok czarny lotos, pospiesznie odsunął się od niego.

Opodal dostrzegł ślad w miękkiej ziemi, jakby jakiś zwierzykujący się do wyjścia z zarośli stanął tam jedną łapą, a potem ją cofnął. Mógł to być trop niewiarygodnie dużej hieny.

Conan zawołał N'Gorę. Nad dżunglą zalegała odwieczna cisza, w której jego krzyk brzmiał śmiesznie słabo i głucho. Nie widział słońca, lecz wyćwiczony w głuszy instynkt podpowiedział mu, że dzień niemal już się kończy. Na myśl o tym, że przeleżał bez zmysłów tyle godzin, ogarnęła go panika. Pospiesznie ruszył tropem oszczepników, wyraźnie odcisniętym w wilgotnej glinie. Biegły równym rzędem i szybko doprowadziły go na otwartą przestrzeń, na której stanął, czując ciarki przebiegające mu po krzyżu, gdy rozpoznał polankę widzianą w narkotycznych wizjach. Na ziemi poniewierały się tarcze i włócznie, jakby porzucone w bezładnej ucieczce.

A ślady wiodące z polanki w głąb dżungli świadczyły, że istotnie był to bieg na oślep. Tropy nakładały się na siebie i bezcelowo plątały wśród drzew. Szybko kroczący Cymeryjczyk niespodziewanie wyszedł z gęstwiny na pagórkowatą skałę, która wznosiła się stromo, by pionową ścianą opaść w przepaść głęboką na czterdzieści stóp.

Na skraju urwiska przykucnął jakiś stwór. Z początku Conan

sądził, że to wielki, czarny goryl. Później stwierdził, że to olbrzymi czarnoskóry mężczyzna, skulony jak małpa, ze zwieszonymi długimi rękami, toczący pianę z rozdziawionych ust. Dopiero gdy stwór z łkającym wyciem runął na niego, próbując go pochwycić, Conan poznał N’Gorę. Czarny zaatakował nie zważając na okrzyk Cymeryjczyka — z wywróconymi oczyma ukazującymi białka, z wyszczerzonymi zębami i twarzą wykrzywioną nieludzkim grymasem.

Zdjęty zgrozą, jaką w zdrowym człowieku zawsze budzi widok czyjegoś szaleństwa, Conan przeszył mieczem napastnika; później, uniknąwszy zakrzywionych jak szpony palców N’Gory, podszedł na skraj przepaści.

Przez chwilę stał spoglądając w dół, na poszarpane skały, gdzie leżeli oszczepnicy N’Gory — w bezwładnych i nienaturalnych pozach, świadczących o zmiżdżonych członkach i potrzaskanych kościach. Żaden się nie ruszał. Chmara wielkich, czarnych much głośno bzyczała nad zbryzganymi krwią głazami; mrówki już poczęły ogryzać ciała. Na okolicznych drzewach siedziały sępy, a szakał, spojrzawszy w górę i dojrzawszy stojącego nad przepaścią człowieka, umknął chyłkiem.

Conan niedługo stał bez ruchu. Niebawem odwrócił się i pobiegł z powrotem drogą, którą przyszedł. Nie zważając na nic, przedzierał się przez wysokie trawy i zarośla, przeskakując przez grube pnącza zagrządzające mu drogę. W prawej dłoni dzierżył miecz, a jego smagłą twarz okryła niezwykła bladość.

Nic nie zakłócało panującej w dżungli ciszy. Słońce zaszło i z lepkiej, czarnej ziemi podniosły się czarne cienie. Przez mroki pełne czającej się śmierci i ponurej samotności, Conan pędził jak błysk szkarłatu i błękitnej stali. Wśród pustkowiecia nie słyhać było innego dźwięku prócz jego szybkiego oddechu, gdy wreszcie

wypadł z cienia na okryty wilgotnym półmrokiem brzeg rzeki.

Ujrzał przytuloną do splekanego nabrzeża galerę i ruiny budowli, niepewnie majaczące w szarej poświacie. Tu i ówdzie wśród kamieni widniały jaskrawe, szkarłatne plamy, jakby niedbale strząśnięte z pędzla.

I znów ujrzał obraz śmierci i zniszczenia. Wokół leżeli jego oszczepnicy, lecz żaden nie wstał, aby go pozdrowić. Od skraju dżungli aż po brzeg rzeki, pośród murszejących kolumn i popękanych nabrzeży, leżały rozdarte na strzępy, zmasakrowane, na poły zeżarte ludzkie ciała.

Conan w milczeniu wszedł na nabrzeże, podchodząc do galery, nad pokładem której wisiało coś, co w słabej poświacie lśniło jak kość słoniowa. Oniemiały Cymeryjczyk ujrzał Królową Czarnego Wybrzeża, powieszoną na rei jej własnego statku. Od rei do smukłej szyi Bëlit rozciągał się sznur purpurowych grudek, błyszczących w szarym zmierzchu jak krople krwi.

*Czarne cienie wokół niego krążyły,  
Okrwawione paszcze rozdziawiły,  
I krople krwi spadły deszczem...  
Lecz ma miłość silniejsza niż śmierci czar ponury,  
Nie wstrzymały mnie wszystkie stalowe piekiel mury,  
I u boku kochanka stanęłam raz jeszcze.  
— PIEŚŃ O BELIT*

Dżungla była czarnym kolosem, który hebanowymi ramionami ścisnął usłaną ruinami polanę. Księżyc nie wyszedł zza chmur; gwiazdy jak okruchy gorącego bursztynu lśniły na dyszącym śmiercią, zamarłym niebie. Na stopniach piramidy, pośród obalonych kolumn, niczym żelazny posąg siedział Conan Cymeryjczyk, wsparłszy brodę na potężnych pięściach. Wokół, w nieprzeniknionych ciemnościach, błyskały czerwone ślepia i słycać było skradające się kroki. Martwi leżeli tam, gdzie padli. Tylko na pokładzie „Tygrysicy”, na stosie z połamanymi ław, drzewc włóczni i lamparcich skór, spała wiecznym snem królowa Czarnego Wybrzeża, spowita w szkarłatny płaszcz Conana. Spoczywała jak prawdziwa królowa, pośród stosów łupów: jedwabi, złotogłowiu, srebrnych nausznic, beczulek klejnotów i złotych monet, ozdób ze srebra, wysadzanych drogimi kamieniami sztyletów oraz stert złotych sztabek.

Lecz o łupach zagarniętych w przeklętym mieście wiedziały tylko mroczne wody Zarkheby, w które cisnął je Conan wraz z pogańskim przekleństwem. Teraz siedział posepnie na stopniach

piramidy, czekając na niewidocznych wrogów. Szaleńcza wściekłość wyparła z jego duszy wszelki lęk. Jakie postacie wyłonią się z ciemności — nie wiedział ani nie dbał o to.

Już nie wątpił w prawdziwość wizji wywołanych przez czarny lotos. Pojął, że czekających nań na polanie wojowników N’Gory przejął zgrozą widok skrzydlatego potwora spadającego na nich z przestworzy i — uciekając w popłochu — wpadli w przepaść; wszyscy oprócz dowódcy, który w jakiś sposób uniknął ich losu, chociaż nie szaleństwa. W tym samym czasie lub zaraz potem unicestwiono pozostałych na brzegu rzeki. Conan nie wątpił, że była to raczej rzeź niż bitwa. Już wcześniej, utraciwszy męstwo za sprawą swych przesądnych obaw, czarni mogli ulec nieludzkim nieprzyjaciołom, nie zadawszy nawet jednego ciosu.

Dlaczego zaś on sam tak długo uniknął ich losu, nie wiedział — chyba, że złowroga istota władająca rzeką zamierzała utrzymać go przy życiu, aby dręczyć rozpaczą i strachem. Wszystko to wskazywało na jakąś nadludzką lub diabelską inteligencję — podziurawienie baryłek z wodą, aby rozdzielić siły piratów, zapędzenie czarnych w przepaść i ostateczny oraz najmocniejszy dowód, jakim był potworny żart z naszyjnikiem zadzierzgniętym jak wisielcza pętla wokół białej szyi Bęlit.

W oczywisty sposób oszczędziwszy Cymeryjczyka jako wybraną ofiarę i wydusiwszy zeń ostatnią uncję duchowych męczarni, niewidoczny wróg zapewne zakończy tragedię, posyłając go w ślad za innymi nieszczęśnikami. Na myśl o tym nawet cień uśmiechu nie wykrzywił zaciśniętych warg barbarzyńcy, lecz w jego oczach pojawiły się okrutne błyski.

Wszedł księżyc, krzesząc skry z rogatego hełmu Cymeryjczyka. Żadne wołanie nie budziło uspionego echa, lecz nagle powietrze zgęstniało od napięcia i dżungla wstrzymała

swój oddech. Conan instynktownie poluzował miecz w pochwie. Piramida, na której się znajdował, miała cztery boki, a w jednym z nich — tym zwróconym ku dżungli — były wykute szerokie stopnie. Conan wziął w dłoń shemicki łuk — jeden z tych, z których Bęlit uczyła strzelać swych piratów — i ułożył przed sobą stertę strzał, pierzastymi bełtami ku sobie. Przyklęknął na jedno kolano.

Coś poruszyło się w cieniu drzew. W blasku szybko wstającego księżyca ujrział czarny, zwierzęcy kontur głowy i ramion. I nagle z ciemności, szybko i cicho, wyłoniły się ciemne, przygięte do ziemi kształty — dwadzieścia wielkich, cętkowanych hien. Ich oślinione kły zabłysły w świetle księżyca, a ślepia płonęły tak, jak nigdy nie gorzały oczy żadnego zwierzęcia.

Dwadzieścia; a więc włócznie piratów jednak zebrały swoje żniwo. Nim jeszcze skończył tę myśl, Conan przyciągnął cięciwę do ucha i wraz z jej jękiem płomiennooki kształt wyskoczył w górę i wijąc się padł na ziemię. Reszta nie zwolniła biegu; gnała dalej, choć strzały Cymeryjczyka spadały na nich jak deszcz śmierci, słany z całą siłą i dokładnością stalowych mięśni, wspieranych nienawiścią równie gorącą, co rozżarzone ognie Piekieł.

Ogarnięty bojowym szaleńcem nie chybiał; powietrze było pełne świszczącej śmierci. Spustoszenie, jakie poczynił w nacierającym stadzie, zapierało dech w piersi. Mniej niż połowa bestii dotarła do podnóża piramidy. Następne padły na szerokich stopniach. Spoglądając w dół, w ich błyszczące ślepia, Conan pojął, że te stworzenia nie były zwierzętami, czuł, że ich demoniczna odmienność nie polegała tylko na monstrualnych rozmiarach. Roztaczały aurę równie namacalną jak czarne opary unoszące się nad zasłanym trupami bagniskiem. Nawet nie próbował

odgadnąć, dzięki jakim bezbożnym czarom stwory te zostały powołane do życia; jednak wiedział, że stanął twarzą w twarz z magią czarniejszą niż magia Studni Skelos.

Skoczywszy na równe nogi, potężnie napiął łuk i — niemal przytykając grot do ciała bestii — przeszył ostatnią strzałą wielkie, kudłate cielsko szybujące już ku jego gardłu. Strzała była jak mknący promień księżyca, który błysnął i zniknął trafiając w cel, lecz okropna bestia konwulsyjnie zwinęła się w powietrzu i runęła z łoskotem, przeszyta na wylot.

W następnej chwili dopadła go reszta stada, w koszmarnej wirze płonących ślepi i ociekających śliną kłów. Wściekły cios mieczem rozplątał pierwszą hienę na dwoje, lecz impet pozostałych zwałił go z nóg. Gałką rękojeści strzaskał wąski czerep, czując jak kruszą się kości, a krew i mózg tryska mu na dłoń; później, wypuściwszy bezużyteczny w takim ścisku miecz, wziął za gardła dwie bestie, które szarpały go i kąsały w bezgłośnej furii. Ohydny, kwaśny smród niemal go zadławił, a własny pot zalewał mu oczy. Tylko zbroja ocaliła go przed natychmiastowym rozdarciem na strzępy. W następnej chwili złapał prawą dłońią za kudłate gardło i rozszarpał je. Lewą dłońią, chybiwszy gardzieli drugiej bestii, złapał za jedną z przednich łap i złamał ją. Z pyska okaleczonej hieny wydobył się krótki, odrażająco ludzki jęk, jedyny dźwięk podczas tej ponurej bitwy. Słyszając ten odgłos ogarnięty obrzydzeniem Conan mimowolnie rozluźnił chwyt.

Pierwsza hiena, bluzgając krwią z rozdarłej tętnicy, rzuciła się nań ostatnim, konwulsyjnym ruchem i zacisnęła kły na jego krtani — lecz w tejże chwili padła martwa, nim barbarzyńca poczuł siłę tego chwytu.

Druga, skoczywszy naprzód na trzech nogach, szarpała jak



wilk brzuch Cymeryjczyka, aż rozerwała ogniwa kolczugi. Odrzuciwszy na bok zdychającego potwora, Conan złapał okulawioną hienę i potężnym szarpnięciem, które wydarło jęk z jego okrwawionych warg, uniósł w górę szamoczącą się i gryzącą bestię. Przez moment kołysał się, łapiąc równowagę i cuchnący oddech stwora parzył mu nozdrza, a szczęki kłapały tuż przy szyi, po czym z potworną, druzgocącą kości siłą cisnął nią o marmurowe stopnie.

Gdy chwiał się na szeroko rozstawionych nogach, spazmatycznie łapiąc powietrze, a dżungla i księżyc zdawały się kołysać przed nim w oceanie krwi, usłyszał głośny łopot błoniastych skrzydeł. Schyliwszy się podniósł swój miecz i wyprostował się chwiejnie, po czym oburącz uniósł miecz nad głowę i strząsnął krew zalewającą mu oczy, wypatrując w górze wroga.

Jednak atak z powietrza nie nastąpił — zamiast tego piramida zatrzęsała się okropnie pod stopami barbarzyńcy. Usłyszał przeraźliwy łoskot i spostrzegł, że wyniosła kolumna nad nim chwieje się jak gałąź na wietrze. Gwałtownie pobudzony do czynu, odskoczył jak najdalej: opadł na stopnie w połowie wysokości dygocącej pod jego stopami piramidy i następnym rozpaczliwym susem znalazł się na ziemi. Ledwie zdążył jej dotknąć, gdy piramida rozsypała się z gromowym hukiem, a kolumna runęła w dół tysiącem rozsypujących się fragmentów. Przez krótką, przerażającą chwilę, z nieba zdawał się padać marmurowy deszcz. A potem tylko strzaskany gruz leżał, bielejąc w świetle księżyca.

Conan poruszył się odrzucając odłamki, które na pół go zasypały. Jeden ze spadających kamieni strącił mu hełm i ogłuszył na moment. W poprzek nóg leżał wielki kawał

marmuru, przygniatając go do ziemi. Cymeryjczyk nie był pewien, czy ma całe nogi. Pot zlepiał mu czarne włosy; krew sączyła mu się z ran na szyi i dłoniach. Wsparty na jednej ręce zaczął się zmagać z wiążącym go gruzem.

Nagle coś przeleciało po rozgwieżdżonym niebie i opadło na murawę w pobliżu Conana. Obróciwszy głowę ujrzał skrzydlatego demona!

Stwór ruszył nań z przerażającą szybkością i Conan zdążył dostrzec tylko niewyraźny zarys olbrzymiej, człekokształtnej postaci, pędzącej na krótkich krzywych nogach, wyciągającej włochate, niekształtne ramiona, zakończone czarnymi szponami; zdeformowaną głowę i szeroką twarz, w której jedynym rozpoznawalnym szczegółem była para nabiegłych krwią ślepi. Nie był to ani człowiek, ani zwierzę czy demon, gdyż zdradzał zarówno ludzkie, jak i nadludzkie cechy.

Jednak Conan nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać. Rzucił się w kierunku swego leżącego opodal miecza, lecz wyciągnięte palce nie sięgnęły broni. Z siłą rozpaczyci chwycił głaz przygniatający mu nogi i żyły napęczniały mu na skroniach, gdy próbował go odwalić. Powoli unosił kamień wiedząc, że potwór dopadnie go, nim zdoła się uwolnić i zdając sobie sprawę z tego, iż te długie szpony niosą śmierć.

Skrzydlaty stwór nie wahał się ani chwili. Pochylił się nad leżącym Cymeryjczykiem jak czarny cień, wyciągając niekształtne łapska — gdy nagle biały błysk pojawił się między nim a ofiarą.

Przez jedną, oszałamiającą chwilę była tam — gibka, biała postać, emanująca miłością i dzika jak pantera. Zdumiony Cymeryjczyk ujrzał ją między sobą a zbliżającą się śmiercią — smukłą sylwetkę, błyszczącą w świetle księżyca jak kość

słoniowa; widział błysk jej czarnych oczu i gęstwę ciemnych włosów. Jej pierś falowała, czerwone wargi miała rozchylone — i z przenikliwym, dźwięcznym jak brzęk stali okrzykiem pchnęła skrzydlatego potwora w pierś.

— Belit! — wrzasnął Conan. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i w jej ciemnych oczach dojrzał miłość, gorejącą i żywiołową, gorącą jak ogień i płonąca lava. W następnej chwili zniknęła i Cymeryjczyk widział tylko skrzydlatą bestię, która cofnęła się chwiejnie, zdjęta niepohamowanym strachem, z wyciągniętymi ramionami, jakby próbując bronić się przed atakiem. Conan wiedział, że Belit naprawdę spoczywa na stosie wzniesionym na pokładzie „Tygryscy”. W myślach usłyszał jej namiętny okrzyk: „Nawet gdybym była martwa, a ty walczyłyś o życie, pospieszyłabym z otchłani...”

Ze straszliwym okrzykiem napiął mięśnie, odrzucając marmurowy głaz. Skrzydlaty znów zaatakował i Conan skoczył mu naprzeciw, czując w żyłach ogień szaleństwa. Muskuly przedramion naprężyły mu się jak postronki, gdy ciął swym wielkim mieczem, aż obrócił się na pięcie pociągnięty zamachem spadającej klingi. Trafił nadbiegającego potwora tuż nad biodrami i krótkie nogi poleciały w jedną, a tułów w drugą stronę, gdy ostrze rozplatało włochate cielsko na dwoje.

Conan stał milcząc w świetle księżyca, opuściwszy zakrwawiony miecz, spoglądając na szczątki wroga. Czerwone ślepia, płonące okropnym życiem, odpowiedziały mu spojrzeniem pełnym furii, później zaszklily się i zamknęły; wielkie dłonie zacisnęły się spazmatycznie i znieruchomiały. Najstarsza rasa na Ziemi wymarła.

Conan uniósł głowę, odruchowo szukając wzrokiem bestii, które były sługami i katami potwora. Żadna nie odpowiedziała

mu spojrzeniem. Ciała, które widział rozrzucone na oblanej światłem księżyca murawie, należały do ludzi, a nie do zwierząt: nadzy, ciemnoskórzy wojownicy, przeszyci strzałami lub pocięci razami miecza. Na jego oczach rozsypywały się w proch.

Dlaczego skrzydlaty władca nie przyszedł na pomoc swoim niewolnikom, gdy walczyli z barbarzyńcą? Czyżby obawiał się znaleźć w zasięgu ich kłów, które mogły i jego pochwycić? W niekształtnej czaszce potwora kryła się przebiegłość i ostrożność, lecz i tak nie zdały mu się one na nic.

Obróciwszy się na pięcie, Cymeryjczyk przeszedł po murszejącym nabrzeżu i wstąpił na pokład galery. Kilkoma uderzeniami miecza przeciął cumy i podszedł do steru. „Tygrysica” zakołysała się łagodnie na posępnych wodach i leniwie wypłynęła na środek rzeki, aż pochwycił ją wartki nurt. Conan napał na rumpel, z wzrokiem wbitym w spowitą w szkarłatny płaszcz postać spoczywającą na stosie, wśród skarbów godnych cesarzowej.

*I oto nadszedł kres naszej wspólnej drogi;  
Nie będzie skrzypu wiosła ni pieśni harfy wietrznej;  
Nasz proporzec szkarłatny już nie wzbudzi trwogi;  
Błękitna wstęgo świata, przyjmij w fale wieczne  
Tę, którą mi dałaś.  
— PIEŚŃ O BELIT*

I znów świt zaróżowił ocean. Jeszcze czerwiejsza poświata zapaliła się u ujścia rzeki. Na białej plaży Conan z Cymerii wsparł się na swym wielkim mieczu patrząc, jak „Tygryska” wypływa w swój ostatni rejs. W oczach, które spoglądały na kryształowo czyste wody, nie było blasku. Toczące się, rozkołysane wody straciły dlań cały powab i piękno. Gdy patrzył na zielony bezmiar rozciągający się aż po purpurowe, tajemnicze mgły horyzontu, w jego duszy dokonała się gwałtowna przemiana.

Belit była z morza; ona czyniła je wspaniałym i nęcącym. Bez niej było nagim, okropnym pustkowiem, rozpostartym od bieguna do bieguna. Należała do morza i jego odwiecznej tajemnicy musiał ją zwrócić. Nie mógł uczynić nic więcej.

Dla niego ta połyskliwa, błękitna wspaniałość oceanu była teraz bardziej odpychająca niż ściana gęstwiny szeleszczącej i szepczącej za jego plecami, czy rozciągające się Za nią nieprzebyte, tajemnicze pustkowia, w które miał się zagłębić.

Niczyja dłoń nie dzierżyła steru „Tygryscy”, żadne wiosła nie popychały jej po zielonej toni. Tylko czysty, słony wiatr wypełnił jej jedwabny żagiel i pomknęła po fali jak dziki łabędź lecący po

niebie ku gniazdu, a płomienie coraz wyżej strzelały z pokładu, liżąc maszt i pochłaniając owiniętą w szkarłat postać spoczywającą na ofiarnym stosie.

Tak odeszła królowa Czarnego Wybrzeża, a wsparty na swym zboczonym mieczu Conan stał w milczeniu, aż czerwona poświata rozwiała się w błękitnej mgle i poranek oblał ocean różem i złotem promieni.

**ROBERT E. HOWARD**

**DOLINA ZAGINIONYCH KOBIET**

*Będąc z Belit, Conan zdobył sobie przydomek Amra — Lew, którym od tej pory zawsze go obdarzano. Belit była jego pierwszą miłością. Po jej śmierci Conan na kilka lat porzuca morze. Podąża w głąb czarnych królestw i przyłącza się do pierwszego plemienia oferującego mu schronienie do wojowniczych Bamulasów. W ciągu kilku miesięcy, sprytem i orężem, wywalcza sobie tytuł wodza plemienia, które pod jego przywództwem szybko rośnie w siłę.*

Bębny i ogromne rogi ze słoniowej kości grzmiały wprost ogłuszająco, lecz ich łoskot wydawał się Liwii tylko cichym pomrukiem, głuchym i odległym. Leżała na glinianej podłodze wielkiej chaty, półprzytomna i bliska utraty zmysłów z przerażenia. Rozgrywające się na zewnątrz wydarzenia były niemal poza jej świadomością. Oszołomiony i roztrzęsiony umysł z nieuchronną pewnością wracał do okropnego wspomnienia: widoku nagiego, drgającego ciała brata i krwi spływającej po jego dygoczących nogach. Ta biała postać z bezlitosną wyrazistością zdawała się wyłaniać z koszmarnej plątaniny czarnych kształtów i cieni. Powietrze zdawało się wciąż pulsować przeraźliwymi krzykami bólu, przeplatanymi obrzydliwymi wybuchami rubasznego śmiechu.

Liwia całkowicie utraciła poczucie istnienia, pogrążając się w otchłani bezgranicznego cierpienia — stała się uosobieniem i kwintesencją rozpacz. Leżała bez ruchu, podczas gdy na zewnątrz grzmiały bębny, ryczały rogi, chrapliwe głosy intonowały okropne pieśni, bosa stopy uderzały o ubitą ziemię, a dłonie wtórowały im cichym klaskaniem.

W końcu jednak powoli zaczęła odzyskiwać świadomość. Najpierw poczuła niejasne zdziwienie faktem, że wciąż jeszcze pozostawała nietknięta. Przyjęła ten cud bez wdzięczności: to było zupełnie bez znaczenia. Z trudem uklękła i rozejrzała się wokół. W nogach czuła dziwne mrowienie, jakby sygnał budzących się do życia nerwów. Bosa stopy niepewnie dotknęły



klepiska. Dziewczyna gwałtownie obciągnęła rąbek kusej koszuli, która stanowiła jej jedyne odzienie. Jak przez mgłę przypominała sobie, że płakała ze wstydu i strachu, gdy czyjeś niecierpliwie ręce brutalnie zdarły z niej suknię. Wydawało się jej, że było to dawno, dawno temu i dziwiła się, że taka drobna przykrość mogła wzbudzić w niej żal. Odkryła, że zniewagi i upokorzenia są rzeczą względną, jak wszystko.

Drzwi chaty otwarły się i weszła tubylcza kobieta — zwinne, smukłe stworzenie o gibkim ciele błyszczącym jak polerowany heban — odziana tylko w skrawek jedwabiu okręcony wokół bujnych bioder. W białkach jej oczu odbijał się blask płonących na zewnątrz ognisk. Przyniosła bambusową tacę z niewyszukanym pożywieniem: parujące mięsiwo, pieczone bulwy jamu i kukurydza oraz dzban z kutego złota napełniony winem yarati. Postawiła tacę na polepie, ale Liwia nie zwróciła na nią uwagi; siedziała, wpatrując się tępo w przeciwległą ścianę, zawieszoną matami z bambusowych pędów. Młoda kobieta uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami, po czym syknąwszy coś złośliwie i uczyniwszy nieprzyzwoity gest, o wiele bardziej ordynarny niż słowa, odwróciła się i wymaszerowała z chaty, ruchami bioder wyrażając drwiącą pogardę.

Jednak ani słowa, ani gesty nie dotarły do świadomości Liwii, która wciąż nie zwracała uwagi na otaczającą ją rzeczywistość. Jej myśli uparcie krążyły wokół okropnych scen, które stawały przed oczyma z taką żywnością, że świat realny zdawał się jedynie nierzeczywistą pantomimą duchów i cieni. Machinalnie zjadła i wypiała to, co jej przyniesiono, nie czując smaku potraw. Po chwili podniosła się i niczym w transie przemierzyła chatę, by zerknąć przez szparę między bambusami. Nagła zmiana w brzmieniu bębnow i rogów wyrwała ją z apatii, każąc szukać

przyczyny zjawiska.

Początkowo nie mogła pojąć sensu rozgrywających się przed jej oczami wydarzeń; wszystko było splątane i mroczne, postacie bez przerwy poruszały się, zbijały w gromady, wiły i kręciły, jak czarne bryły wyciosane z nocy na krwawoczerwonym tle, przygasającym i rozbłyskającym na nowo. Później zrozumiała, że patrzy na tłum mężczyzn i kobiet tłoczących się wokół ognisk. Czerwone płomienie lśniły na ich srebrnych i kościanych ozdobach, białe pióropusze falowały na tle ciemnego nieba. Czarne sylwetki nagich postaci wydawały się być wycięte z mroku i obmalowane purpurą.

Na stołku z kości słoniowej, otoczony światą gigantycznych wojowników w pióropuszach i przepaskach z lamparcich skór, siedział tłusty karzeł — odrażający stwór przypominający żabę, który, zdawało się, wypełził z cuchnącej stęchlizną, gnijącej dżungli lub grząskich bagien. Pulchne dłonie zaplótł na wydatnym brzuchu. Jego kark wyglądał jak jednolity wałek tłuszczu wypychający naprzód niekształtną głowę, a oczy płonęły w czarnej twarzy niczym węgle w osmalonym pniaku. Ich ruchliwość przeczyła bezwładności obrzydliwego ciała. Widząc tę odrażającą postać, Liwia drgnęła nagle, jakby gwałtownie wracając do życia. Odrętwiałe ciało zmieniło się w kłębek rozdygotanych nerwów. Rozpacz ustąpiła miejsca nienawiści tak przejmującej, że aż bolesnej.

Dziewczyna zeszywniała, jak gdyby jej ciało było z ołowiu. Czowała nienawiść przepływającą niewidoczną falą razem ze spojrzeniem, tak że wydawało się, iż obiekt, ku któremu było skierowane to uczucie, lada chwila spadnie martwy ze stołka.

Jednak jeśli nawet Bajujh, król Bakalahów, odczuwał z tego powodu jakąś psychiczną nieprzyjemność, to nie dał tego po

sobie poznać. Nadal wpychał w żabią gębę pełne garście kukurydzy, czerpanej z naczynia podsuwanego mu przez klęczącą kobietę, bez zmrużenia powiek spoglądając na szeroką aleję, którą utworzyli jego poddani, rozstępując się na boki.

Liwia niejasno podejrzewała, że właśnie tędy ma nadejść jakaś ważna osobistość. Świadczył o tym narastający zgiełk rogów, bębnów i piszczałek. Tak też się stało.

Aleją maszerowała kolumna wojowników; las falujących pióropuszy i błyszczących włóczni przesunął się nad pstrokatym tłumem w kierunku wodza. Na czele czarnoskórych wojowników kroczył człowiek, na widok którego Liwie przeszył dreszcz. Jej serce zamarło na chwilę, po czym zaczęło bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Człowiek ów wyraźnie odróżniał się od czarnego tłumu. Wprawdzie tak jak jego ludzie odziany był tylko w przepaskę z lamparczej skóry i przepyszny pióropusz, lecz skóra jego miała białą karnację.

Szedł w kierunku siedzącego karła w sposób nie świadczący o tym, by przybywał jako poddany czy lennik oddający hołd. Gdy stanął przed Bajujhem, tłum nagle zamilkł. Liwia doskonale wyczuwała gęstniejącą atmosferę, choć istoty obserwowanych wydarzeń nie pojmowała. Bajujh, jakby zahipnotyzowany spojrzeniem przybysza, podźwignął swoje obrzydliwe cielsko i stanął, groteskowo kiwając głową.

Napięcie wyraźnie zelzało. Zgromadzeni wieśniacy wydali ogłuszający ryk, a w odpowiedzi wojownicy białego człowieka potrząsnęli włóczniami i gromkim okrzykiem powitali króla Bajujha. Liwia rozumiała, że przybyły musiał być kimś ważnym, skoro król Bakalahów witał go stojąc. W takich przypadkach poważanie kogoś oznaczało uznanie dla jego oręża, bowiem

wśród tych dzikich ludów jedynie siła budziła szacunek. Liwia stała z twarzą przyciśniętą do ściany, nie odrywając oczu od przybysza. Jego wojownicy wtopili się w tłum Bakalahów, tańcząc, ucztując, żłopiąc piwsko. On zaś, wespół z kilkoma wodzami, zasiadł na macie obok Bajujha i jego świty, częstując się tym, co przed nim ustawiono. Liwia widziała, jak sięga do mis z tłustym mięsiwem i wlewa w siebie ogromne ilości trunku, jak pije z tego samego naczynia, z którego poprzednio pił Bajujh. Zauważyła, że darzono go szacunkiem należnym królowi — ponieważ nie było stołka, Bajujh zrezygnował ze swojego i również usiadł na macie obok gościa. Gdy przyniesiono nowy dzban wina, król Bakalahów ledwie go skosztował, wręczając naczynie nieznanemu.

Władza! Cały ten ceremoniał wskazywał, że biały człowiek miał władzę, siłę i prestiż! Liwia drżała z emocji, a w jej umyśle z wolna zaczęła się rodzić plan działania.

Intensywnie przyglądała się nieznanemu, starając się zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu. Był wysoki — niewiele czarnych dorównywało mu wzrostem i wagą, poruszał się lekko i zwinnie, z kocią gracją. W jego niebieskich oczach paliły się groźne płomyki — niczym żar skryty za lodową taflą. Na nogach miał skórzane sandały, a u boku prosty miecz. Wyglądał obco i nieprzystępnie. Liwia nigdy nie widziała kogoś takiego jak on i nie próbowała określić, z jakiego kraju pochodził. Wystarczyło jej, że miał białą skórę.

Mijały godziny. Zgiełk przycichł z wolna, gdyż znużeni pijatyką tubylcy poczęli zapadać w ciężki sen. Bajujh podniósł się chwiejnie i uniósł ręce, co było gestem poddania się w zawodach obżarstwa i opilstwa. Zatoczył się i upadłby niechybnie, lecz stojący przy nim wojownicy krzepko chwycili go pod pachy i

zanieśli do chaty. W chwilę później nieznajomy wstał również i nie zdradzając żadnych objawów zamroczenia alkoholem, udał się na spoczynek. Gdy zniknął we wnętrzu domostwa, Liwia spostrzegła, jak tuzin wojowników z włóczniami w dłoniach otoczył jego kwaterę. Najwyraźniej przybysz nie dowierzał zbyt przyjaźni Bajujha.

Dziewczyna uważnym spojrzeniem ogarnęła najbliższe otoczenie, które sprawiało wrażenie pobojuwiska: przejścia pomiędzy chatami usłane były ciałami pijanych. Liwia wiedziała, że jedynymi mężczyznami czuwającymi w wiosce są teraz oszczepnicy strzegący spokoju nieznajomego przybysza, choć niektórzy z nich mieli spore trudności z utrzymaniem właściwej postawy. Serce waliło jej jak młot, gdy podkradała się do drzwi swojego więzienia. Bezszelestnie wyslizgnęła się na zewnątrz obok chrapiącego strażnika. Jak duch przemknęła przez plac, kierując się w stronę tylnej ściany chaty przybysza. Ostatnie metry przebyła na czworakach. Stojący tam na straży wojownik spał skulony na ziemi, opuściwszy ozdobioną pióropuszem głowę na kolana. Dziewczyna powoli przysunęła się do ściany. W tej chacie więziono ją przedtem, a wąska szczelina w bambusowych prętach, zasłonięta od wewnątrz zwisającą matą, przypominała o nieudanej próbie ucieczki. Liwia znalazła ten otwór, obróciła się bokiem i odsunawszy matę, zaczęła się wciskać do środka.

Wpadający z zewnątrz blask ognisk słabo oświetlał wnętrze. Dziewczyna odchyliła matę i w tej samej chwili usłyszała stłumione przekleństwo, poczuła czyjąś dłoń chwytającą ją za włosy, wciągającą do środka i szarpnięciem stawiającą na nogi.

Dygocząc ze strachu, oszołomiona gwałtownością wydarzeń, Liwia wzięła się w garść i odgarnawszy włosy z czoła, spojrzała w górę. Zobaczyła pochylającego się nad nią białego mężczyznę,

na którego poznaczonej bliznami twarzy malowało się zdumienie. Nieznajomy trzymał w ręku obnażony miecz, a jego oczy jarzyły się złowrogim płomieniem. Nie potrafiła osądzić, czy było to tylko zdumienie, czy może podejrzliwość lub gniew. Przemówił w języku, którego nie rozumiała; dźwięki nie przypominały ani gardłowej mowy czarnoskórych, ani żadnego z języków cywilizowanych narodów.

— Och, proszę! — błagała. — Nie tak głośno. Usłyszają...

— Kim jesteś? — spytał po ophirsku z barbarzyńskim akcentem. — Na Kroma, nigdy bym się nie spodziewał, że w tym piekielnym kraju spotkam białą dziewczynę!

— Mam na imię Liwia — odparła. — Jestem więźniem Bajujha. Och, proszę, wysłuchaj mnie! Nie mogę tu długo zostać. Muszę wrócić do chaty, zanim zauważą, że mnie nie ma. Mój brat... — urwała szlochając, po czym zaczęła od nowa. — Pochodzę z rodu Chelkus, uczonych i szlachciców ophirskich. Moim bratem był Theteles. Król Stygii dał mu glejt, z którym miał się udać do Kheshatty, miasta czarodziei, aby uczyć się ich sztuki. Ja miałam mu towarzyszyć. Był chłopcem, młodszym ode mnie... — głos jej się załamał i na chwilę umilkła.

Nieznajomy nie odezwał się słowem, mierząc dziewczynę płomiennym spojrzeniem. Z jego groźnie zmarszczonej twarzy niczego nie mogła wyczytać. Czuła, że ma przed sobą człowieka o gwałtownej, nieokiełznanej naturze, co przepajało ją lękiem i niepewnością.

— Czarni Kuszyci najechali Kheshattę — ciągnęła pospiesznie. — Właśnie dojeżdżaliśmy do miasta wraz z karawaną wielbłądów. Nasi opiekunowie uciekli, a Kuszyci uprowadzili nas. Nie uczynili nam krzywdy. Powiedzieli, że będą rokować ze Stygijczykami i przejmą za nas okup. Jednak jeden z ich wodzów,

wiedziony chciwością, pewnej nocy wykradł nas z obozu i razem ze swoimi ludźmi umknął daleko na południe, pod samą granicę Kush. Tam zostaliśmy zaatakowani przez bandę rabusiów bakalahańskich. Tylko nas oszczędzono. Thetelesa i mnie zawleczono później do jaskini tej bestii... — załkała rozpaczliwie. — Dziś rano brata zamęczono i rozsiekano na moich oczach...

Żal ścisnął jej gardło i zmącił wzrok.

— ...jego ciało rzucili szakalom. Nie wiem, jak długo leżałam nieprzytomna...

Podniosła oczy ku groźnie zmarszczonej twarzy obcego. Nagle ogarnęła ją szalona wściekłość; zaczęła bębnić piąstkami w jego masywną pierś, co nie wzbudziło w nim żadnej reakcji.

— Jak możesz tak stać, ty głupcze? — syczała wściekle. — Czyż jesteś tylko zwierzęciem, jak oni? Ach, Mitro, kiedyś sądziłam, że ludzie są dobrzy. Teraz wiem, że każdy ma swoją cenę. Ty... Co ty wiesz o honorze, o litości czy współczuciu! Jesteś takim samym barbarzyńcą jak tamci! Tylko twoja skóra jest biała — duszę masz czarną jak oni. Nie obchodzi cię to, że te bestie okrutnie zamęczyły człowieka i chcą mnie uczynić niewolnicą!

Cofnęła się.

— Dobrze! Zapłacę ci — rzuciła, zdzierając koszulę z piersi. — Czyż nie jestem ładna? Czyż nie jestem bardziej godna pożądania niż tubylcze dziewczki? Czy nie jestem godną nagrodą za przelaną krew? Czy moje dziewictwo nie jest warte śmierci tego psa, Bajujha? Zabij go! Niech zobaczę, jak jego przeklęty łeb toczy się po zakrwawionej ziemi! Zabij go! Zabij!

Umilkła, wstrząsana burzą uczuć. Zacisnęła pięści.

— Później możesz mnie wziąć i robić co zechcesz. Będę twoją niewolnicą!

Milczał chwilę, stojąc niczym gigantyczny posąg prymitywnej

siły, trzymając w dłoni złowrogo lśniący miecz.

— Mówisz, jakbyś mogła sama decydować o swoim losie — rzekł — i jakby dar twego ciała miał moc wstrząsania królestwami. Dlaczego miałbym zabijać Bajujha, żeby cię posiąść? W tej krainie kobiety są tanie jak banany, a ich zgoda czy jej brak niewiele znaczy. Zbyt wysoko się cenisz. Gdybym cię pragnął, nie musiałbym walczyć z Bajujhem. On wolałby cię oddać niż walczyć.

Liwia jęknęła. Nagle opuściły ją resztki sił i świat zawirował jej przed oczyma. Zatoczyła się i upadła na glinianą polepę jak kukielka, której ucięto sznurki. Szorstkie słowa nieznanego uświadomiły jej całkowitą bezsilność, odebrały nadzieję i pograżyły w rozpacz. Człowiek nieświadomie trzyma się ocen i poglądów, do których jest przyzwyczajony, nawet w zupełnie zmienionych warunkach i sytuacjach. Mimo wszystkich nieszczęść, jakich doświadczyła, Liwia wciąż podświadomie uważała, że jej zgoda jest istotnym czynnikiem w grze, którą zamierzała podjąć. Obezwładniło ją uświadomienie sobie faktu, że jest całkowicie bezsilna. W tej grze nie mogła posługiwać się mężczyznami jak pionkami; sama była bezradnym pionkiem.

— Widzę teraz, jak absurdalne było moje przeświadczenie, że ktoś w tym zakątku świata może postępować według reguł i obyczajów przyjętych na drugim krańcu świata — wyszeptała, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi; po prostu głośno wyraziła swoje myśli. Przybita ostatnim kaprysem losu osunęła się, lecz żelazne palce barbarzyńcy zamknęły się na jej ramieniu i znów postawiły na nogi.

— Nazwałaś mnie barbarzyńcą — rzekł szorstko — i miałaś rację, Kromowi dzięki. Gdyby opiekowali się tobą tacy jak ja, a nie cywilizowani słabeusze, nie byłabyś dziś niewolnicą tego



wieprza. Jestem Conan, Cymeryjczyk — żyję z tego, co zdobędę mieczem. Jednak nie jestem jeszcze takim psem, żeby zostawić kobietę w łapach dzikusów, a chociaż twoi rodacy zwań mnie rabusiem, nigdy nie posiadałem kobiety wbrew jej woli. Różne są obyczaje w różnych krajach, ale jeśli człowiek jest wystarczająco silny, może wszędzie dopiąć swego.

Nikt nie nazwał mnie słabeuszem. Nawet gdybyś była stara i brzydka, jak oswojony sęp diabła, zabrałbym cię Bajujhowi ze względu na kolor twojej skóry. Jednak jesteś młoda i piękna, a ja napatrzyłem się już wystarczająco na tubylcze dziewczki. Od ich widoku zbiera mi się na mdłości. Zrobię to, czego żadasz, ponieważ podzielam niektóre z twoich uczuć. Wracaj do swojej chaty. Bajujh jest zbyt pijany, by dziś do ciebie przyjść i zadbam o to, aby jutro też był zajęty. Jutrzejszej nocy ogrzejesz łożo Conana, nie Bajujha.

— Jak chcesz tego dokonać? — dziewczyną wstrząsały mieszane uczucia. — Masz jeszcze innych wojowników?

— Wystarczą ci — mruknął. — To Bamulasi, jeden w drugiego, a umiejętność wojowania wyssali z mlekiem matki. Przybyłem tu na prośbę Bajujha. Chce, żebym przyłączył się do ataku na Jihijich. Dziś wieczór uctowaliśmy. Jutro odbędzie się rada. Kiedy z nim skończę, będzie się naradzał w piekle.

— Złamiesz przymierze? — zapytała.

— W tym kraju przymierze zawiera się po to, żeby je łamać — odparł ponuro. — On chce łamać przymierze z Jihijimi. A kiedy już splądrowalibyśmy ich miasto, załatwiłby mnie przy pierwszej sposobności. To, co gdzie indziej byłoby najpodlejszą zdradą, tu uważane jest za dowód mądrości. Nie wywalczyłem sobie pozycji wodza Bamulasów, nie nauczywszy się pierwszej tej zasady. A teraz wracaj do swojej chaty i śpij wiedząc, że to dla mnie masz

zachować swoją urodę!

# 2

Liwia przywarła do szczeliny w bambusowej ścianie i patrzyła, dygocząc z emocji. Wieśniacy wstali późno. Zmęczenie nocnym pijaństwem dało im się mocno we znaki: przez cały dzień przygotowywali następną ucztę. Ten czas Conan Cymeryjczyk spędził w chacie wodza. Liwia nie miała pojęcia, co się dzieje. Z trudem ukrywała podniecenie przed jedyną osobą, która wchodziła do jej więzienia — wyzywającą młodą kobietą, przynoszącą jedzenie i picie. Ta jednak była jeszcze zbyt oszołomiona po całonocnej hulance, aby zauważyć jakąś zmianę w zachowaniu dziewczyny. Gdy zapadła noc, rozpalono ogniska. Wodzowie opuścili chatę króla, aby zasiąść na otwartej przestrzeni i przeprowadzić ceremonialną radę wojenną. Tym razem nie żłopano piwa. Liwia zauważyła, że Bamulasi nieznacznie przesuwają się bliżej kręgu siedzących dowódców. Widziała Bajujha i siedzącego naprzeciw niego Conana, żartującego z roslým Ają, wojennym wodzem Bakalahów.

Cymeryjczyk ogryzał ogromny udziec wołu. Liwia dostrzegła szybkie spojrzenie, jakim obrzucił swoich wojowników, którzy wyczekująco spoglądali na niego. Conan wstał i nie przestając się uśmiechać udał, że sięga do stojącego obok kotła z mięsiwem, po czym odwrócił się błyskawicznie i ciężką kością zadał Aji straszliwy cios w głowę. Wojownik padł z rozwaloną czaszką. W tej samej chwili przeraźliwy wrzask wstrząsnął dżunglą — to Bamulasi ruszyli do walki niczym żądne krwi tygrysy.

Kotły z jedzeniem wywracały się, parząc kobiety, bambusowe

ściany chat uginały się pod uderzeniami walących o nie ciał, wrzaski agonii niosły się daleko w noc, a nad tym zgiełkiem górowały bojowe okrzyki szalejących Bamulasów i raz po raz błyskały oblane purpurową poświatą ostrza ich włóczy.

Zapanowało powszechne zamieszanie. Niespodziewany atak zupełnie zaskoczył nieszczęsnych mieszkańców wioski. Myśl o jakimkolwiek zagrożeniu ze strony gości nawet nie przemknęła przez głowę Bakalahów. Większość wojowników pozostawiła broń w chatach, a wielu było już ponownie pijanych. Zabicie Aji było sygnałem, na który czekali Bamulasi; już pierwsze uderzenie położyło pokotem setkę wojowników — zaczęła się prawdziwa masakra.

Liwia nie była w stanie odejść od szczeliny; blada jak ściana, odrzuciła w tył złote loki i ścisnęła rękami skronie. Odrętwiała ze zgrozy patrzyła zesklonymi oczami na rzeź. Wrzaski bólu i wściekłości były dla jej udręczonych nerwów jak fizyczne ciosy; zamazane, wyjące sylwetki to przybliżały się do jej chaty, to znów oddalały. — Przerazająco wyraźnie widziała włócznie przeszywające rozpaczliwie umykających ludzi, tryskającą krew, pałki unoszące się i opadające ze straszliwą siłą na głowy ofiar. Rozrzucone nogami uciekających głównie ognisk sypały skrami; strzechy chat poczerniały, strzelając płomieniami. Poprzez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask płonących żywcem ludzi. Mdląca woń spalonego mięsa rozeszła się w powietrzu przesyconym zaduchem potu i krwi.

Napięte nerwy Liwii nie wytrzymały. Z jej gardła wydobył się przenikliwy krzyk udręki, który zginął w odgłosach płomieni i wrzaskach mordowanych. Dziewczyna przycisnęła pięści do skroni. Bliska utraty zmysłów, daremnie usiłowała wytłumaczyć sobie, że to wrogowie giną tak straszną śmiercią, że sama

zamierzała do tego doprowadzić i że ta rzeź to zapłata za zło wyrządzone jej bratu. Krzyk zmienił się w histeryczny wybuch szalonego śmiechu. Bezgraniczne przerażenie ścisnęło ją za gardło.

Zapomniała o litości dla ofiar umierających pod ciosami zbroczonych krwią włóczni. Czowała tylko potworny, paniczny lęk... Ujrzała Conana.

Jego biała postać wyróżniała się wśród kłębowiska czarnych ciał. Liwia zobaczyła błysk miecza i padających wokół ludzi. Tłum walczących przetoczył się bliżej ogniska i dziewczyna dostrzegła tłąstą, przysadzistą postać. Conan przedarł się przez walczących i na moment zniknął jej z oczu pośród czarnych sylwetek. Powietrze przeszył cienki, rozpaczliwy pisk. Ciżba walczących nie pozwoliła dostrzec szczegółów, lecz Liwia ujrzała, jak tłuusty karzeł zatacza się brocząc krwią. Potem tłum znów zgęstniał i stalowe ostrze błysnęło niczym błyskawica na nocnym niebie.

Dał się słyszeć donośny okrzyk triumfu, przerażający swą dziką radością. Gigantyczna postać przedarła się przez tłum. Conan kroczył ku chacie, w kierunku Liwii. W ręce niósł dar, który płomienie palących się chat oświeciły czerwonym blaskiem — głowę króla Bajujha. Z daleka widać było wywrócone białka oczu, obwisłą w idiotycznym uśmiechu szczękę i gęsty deszcz szkarłatnych kropeł padających na ziemię.

Liwia cofnęła się z jękiem grozy. Conan dotrzymał słowa; teraz przybywał po zapłatę... chwyci ją okrwawionymi palcami, zmiążdży wargi ustami jeszcze dyszącymi żądzą mordy... Na myśl o tym dziewczynę ogarnęło szaleństwo. Z wrzaskiem przebiegła przez chatę i uderzyła ciałem o tylne drzwi. Wywaliła je z trzaskiem i wypadła na otwartą przestrzeń niczym biały

duch przelatujący przez królestwo czarnych cieni i czerwonego płomienia.

Instynktownie skierowała się do zagrody, w której trzymano konie. Czarnoskóry wojownik właśnie wyjmował belki oddzielające zagrodę od głównej *bomy*. Z okrzykiem zdumienia wyciągnął rękę i chwycił za kołnierz koszuli Liwii. Dziewczyna wydarła mu się rozpaczliwym szarpnięciem, zostawiając szatę w jego rękach. W tejże chwili parskające, przerażone konie przebiegły obok, wdeptując wojownika w ziemię chude, żylaste konie kuszyckie, oszalałe od widoku ognia i zapachu krwi.

Liwia sięgnęła na oślep i chwyciła powiewającą grzywę. Szarpnięcie oderwało ją od ziemi; znów dotknęła jej palcami stóp, odbiła się, podciągnęła i wgramoliła na grzbiet galopującego wierzchowca. Oszalałe stado przeleciało przez wioskę; małe podkowy skrzesały deszcz iskier z główki rozrzuconego ogniska. Zaskoczeni tubylcy przez moment widzieli nagą, białą dziewczynę na grzbiecie pędzącego jak wiatr rumaka. Gęste, złote włosy płynęły za nią długą falą. Wierzchowiec pogalopował przez plac, przeskoczył przez *bomę* i zniknął w mroku nocy.

Liwia nie próbowała kierować wierzchowcem, nie czuła też specjalnej potrzeby robienia tego. Łuna pożaru i wrzaski mordowanych pozostały w tyle, wiatr rozwiewał jej włosy i pieścił nagie ciało. Niejasno, zdawała sobie sprawę, że musi się trzymać powiewającej grzywy i galopować, galopować, aż na koniec świata, jak najdalej od bólu, rozpacz i przerażenia.

Niezmordowany rumak pędził przed siebie, gdy nagle — wbiegłszy na szczyt oblanego światłem gwiazd pagórka — potknął się i zrzucił dziewczynę.

Spadła na miękką murawę i przez chwilę leżała półprzytomna,

słuchając, jak koń oddala się wolnym kłusem. Gdy chwiejnie stanęła na nogi, zdziwiła ją panująca wokół cisza. Ta cisza była wprost namacalna, a po ogłuszającym łomocie bębnów i rogów, który doprowadzał do szaleństwa, wydawała się czymś łagodnym i miękkim jak aksamit. Liwia podniosła wzrok ku wielkim, białym gwiazdom gęsto rozsypanym na czarnym niebie. Nie było księżycy i tylko one oświeślały ziemię swym złudnym blaskiem, budząc ostre plamy cienia. Liwia stała na pokrytym murawą wzniesieniu, którego łagodne stoki spływały miękko ku szerokiej dolinie. W oddali dostrzegła zwartą, ciemną linię drzew — skraj lasu.

Tutaj była tylko noc i martwa cisza, a słaby wietrzyk zdawał się spływać z gwiazd.

Wszystko wydawało się pogrążone we śnie. Ciepła pieśczoła wiatru uświadomiła dziewczynie jej nagość; drgnęła niespokojnie, zakrywając się rękami. Poczowała otaczającą ją pustkę i własną samotność. Była sama. Stała na szczycie pagórka, wokół nie było nikogo — nic prócz nocy i szepczącego wiatru.

Nagle poczuła głębokie zadowolenie. Już nic jej nie groziło; nikt nie zmiażdży jej w brutalnym uścisku. Spojrzała uważnie i zobaczyła dno doliny. Falowały tam wysokie paprocie, a wśród nich majaczyły, porozrzucane tu i tam, blade punkty.

Wydawało się jej, że to wielkie białe kwiaty. Ta myśl nasunęła jej niewyraźne wspomnienie; przypomniała sobie, że czarni ze strachem opowiadali o jakiejś dolinie, w której niegdyś schroniły się przed najeźdźcami kobiety dziwnej rasy, mające brązową skórę. Podobno zamieszkiwały te ziemie przed nadejściem praprzodków Bakalahów. Tam, jak głosiła legenda, zamieniły się w białe kwiaty: w ten sposób dawni bogowie pomogli im umknąć przed prześladowcami.

Żaden tubylec nie ośmieliłby się wejść do tej doliny. Jednak Liwia nie wahała się. Zejdzie po trawiastym stoku, który dla jej delikatnych stóp był jak aksamitny dywan; zamieszka wśród tych kołyszących się, białych kwiatów i nigdy żaden mężczyzna nie zdoła jej pochwycić. Conan powiedział, że zawiera sojusze tylko po to, aby je łamać, więc ona złamie przymierze, które z nim zawarła — Uda się do Doliny Zaginionych Kobiet, zatraci się w ciszy i samotności... Pogrążona w tych myślach schodziła po łagodnym zboczu, coraz niżej i niżej, na dno doliny.

Stoki otaczających dolinę wzgórz były tak łagodne, że nawet kiedy znalazła się na dole, nie miała wrażenia, że jest odcięta od świata. Wokół falowało morze cienia, a wielkie białe kwiaty kołysały się i zdawały czule do niej szeptać. Liwia ruszyła przed siebie rozchylając rękami paprocie, słuchając szemrzącego wśród liści wiatru i bulgotu niewidocznego strumyka. Wszystko to sprawiało jej niemal dziecienną przyjemność. Kroczyła jak we śnie, jak gdyby znalazła się w jakimś nierzeczywistym świecie. Szła pochłonięta myślą, że tu jest wolna od brutalności mężczyzn. Płakała, ale były to łzy radości. Wyciągnęła się na miękkiej murawie i chwyciła rękami źdźbła trawy, jakby chciała całą dolinę przycisnąć do piersi i nigdy nie wypuścić.

Zerwała kilka białych płatków i wplotła je we włosy niczym diadem. Ich zapach był jak wszystko w dolinie: delikatny, upajający.

W końcu wyszła na polankę pośrodku doliny i ujrzała tam wielki głaz, przypominający wyciosany ludzkimi rękami ołtarz, ozdobiony zielonymi pędami paproci i kwieciem. Liwia stanęła przed nim, czując czyjąś obecność. Odwróciła się i zobaczyła wyłaniające się z cienia postacie. To były kobiety; smukłe, o brązowej karnacji, z kwiatami wplecionymi w czarne jak noc



włosy. Bez słowa otoczyły kręgiem dziewczynę. Zobaczywszy ich oczy Liwia poczuła przyływ przerażenia. Ich oczy były jasne i świetliste — lecz nie miały w sobie nic ludzkiego. Wprawdzie te stworzenia miały ludzką postać, ale ich dusze uległy jakimś okropnym przemianom, odzwierciedlającym się w tych płonących źrenicach. Liwia czuła obezwładniający lęk. Żmija podniosła swój złowrogi łeb w nowoodkrytym raju.

Nie była w stanie uciekać. Gibkie, brązowoskóre istoty otoczyły ją ciasnym pierścieniem. Jedna, ładniejsza od innych, podeszła lekko do drżącej dziewczyny i objęła ją smukłymi ramionami. Jej oddech był przesycony tym samym zapachem, jaki sączył się z falujących w blasku gwiazd białych kwiatów. Jej wargi dotknęły warg Liwii, wyciskając na nich długi, straszliwy pocałunek. Dziewczyna poczuła, że krew ścina się jej w żyłach i drętwieją kończyny. Niczym posąg z marmuru trwała w objęciach czarnowłosej, niezdolna do wypowiedzenia choć słowa czy zrobienia najmniejszego ruchu.

Delikatne ręce podniosły ją i położyły na kamiennym ołtarzu, wśród wonnego kwiecica. Brązowoskóre kobiety chwyciły się za ręce i poczęły pisać wokół w dziwnym, ponurym rytmie. Nigdy ludzkie oczy nie oglądały takiego tańca, nie widziało go słońce ni księżyc — jedynie blade gwiazdy jarzące się teraz intensywniejszą poświatą, jakby w odpowiedzi na magiczny zew.

W powietrzu rozchodził się cichy śpiew; szmer głosów przypominający szelest falujących pod rozgwieżdżonym niebem kwiatów. Liwia nie utraciła przytomności, a jednak nie była w stanie zrobić żadnego ruchu. Nie miała powodu wątpić w swoje zdrowe zmysły, nie próbowała też zastanawiać się nad swoją sytuacją; po prostu była tu i te istoty tańczące wokół niej też były rzeczywistością, jakkolwiek koszmarną. Leżała, bezradnie

wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, z którego, jak instynktownie wyczuwała, miało coś przybyć po nią, tak jak niegdyś przybyło do tych brązowoskórych kobiet, by uczynić je takimi niesamowitymi, pozbawionymi dusz istotami, jakimi były teraz.

Najpierw wysoko, wśród gwiazd, zobaczyła czarną plamę, która powiększając się, niebawem osiągnęła wielkość nietoperza. Nie koniec na tym — plamka rosła nadal, lecz jej kształt już się nie zmieniał. Tak określony zawisł nad doliną i zaczął opadać ku ziemi niczym kamień; jego cień padł na leżącą na ołtarzu Liwię. Śpiew nabrał mocy, zmieniając się w cichy pean nadludzkiej radości, wznoszony na powitanie bóstwa przybywającego po swoją ofiarę, świeżą i piękną, jak kwiat zroszony ranną rosą.

Stwór zawisł tuż nad przerażoną dziewczyną. Olbrzymie skrzydła potwora, niekształtne ciało i mroczne rysy nie przypominały żadnego żyjącego na ziemi stworzenia. Liwii wydawało się, że spogląda na ucieleśnienie grozy, uosobienie kosmicznego zła zrodzonego w otchłaniach nocy, przewyższającego najdziksze rojenia szaleńca.

Mobilizując wszystkie siły, nabrała tchu w piersi i wrzasnęła okropnie. Odpowiedział jej głuchy, złowrogi pomruk. Nagle usłyszała tupot bosych stóp i wszystko wokół zawirowało jak wzburzona woda; białe kwiaty stuliły płatki, a brązowoskóre kobiety zniknęły w oka mgnieniu. Ogromny, czarny cień wciąż unosił się nad Liwią, lecz już pędziła ku niej inna, wysoka postać w białym pióropuszu na głowie.

— Conan! — wykrzyknęła.

Barbarzyńca jednym susem wskoczył na ołtarz i długie, srebrzyście lśniące ostrze ze świstem przecięło powietrze. Wielkie, czarne skrzydła łopotały bezgłośnie. Zdrętwiała z

przerażenia Liwia ujrzała, jak czarny cień spowija stojącego nad nią Cymeryjczyka. Conan dyszał ciężko, jego stopy tratowały łądygi białych kwiatów. W ciszy słuchać było tylko jego głośny oddech i świst spadającego ostrza. Coś potrząsało nim jak kot potrząsa myszą, krew prysnęła na trawę, mieszając się z białymi płatkami, które usłały ziemię niczym dywan.

Wreszcie patrząca na te okropne zmagania dziewczyna dostrzegła, jak czarnoskrzydły stwór gwałtownie zakołysał się w powietrzu, raptownym łopotem skrzydeł oderwał od przeciwnika i wzbił w górę, znikając wśród gwiazd. Zwycięzca stał chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach i groźnie potrząsając mieczem patrzył w ślad za potworem; zadziwiony jego odwrotem, lecz w każdej chwili gotowy podjąć dalszą walkę.

Po chwili Conan zszedł z ołtarza. Dyszał ciężko i broczył krwią. Jego potężna, błyszcząca od potu pierś unosiła się i opadała z wysiłkiem, a barki i ramiona spływały krwią. Dotknął Liwii i dziewczyna natychmiast zerwała się na równe nogi, zeskakując z ołtarza. Można by sądzić, że Cymeryjczyk przeciął niewidoczne pęta.

Conan oparł się o kamień, patrząc na kulącą się ze strachu dziewczynę.

— Moi ludzie widzieli, jak uciekłaś z wioski — rzekł. — Ruszyłem za tobą jak mogłem najprędzej i wkrótce znalazłem twój ślad, chociaż tropienie przy świetle pochodni nie jest łatwe. Dotarłem do miejsca, gdzie koń cię zrzucił i chociaż skończyły mi się pochodnie i nie mogłem dostrzec śladów twoich stóp na murawie, byłem pewny, że zeszłaś do doliny. Moi wojownicy nie chcieli iść ze mną, więc poszedłem sam. Co to za piekielne miejsce! I co to za potwór?

— To bóstwo — szepnęła. — Bóstwo spoza otchłani czasu i

przestrzeni, o którym mówią czarni...

— Demon Ciemności — mruknął Cymeryjczyk. — Och, teraz rozumiem. Za otaczającym hasz świat pasem światła jest ich więcej niż pcheł. Słyszałem, jak mówili o tym zamorańscy mędrzy. Czasem te stwory pojawiają się w naszym świecie, ale wtedy muszą przybrać jakąś materialną postać. Mając dobry miecz w ręku człowiek może stawić czoła kłom i pazurom każdego potwora, ziemskiego czy piekielnego. Chodź, moi ludzie czekają na skraju doliny.

Zmarszczywszy brwi Cymeryjczyk spoglądał na kulącą się u jego stóp dziewczynę, niezdolną poruszyć się czy wykrztusić choć słowo. W końcu Liwia wyszeptała:

— Uciekłam przed tobą. Chciałam cię oszukać. Nie zamierzałam dotrzymać obietnicy; miałam być twoją niewolnicą, a chciałam ci uciec. Możesz mnie ukarać...

Conan otarł pot z czoła i włożył miecz do pochwy.

— Wstań — mruknął. — To nie była uczciwa umowa. Nie żałuję tego psa Bajujha, a ty nie jesteś dziewczką, którą się kupuje. W różnych krajach różne są obyczaje, ale człowiek nie powinien być wieprzem, obojętnie gdzie się znajduje. Kiedy to sobie przemyślałem, stwierdziłem, że gdybym cię trzymał za słowo, to tak samo, jakbym cię zniewolił. Ponadto nie jesteś na tyle silna, aby żyć w tym kraju. Twoje miejsce jest w mieście, wśród książek i cywilizowanych ludzi. Szybko zginęłabyś, gdybyś miała zostać u mego boku. A z martwej kobiety nie ma żadnego pożytku. Zabiorę cię do stygijskiej granicy. Stygijczycy odeślą cię do domu, do Ophiru.

Liwia spojrzała na niego tak, jakby nie była pewna, czy dobrze go słyszy.

— Do domu? — powtórzyła machinalnie. — Do domu? Do

Ophiru? Do rodziców? Do miasta, ludzi, księżek...?

Nagle łzy popłynęły jej z oczu i padła Conanowi do nóg.

— Na Kroma, nie rób tego — mruknął barbarzyńca —  
Myślałby kto, że robię ci przysługę, wyrzucając cię z tego kraju.  
Czyż nie wyjaśniłem ci, że nie jesteś odpowiednią kobietą dla  
wodza Bamulasów?

## L. SPRAGUE DE CAMP, LIN CARTER

### ZAMEK GROZY

*Zanim Conan zdołał wprowadzić w życie swój plan stworzenia czarnego imperium i zasiąść na jego tronie, uniemożliwia mu to seria następujących po sobie klęsk żywiołowych a także intrygi nieprzyjaciół, niechętnie patrzących na rosnące wpływy przybysza wśród Bamulasów. Zmuszony do ucieczki, kieruje się na północ, przez równikową dżunglę i trawiaste sawanny, ku na pół cywilizowanemu królestwu Kush.*

Za nieprzebytymi pustyniami Stygii leżą rozległe stepy Kush. Na przestrzeni ponad stu staj nie było tu nic prócz bezkresu gęstych traw. Tu i ówdzie wznosiło się samotne drzewo, zakłócające monotonię stepu: kolczasta akacja, drace — na o mieczowatych liściach, szmaragdowo — zielona lobelia lub grubopalczysta, trująca euforbia. Tu i tam strumyk płytką bruzdą przecinał równinę, dając początek wąskiemu pasmu lasu porastającego brzegi. Stada zebr, antylop, bawołów i innych mieszkańców sawanny przemieszczały się z miejsca na miejsce, pasąc się po drodze.

Trawy szeptały i kłoniły się w podmuchach wiatru wiejącego pod kobaltowym niebem, na którym oślepiająco błyszczało tropikalne słońce. Tu i ówdzie gromadziły się chmury; przelotna burza grzmiała i błyskała z przerażającą wściekłością, by minąć i ucichnąć równie szybko, jak się zaczęła.

Pod koniec dnia przez bezkresne pustkowia wędrowała samotna postać. Był to młody, silnie zbudowany olbrzym, o potężnych mięśniach grających mu pod zbrązowiałą od słońca skórą poznaczoną białymi śladami starych blizn. Miał wypukły tors, szerokie bary i długie kończyny; skąpy strój złożony z przepaski na biodra i sandałów podkreślał jeszcze wspaniałą sylwetkę. Ramiona, klatkę piersiową i plecy miał opalone na czarno, niemal tak, jak rodowici mieszkańcy tych ziem.

Zmierzwione loki rozwichrzonej grzywy gęstych, czarnych włosów okalały posępną, nieruchomą twarz. Niebieskie oczy

nieustannie zerkwały spod zmarszczonych, czarnych brwi, gdy ich właściciel maszerował elastycznym, miarowym krokiem przez równinę. Czujnym spojrzeniem przeszywał gęste, cieniste kępy traw po obu stronach, zaczerwienione zjadliwym szkarłatem zachodzącego słońca. Niebawem nad Kush zapadnie noc; w cieniu jej skrzydeł pustkowie zmieni się w królestwo niebezpieczeństwa i gwałtownej śmierci.

Jednak samotny wędrowiec, Conan z Cymerii, nie czuł lęku. Barbarzyńca z krwi i kości, wychowany wśród surowych gór odległej Cymerii, był obdarzony żelazną wytrzymałością i niesamowitą żywotnością umożliwiającą mu przetrwanie tam, gdzie cywilizowany człowiek, mimo iż niepomiernie lepiej wykształcony, bardziej uprzejmy i wyrafinowany, zginąłby w mgnieniu oka. Chociaż już od ośmiu dni podróżował pieszo, żywiąc się tylko tym, co zdołał upolować za pomocą wielkiego, myśliwskiego łuku, który miał przytroczony na plecach, mocarny Cymeryjczyk jeszcze nie utracił sił.

Od dawna przywykł do spartańskiego życia w głuszy. Chociaż posmakował rozkoszy cywilizacji niemal w połowie warownych, wspaniałych miast swego świata, wcale do nich nie tęsknił. Niestrudzenie parł naprzód, ku odległemu horyzontowi zasnutemu teraz mętną, purpurową mgiełką.

Za nim pozostały gęste dżungle czarnych krain za Kush, gdzie fantastyczne orchidee jaśniały pośród ponurej, ciemnej zieleni listowia, gdzie dzikie czarne plemiona z trudem wyrąbywały sobie przestrzeń do życia w splątanym gąszczu i gdzie w półmroku wilgotnych, cienistych ścieżek rozbrzmiewały głuche warknięcia polującego lamparta, chrząkanie dzika, przeraźliwe trąbienie słonia lub nagły wrzask rozzłoszczonej mały. Przez blisko rok Conan przebywał tam jako wódz potężnego plemienia



Bamulasów. W końcu sprytni czarni kapłani, zazdrośni o jego rosnące wpływy i źli z powodu jego nieskrywanej pogardy dla ich krwiożerczych bóstw oraz okrutnych, krwawych rytuałów, zatruli umysły bamulaskich wojowników, którzy obrócili się przeciw białemu wodzowi.

Stało się to w następujący sposób: w dżungli nastał okres długiej, nieprzerwanej suszy; wraz z kurczeniem się rzek i wysychaniem wodopojów rozpoczęła się zażarta, gwałtowna wojna o wodę. Czarnoskóre plemiona zwały się w rozpaczliwej walce o kilka pozostałych zbiorników cennego płynu. Wioski stanęły w płomieniach; całe klany zostały wycięte w pień i pozostawione na żer sępom. A wtedy, w ślad za suszą, głodem i wojną, przyszła zaraza, która doszczętnie spustoszyła ziemię.

Złośliwe języki sprytnych kapłanów obwiniały o te nieszczęścia Conana. To on — przysięgali — sprowadził te klęski na Bamulasów. Bogowie gniewali się, że jakiś białoskóry cudzoziemiec zasiadł na ozdobnym tronie, od pokoleń należącym do bamulaskich wodzów. Conana — przekonywali — należy obdrzeć ze skóry i wśród tysięcznych męczarni zabić na ołtarzu jednego z demonicznych bóstw dżungli, inaczej cały lud czeka zguba.

Nie godząc się na tak ponury koniec, Conan odpowiedział im szybko i gwałtownie. Pchnięciem długiego, prostego miecza wykończył arcykapłana. Później wywrócił zboczony krwią, drewniany posąg bamulaskiego bóstwa na pozostałych szamanów i umknął w mrok dżungli otaczającej wioskę. Wiele staj wędrował w ciemnościach na północ, aż dotarł na tereny, gdzie gęsty las rzedniał i ustępował miejsca otwartej sawannie. Barbarzyńca zamierzał przebyć ją pieszo i dotrzeć do królestwa Kush, gdzie siła i zręczność w posługiwaniu się mieczem

mogłyby zapewnić mu pracę w służbie śniadoskórych monarchów tej prastarej krainy.

Nagle przestał rozmyślać o minionych zdarzeniach, wyczuwając niebezpieczeństwo. Jakiś pierwotny instynkt ostrzegł go o zagrożeniu. Staął i spojrział wokół, na długie cienie rzucane przez zachodzące słońce. Poczł dreszcz przebiegający mu po krzyżu; wyczuwając niewidzialną groźbę przystanął, zaczął węszyć i bystrym okiem spoglądać w mrok. Chociaż niczego nie dostrzegł i nie zwęszył, dziwny, nabyty w trakcie życia w dziczy instynkt podpowiedział mu, że coś się zbliża. Poczł na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu i błyskawicznie obróciwszy się, dostrzegł błysk pary wielkich, jarzących się w półmroku ślepi.

Błyszczące ślepia zniknęły niemal natychmiast. Widział je przez tak krótką chwilę i zniknęły tak szybko, że był skłonny zbyć sprawę wzruszeniem ramion i uznać za wytwór własnej wyobraźni. Odwrócił się i poszedł dalej, lecz teraz znacznie czujniej. Kiedy ruszył w dalszą drogę, płonące ślepia znowu pojawiły się w gęstym cieniu traw i bezgłośnie podążyły w ślad za barbarzyńcą. Płowe, smukłe cienie bezszelestnie ruszyły za Cymeryjczykiem. Lwy Kush szły jego tropem, łaknąc świeżej krwi.

Godzinę później nad sawanną zapadła noc i tylko na zachodnim horyzoncie pozostał wąski pas blasku, na tle którego od czasu do czasu odcinał się czarny kształt karłowatego, stepowego drzewka. Conan zbliżał się już do kresu wytrzymałości. Trzykrotnie z gąszczu po prawej lub lewej stronie wyskoczyły na niego lwice i trzy razy odpędził je fruwającą śmiercią swoich strzał. Chociaż w gęstniejących ciemnościach trudno było celować, za każdym razem donośny ryk atakujących kotów świadczył o trafieniu, choć barbarzyńca w żaden sposób nie mógł stwierdzić, czy zabił drapieżnika, czy tylko go ranił.

Jednak teraz miał już pusty kołczan i wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim bestie zdołają go dopaść. Jego tropem szło osiem lub dziesięć lwów i nawet posępny barbarzyńca poczuł ukłucie rozpacz. Nawet jeśli swym potężnym mieczem powali jednego napastnika czy dwóch, to reszta rozszarpie go na strzępy, nim zdoła zadać następny cios. Conan zetknął się już z lwami i znał ich potworną siłę, pozwalającą im chwycić całą zebnę i nieść ją w zębach równie łatwo, jak kot niesie mysz. Choć Conan był jednym z najsilniejszych ludzi swoich czasów, jeśli lew pochwyci go w swoje kły i pazury, mimo swojej siły będzie równie bezradny jak niemowlę.

Biegł dalej. Gnał tak już niemal godzinę, długimi, lekkimi susami pożerającymi mile. Z początku biegł bez wysiłku, lecz teraz zmęczenie ucieczką przez czarną dżunglę i ośmiodniową wędrówką przez równinę zaczynało już dawać o sobie znać.

Oczy zasnuły mu się mgłą i bolały go nogi. Każde uderzenie łomoczącego serca zdawało się pozbawiać go resztek sił, jakie mu pozostały.

W duchu modlił się do swych prymitywnych bogów, aby kazali księżycowi wyłonić się zza białych chmur, zasłaniających większość nieba. Prosił ich o jakiś pień lub pagórek, który by zakłócił monotonną równinę sawanny, a nawet o jakiś głaz, o który mógłby się oprzeć podczas ostatniej walki ze stadem.

Lecz bogowie go nie słyszeli. Jedynymi drzewami na tym terenie były karłowate, kolczaste krzewy, które wyrastały na wysokość sześciu lub ośmiu stóp, a potem rozkładały gałęzie poziomo, na kształt grzyba. Gdyby mimo kolców udało mu się wspiąć na takie drzewo, pierwszy lew, który by go dopadł, z łatwością ściągnąłby go na ziemię. Jedynymi pagórkami były kopce termitów, niektóre wznoszące się na wysokość paru stóp, lecz zbyt małe, aby mógł się na nich bronić. Nie mógł zrobić nic — tylko uciekać.

Po wystrzeleniu ostatniej strzały odrzucił wielki, myśliwski łuk, chociaż serce mu się krajało, że musi się pozbyć tak wspaniałej broni. Kolczan i rzemienne pasy szybko poszły w ślad za łukiem. Pozostał w samej przepasce z lamparciej skóry i wysoko wiązanych sandałach. W jednej ręce niósł bukłak z kozłej skóry i ciężki miecz. Rozstanie z tymi przedmiotami byłoby wyrzeczeniem się wszelkiej nadziei.

Lwy już niemal deptały mu po piętach. Czuł silny smród ich zwinnych ciał i słyszał zdyszane ziajanie. W każdej chwili mogły go dopaść; ale zanim go powalą, stoczy ostatni, zaciekły bój o życie.

Spodziewał się, że napastnicy zastosują starą jak świat taktykę. Najstarszy samiec — przywódca stada — będzie szedł tuż za nim,

mając po bokach młodszych samców. Szybsze lwice wybiegną z obu stron naprzód, tworząc półokrąg, aż wyprzedzą go na tyle, by zamknąć pierścień i schwytać go w pułapkę. Wtedy zaatakują go wszystkie naraz, uniemożliwiając jakąkolwiek próbę obrony.

Niespodziewanie ziemia została oblana srebrzystą poświatą. Wielkie oko wschodzącego księżyca spojrzęło na rozległą równinę, oświetlając postać biegnącego barbarzyńcy swoim blaskiem i kreśląc srebrnobłade linie na grających mięśniach pędzących jego śladem lwów, malując ich krótkowłose, jedwabiste futra upiornym kolorem.

Czujnie spoglądając na boki, Conan dostrzegł odbłask tej poświaty w trawie z lewej strony i zrozumiał, że krąg zaraz się zamknie. Już szykował się do odparcia ataku, gdy ze zdziwieniem stwierdził, że lwica zawahała się i przystanęła. Minał ją dwoma susami. Biegąc zauważył, że młoda samica po jego prawej ręce również stanęła jak wryta. Przysiadła nieruchomo w trawie, bijąc o ziemię ogonem. Z jej pyska dobył się dziwny dźwięk — na pół ryk, na pół skowyt.

Conan odważył się zwolnić i zerknąć za siebie. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu zobaczył, że całe stado zatrzymało się, jakby przed jakąś niewidoczną barierą. Zwierzęta stały szerokim półkolem, a ich kły lśniły srebrzyście w świetle księżyca. Z ich gardzieli wydobywały się przerażające, wściekłe ryki.

Conan w zadumie zmrużył oczy i zmarszczył krzaczaste, gęste brwi. Co powstrzymało stado w chwili, gdy osaczyło już swoją ofiarę? Jaka niewidzialna siła położyła kres zacieklej pogoni? Cymeryjczyk stał przez chwilę z mieczem w dłoni, spoglądając na stado i zastanawiając się, czy lwy podejmą pościg. Jednak drapieżniki pozostały na miejscu, warcząc, rycząc i kłapiąc ociekającymi pianą paszczkami.

Wtem barbarzyńca zauważył coś dziwnego. W miejscu, gdzie zatrzymały się lwy, przez sawannę zdawała się przebiegać jakaś linia graniczna. Po jednej jej stronie rosła gęsta, wysoka trawa. Natomiast po drugiej stronie tej niewidocznej granicy trawa stawała się rzadka, niska i cherlawa, poprzecinana szerokimi połaciami nagiej ziemi. Choć Conan w słabym świetle księżyca nie był w stanie rozpoznać koloru, wydawało mu się, iż trawa po jego stronie była pozbawiona normalnej, zielonej barwy żywych roślin. Była sucha i szara, jakby pozbawiona życiodajnego soku.

W nikłym blasku spostrzegł, że ten obszar martwej trawy rozciąga się jak okiem sięgnąć, niczym ogromny krąg śmierci.

Mimo iż nadal był obolały ze zmęczenia, krótka przerwa pozwoliła Conanowi odzyskać trochę sił i kontynuować marsz. Ponieważ nie miał pojęcia, czym była ta niewidoczna linia, która zatrzymała lwy, nie wiedział, jak długo jej tajemnicza moc powstrzyma je przed pogonią. Dlatego też wolał odsądzić się od nich najdalej, jak to możliwe.

Niebawem zobaczył, że z mroku przed nim wyłania się jakiś ciemny kształt. Ruszył naprzód jeszcze ostrożniej niż przedtem, trzymając miecz w pogotowiu i czujnie rozglądając się wokół. Księżyc wciąż świecił jasno, lecz jego blask stawał się coraz słabszy, jakby przysłaniał go jakiś gęstniejący opar. Dlatego też Conan z początku nie był w stanie rozróżnić szczegółów czarnej, nieforemnej budowli, która wyłoniła się przed nim z mgły. Niczym kolosalny posąg jakiegoś prymitywnego, demonicznego bóstwa, wyciosanego u zarania dziejów przez nieznaną istotę z jednej bryły czarnego kamienia, ciemna sylwetka trwała w bezruchu wśród suchych traw.

Kiedy Cymeryjczyk podszedł bliżej, czarne, bezkształtne kontury ukazały wyraźniejsze zarysy. Stwierdził, że stoi przed ogromną budowlą, częściowo leżącą w ruinie; przed gigantycznym gmachem wzniesionym przez jakichś anonimowych budowniczych w tylko im znanych celach. Budynek wyglądał na rodzaj zamku lub fortecy, lecz był zbudowany w stylu architektonicznym, jakiego Conan jeszcze nigdy nie widział. Postawiony z ciemnoczarnego kamienia,

tworzył skomplikowaną gmatwaninę — kolumn, tarasów i baszt o dziwnie zachwianych proporcjach. Nie dało się tego uchwycić spojrzeniem. Wzrok ześlizgiwał się po zdumiewających liniach, które wydawały się przedziwnie zwichrowane, upiornie zniekształcone. Olbrzymia budowla sprawiała wrażenie stosu bezładnie rzuconych na siebie kamieni, jakby jej budowniczy nie byli przy zdrowych zmysłach.

Conan oderwał wzrok od przyprawiających o zawrót głowy łuków tej nieforemnej budowli — od samego ich widoku kręciło mu się w głowie. Pomyślał, że przynajmniej rozumie teraz, dlaczego zwierzęta sawanny omijają tę zmurszałą ruinę. Wokół niej unosiła się aura zagrożenia i strachu. Może w ciągu tysięcy lat, przez jakie ta czarna cytadela trwała na równinie, zwierzęta nauczyły się jej obawiać i omijać tę okolicę, aż zwyczaj ten przerodził się w głęboko zakorzeniony instynkt?

Księżyc zgasł nagle, gdy gęste obłoki znów zasłoniły jego wiecznie młodą twarz. W oddali rozległ się grzmot i wśród skłębionych chmur Conan dojrzał fioletowy rozbłysk błyskawicy. Nadciągała jedna z tych gwałtownych, przelotnych, stepowych burz.

Cymeryjczyk zawahał się. Z jednej strony ciekawość i potrzeba znalezienia schronienia przed zbliżającą się burzą skłaniały go do wejścia do zmurszałej warowni. Z drugiej — w naturze barbarzyńcy tkwiła głęboko zakorzeniona niechęć do spraw nadprzyrodzonych. Wobec zwykłych, ziemskich niebezpieczeństw barbarzyńca, był nieustraszony aż do granic rozsądku, lecz niez ziemskie moce wprawiały wszystkie jego nerwy w paniczne drżenie. A coś w tej tajemniczej budowli sugerowało obecność nadnaturalnych sił. Czuł to w najgłębszych zakamarkach podświadomości.



Donośny huk uderzającego w pobliżu pioruna skłonił go do podjęcia decyzji. Wziąwszy nerwy w garść, z obnażonym mieczem w dłoni wszedł w ciemny portal i zniknął we wnętrzu budowli.

Conan zbadał długi hol o wysokim sklepieniu, nie znajdując w nim żadnego żywego stworzenia. Czarna posadzka była pokryta kurzem i zeschniętymi liśćmi. W rogach i wokół podstaw strzelistych, kamiennych kolumn zalegały sterty butwiejących śmieci. Obojętnie, jak stara była ta kupa głazów, najwidoczniej od wieków nie zamieszkiwała tu żadna żywa istota.

Główna sala, co barbarzyńca stwierdził, kiedy księżyc ponownie wyłonił się zza chmury, miała dwie kondygnacje. Wokół drugiego piętra biegł balkon z balustradą. Pragnąc zgłębić tajemnicę tej enigmatycznej budowli wznoszącej się na równinie o wiele staj od najbliższego ludzkiego osiedla, Cymeryjczyk przemierzał korytarze kręte jak ślad żmii. Zaglądał do zakurzonych komnat, których pierwotnego przeznaczenia nie potrafił nawet odgadnąć.

Zamek miał zapierające dech w piersi rozmiary, nawet dla kogoś, kto widział świątynię boga — pająka w Yezud i pałac króla Yildiza w Aghrapurze. Znaczna jego część — w rzeczy samej całe skrzydło — rozpadła się, tworząc bezładną kupę potrzaskanych, czarnych kamieni, lecz pozostała część i tak była największą budowlą, jaką Conan widział w życiu. Jej wiek trudno było określić. Czarny onyks, z jakiego ją zbudowano, był niepodobny do jakiegokolwiek kamienia, jaki barbarzyńca napotkał w tej części świata. Budulec musiano sprowadzać z bardzo daleka — nie wiadomo dlaczego.

Niektóre szczegóły tej niezwykłej architektury przypominały

Conanowi starożytne grobowce przekłętej Zamory. Inne nasuwały mu na myśl zakazane świątynie, jakie widział w odległej Hyrkanii podczas służby u Turańczyków. Jednak barbarzyńca nie potrafił powiedzieć, czy ten czarny gmach został wzniesiony jako zamek, grobowiec, pałac, czy też połączenie tych trzech typów budowli.

Ponadto budynek ten miał w sobie coś nieuchwytnie obcego, co sprawiało, że Conan czuł dziwny niepokój. Podobnie jak fasada wyglądająca na postawioną zgodnie z regułami jakiejś nieludzkiej geometrii, tak samo i wewnątrz wykazywało zadziwiające cechy. Na przykład stopnie schodów były o wiele szersze i niższe, niż wymagały tego ludzkie stopy. Przejścia były zbyt wysokie i zbyt wąskie, tak że Cymeryjczyk musiał przechodzić przez nie bokiem.

Ściany były ozdobione nisko biegnącym reliefem z zawitych, geometrycznych wzorów powtarzających się z hipnotyczną regularnością. Conan z trudem oderwał wzrok od tych skomplikowanych symboli, wywołujących w duszy dziwny niepokój i zamęt.

Wszystko, co wiązało się z tym niezwykłym, kamiennym gmachem, nasuwało Conanowi na myśl zmije: kręte korytarze, wijący się wzór na ścianie, a nawet słaby zapach piżma w powietrzu.

Stanął i zmarszczył brwi. Czyżby te prastare ruiny wzniosł gadzi lud starożytnej Waluzji? Dni świetności tego dawnego plemienia przeminęły w odległej przeszłości, w mroku dziejów przed pojawieniem się człowieka, gdy Ziemią rządziły gigantyczne gady. Wężowy lud władał Siedmioma Imperiami przed Katakлизmem — jeszcze, nim Atlantyda wyłoniła się z głębin Zachodniego Oceanu. Zniknął na długo przed

pojawieniem się ludzi — jednak nie całkowicie.

Zarówno wokół ognisk pośród surowych gór Cymerii, jak i na marmurowych dziedzińcach świątyń Nemedii barbarzyńca często słyszał legendę o Kullu Atlantydzie, królu Waluzji. Wężowy lud przetrwał tu i ówdzie dzięki swym czarom, które pozwalały im uchodzić za zwykłe, ludzkie istoty. Jednak Kuli poznał ich sekret i oczyścił swe królestwo z zarazy, niszcząc ich ogniem i żelazem.

Czyż jednak ten czarny zamek ze swą obcą architekturą nie mógł być reliktem tej minionej epoki, gdy ludzie walczyli z resztkami gadziego ludu o prawo do władania planetą?

Pierwszy podmuch wichru owiał czarny zamek. Później krople deszczu załomotały o kruszący się kamień i przez dziury w dachu popłynęły strugi wody. Potem błyskawice i grzmoty ustały, gdyż burza odeszła na zachód, pozwalając księżycowi znów świecić przez dziury w murze. Jednak ze wschodu nadciągały następne nawałnice, pomrukując i błyskając.

Conan spał niespokojnym snem w rogu balkonu nad wielką salą, rzucając się i wiercąc jak dzikie zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo. Ostrożność nie pozwoliła mu zasnąć w wielkiej sali, której drzwi stały otworem. Mimo iż krąg śmierci odstraszał mieszkańców sawanny, barbarzyńca nie wierzył, że niewidzialna siła zdoła powstrzymać bestie.

Tuzin razy budził się chwytając za miecz i wbijając wzrok w ciemność szukał tego, co go zbudziło. I tuzin razy nie znalazł nic w mroku zalegającym wewnątrz starożytnej budowli. Za każdym razem ponownie układał się do snu, mimo gęstniejącego wokół mroku i rozbrzmiewających po kątach szmerów.

Wreszcie, warkliwie przyzywając swych barbarzyńskich bogów, Cymeryjczyk przeklął wszystkie te cienie i echa do siódmego, mitologicznego pokolenia, po czym jeszcze raz ułożył się na posłaniu i spróbował zasnąć. Po dłuższej chwili udało mu się to. Gdy zasnął, przyśniło mu się coś dziwnego.

Wyglądało na to, że choć jego ciało było pogrążone we śnie, jego duch zbudził się i czuwał. Niematerialne oczy jego *ka*, jak nazywali to Stygijczycy, widziały mroczny balkon wypełniony

mętną, krwawą poświatą sączącą się z jakiegoś niewidocznego źródła. Nie rzucał jej ani srebrny sierp księżycyca zagląającego przez dziury w murze, ani blade błyski błyskawic w oddali. W tym łagodnym świetle duch Conana widział poruszające się cienie, śmigające jak widmowe nietoperze między kolumnami z czarnego marmuru — cienie z jarzącymi się ślepiami pełnymi nienasyconego głodu, cienie wydające niemal niesłyszalny zgiełk drwiących śmiechów i dzikich wrzasków.

Duch Conana wiedział, że te szepczące cienie były widmami tysięcy istot, które umarły w tej prastarej budowli. Nie miał pojęcia, skąd to wie, lecz dla jego *ka* było to oczywiste. Nieznany lud, który wzniósł ten zamek — czy byli to ludzie — żmije z waluzyjskich legend, czy jakaś inna zapomniana rasa — skąpał jego marmurowe ołtarze we krwi tysięcy ofiar. Ich dusze na zawsze pozostały w tym zamku grozy. Może trzymało je tu jakieś potężne zaklęcie? Może to samo, jakie powstrzymywało zwierzęta z sawanny?

To jednak nie wszystko. Duchy tego czarnego zamku łaknęły krwi żywej istoty — krwi Conana.

Jego wyczerpane ciało leżało zmorzone zaklętym snem, a wokół śmigały mgliste widma, tarmosząc go bezcielesnymi palcami. Lecz zjawa nie może uczynić krzywdy żywej istocie, chyba że najpierw przeniesie się w nasz wymiar i przybierze materialną postać. Mamroczące hordy cieni były słabe. Już od lat żaden człowiek nie złamał prastarej klątwy wzbraniającej wstępu do czarnego zamku. Wygłodzone po długim poście duchy nie mogły się już tak łatwo jak niegdyś przeistoczyć w zgraję wyjących upiorów.

W jakiś sposób duch Conana zdawał sobie z tego sprawę. Podczas gdy jego ciało spało, jego *ka* obserwowało wydarzenia w

astralnym wymiarze i patrzyło na wampiry łopoczące nad nim bezcielesnymi skrzydłami i szarpiące niematerialnymi szponami jego pulsujące gardło. Jednak mimo najsilniejszych wysiłków nie mogły wyrządzić mu krzywdy. Spętany czarem, spał dalej.

Po pewnym czasie w świetlistej przestrzeni astralnego wymiaru zaszła jakaś zmiana. Widma połączyły się w bezkształtną masę gęstniejącego cienia. Głód skłonił bezrozumne, martwe istoty do upiornej współpracy. Każdy duch posiadał niewielki zasób energii umożliwiającej materializację. Teraz wszystkie używały tego skąpego zapasu jednemu.

Stopniowo budził się do życia jeden straszliwy upiór, utrzymywany przy życiu energią dziesięciu tysięcy duchów. W przyćmionym świetle czarnego balkonu powstawał powoli z wirującej chmury cząsteczek. A Conan spał dalej.

Rozległ się ogłuszający huk gromu — błyskawica oświetliła siarkowożółtym blaskiem ciemną równinę, z której znów umknął księżyc. Gruba warstwa burzowych chmur pękła, zalewając sawannę strumieniami deszczu.

Stygijscy łowcy niewolników jechali całą noc, pędząc na południe w kierunku dżungli za Kush. Ich wyprawa jak do tej pory była bezowocna: ani jeden czarny nomada ze szczepów polujących i wypasających bydło na stepie nie wpadł w ich ręce. Nie wiedzieli, czy wojna lub plaga wymiotły ludność z tych okolic, czy też koczownicy, ostrzeżeni o zbliżaniu się łowców niewolników, umknęli gdzieś dalej.

W każdym razie wydawało się, że lepiej im pójdzie w gęstych dżunglach Południa. Żyjący tam tubylcy mieszkali w wioskach, które można było otoczyć i zdobyć przez zaskoczenie nagłym atakiem o świcie, chwytając mieszkańców jak ryby w sieci. Wieśniacy zbyt starzy, zbyt młodzi lub zbyt chorzy, by znieść długą drogę do Stygii, zostaną zabici. Pozostali nieszczęśnicy, skuci razem w jeden ludzki łańcuch, zostaną pognani na północ.

Stygijskich wojowników było czterdziestu, w hełmach i kolczugach, siedzących na dobrych koniach. Byli wysocy i smagli, o orlich rysach twarzy i muskularnych ciałach. Stanowili bandę doborowych rabusiów — twardych, sprytnych, nieustraszonych i bezlitosnych, zdolnych zabić nie-Stygijczyka równie łatwo, jak większość ludzi zabija komara.

Pierwsze krople dżdżu spadły na karawanę. Wiatr załopotał



połami ich wełnianych płaszczy i lnianych burnusów, rozwiewając końskie grzywy. Oślepiały ich niemal nieustanne rozbłyski błyskawic.

Przywódca jeźdźców dostrzegł czarny zamek stojący wśród sawanny, gdy światła błyskawic ukazały kontury budowli w smaganych deszczem ciemnościach. Wydał gardłowy rozkaz i spiął ostrogami swoją wielką, czarną klacz. Pozostali poszli w jego ślady i niebawem ze szczękiem podków, chrzęstem uprzęży oraz brzękiem pancerzy wjechali między zmurszałe bastiony. Nocny mrok i deszcz skryły niezwykle wygląd fasady, a Stygijczykom było spieszno schronić się pod dach, zanim przemokną do suchej nitki.

Weszli do środka tupiąc, klnąc, wrzeszcząc i strząsając wodę z płaszczy. W mgnieniu oka martwą ciszę ruin zastąpił gwar głosów. Zebrano chrust i suche liście, krzemień uderzył o stal. Wkrótce na popękanej, marmurowej posadzce zapłonęło ognisko, malując rzeźbione ściany pomarańczową luną.

Mężczyźni rzucili na ziemię juki, ściągnęli mokre burnusy i rozłożyli je, aby wyschły. Pozdejmowali kolczugi i naoliwionymi szmatami zaczęli ścierać z nich wilgoć. Otworzyli juki i wbili mocne, białe zęby w okrągłe bochenki twardego, czerstwego chleba.

Na zewnątrz szalała burza. Strugi deszczu lały się przez dziury w murze jak małe wodospady, jednak Stygijczycy nie zwracali na to uwagi.

Na górze stojący na balkonie Conan patrzył na to w milczeniu, czując ciarki przebiegające mu po plecach. Wraz z nadejściem burzy utrzymujący go we śnie czar prysnął. Zerwawszy się spojrzał wokół, szukając ponurego soboru duchów, które widział we śnie. W świetle błyskawic wydało mu się, że na

przeciwległym balkonie dostrzega jakąś czarną, bezkształtną postać, ale nie miał zamiaru podejść do niej bliżej, aby sprawdzić.

Kiedy zastanawiał się, w jaki sposób zniknąć z balkonu nie zbliżając się zanadto do Stwora, do zamku z krzykiem i tupaniem wpadli Stygijczycy. Nie byli wcale lepsi od wampirów. Gdyby tylko dać im okazję, z przyjemnością złapałoby Conana i zrobili zeń niewolnika. Mimo całej swej niezwykłej siły i umiejętności posługiwania się bronią Cymeryjczyk wiedział, że nie miałby szans w samotnej walce z czterdziestoma dobrze uzbrojonymi wojownikami. Gdyby nie zdołał natychmiast wyrębać sobie drogi i uciec z fortecy, zostałby pokonany. Miał do wyboru: szybką śmierć lub długie cierpienia jako stygijski niewolnik. Sam nie wiedział, co gorsze.

Stygijczycy w tym samym stopniu odwrócili uwagę Conana od upiorów, co odciągnęli uwagę zjaw od niego. Wygłodzone do szaleństwa wampiry zignorowały go, zaprzątnięte czterdziestoma Stygijczykami obozującymi na dole. Oto żywe ciała i źródło energii wystarczające, by trzykrotnie zaspokoić ich upiorne żądze. Niczym chmura jesiennych liści duchy spłynęły za balustradę i w dół, do wielkiej sali.

Stygijczycy rozłożyli się wokół ogniska, podając sobie z rąk do rąk butelkę wina i gwarząc w swej gardłowej mowie. Choć Conan znał tylko kilka stygijskich słów, z tonu głosów i gestów pojął, o co się spierają. Ich przywódca — gładko wygolony olbrzym, dorównujący wzrostem Cymeryjczykowi — zaklinał się, że nie będzie podróżował w deszczu w taką noc. Zaczekają do świtu w tych rozsypujących się ruinach. Przynajmniej sufit zdaje się być cały i człowiek może poleżeć na suchej posadzce.

Opróżniwszy parę następnych butelek, Stygijczycy — ogrzani i

wysuszeni — ułożyli się do snu. Ognisko paliło się wątłym płomieniem, bo chrust, jakim je podsycali, nie mógł długo podtrzymać ognia. Przywódca wskazał na jednego ze swych ludzi i wydał mu jakiś rozkaz. Wojownik protestował, ale po krótkiej wymianie zdań podniósł się z jękiem i założył kolczugę. Conan domyślił się, że ten rabuś miał jako pierwszy stanąć na warcie.

W końcu strażnik stanął w cieniu tuż za kręgiem dogasającego ogniska, trzymając miecz w ręku i tarczę na ramieniu. Od czasu do czasu przechodził tam i z powrotem po sali przystając, aby spojrzeć w przejścia wiodące do krętych korytarzy lub na frontowe drzwi, za którymi cichła burza.

Podczas gdy wartownik stał w głównych drzwiach, zwrócony plecami do kamratów, wśród chrapiących łowców niewolników zmaterializował się okropny kształt. Powoli wyrastał z falującego kłębu cienia. Stwór, jaki zeń ostatecznie powstał, składał się z energii życiowej tysięcy martwych istot. Przybrał upiorny kształt ogromnej bryły, z której wyrastały niezliczone, nieforemne kończyny i wyrostki. Ten monstrualny tułów podtrzymywało tuzin grubych odnóży. U góry, niczym okropne owoce, wyrastały z niego liczne głowy; niektóre podobne do ludzkich, o gęstych włosach i brwiach, inne stanowiące zaledwie wybrzuszenia z przypadkowo rozmieszczonymi oczami, uszami, ustami i nozdrzami.

Sam widok tego stugłowego potwora w słabo oświetlonej sali wystarczył, aby zmrozić krew w żyłach nawet najdzielniejszemu wojownikowi. Patrząc na to monstrum Conan poczuł, że włosy na głowie stają mu dęba i dreszcz przebiega mu po krzyżu.

Stwór śmignął po posadzce. Chwiejnie nachyliwszy się nad jednym ze Stygijczyków, złapał go pół tuzinem szponów. Gdy człowiek zbudził się z wrzaskiem, ohydny stwór rozszarpał go na

strzępy, obsypując śpiących krwawymi szczątkami.

W mgnieniu oka Stygijczycy zerwali się na równe nogi. Chociaż byli zahartowanymi w boju wojownikami, okropny widok wyrwał im z ust okrzyk przerażenia. Słyszając ich krzyki, strażnik przybiegł do sali wznosząc miecz do ciosu. Wykrzykując rozkazy, przywódca Stygijczyków złapał pierwszą lepszą broń i przyłączył się do wartownika. Pozostali, choć nieuzbrojeni, zaskoczeni i zbici z tropu, złapali miecze i włócznie, aby bronić się przed atakującym ich potworem..

Rąbali mieczami niekształtne uda, kłuli włóczniami napuchły, wydęty kadłub. Zaciskające się kurczowo dłonie i ramiona monstrum, odrąbywane, z łoskotem padały na posadzkę, drgając spazmatycznie. Jednak potwór zdawał się nie odczuwać bólu; łapał jednego człowieka po drugim. Kilku Stygijczykom skrzył karki. Innych chwycił za nogi i rozbijał na krwawą miazgę o kolumny.

Na oczach obserwującego to z góry Cymeryjczyka stwór zmiażdżył lub rozszarpał tuzin łowców niewolników. Okropne rany, jakie mu zadawali, natychmiast zasklepiały się i goiły. W miejscu odciętych głów i ramion z bulwiastego cielska wyrastały nowe.

Widząc, iż Stygijczycy nie mają szans w walce z potworem, Conan postanowił wykorzystać zamieszanie i ulotnić się. Uznawszy, że raczej niemądrze byłoby przechodzić przez salę, wybrał inną drogę. Wyszedł przez okno. W ten sposób znalazł się na tarasowatym dachu pokrytym spękanymi dachówkami, gdzie

każdy nieostrożny krok groził upadkiem w dół, na kamienną posadzkę.

Deszcz przeszedł w mżawkę. Księżyc, wiszący niemal nad głową barbarzyńcy, znowu oblewał ziemię blaskiem swych bladych promieni. Spoglądając w dół z parapetu otaczającej taras balustrady, Conan znalazł miejsce, gdzie zdobiące ścianę rzeźby i pnąca się po nich winorośl umożliwiały zejście na dół. Zwinnie jak małpa opuścił się po przedziwnie rzeźbionej fasadzie.

Księżyc świecił już pełnym blaskiem oświetlając dziedziniec, na którym stały stygijskie konie, wierzgające i rżące, zaniepokojone odgłosami walki dochodzącymi z wielkiej sali. Ponad zgiełk bitwy wznosiły się przedśmiertne wrzaski rozdzieranych na strzępy ludzi.

Conan zeskoczył, lekko lądując na dziedzińcu. Podbiegł do wielkiej, karej kłaczy, należącej do przywódcy Stygijczyków. Chętnie zaczekałby i ograbił poległych, bo potrzebował ich broni i prowiantu. Kolczuga, którą nosił jako towarzysz Bęlit, już dawno uległa zużyciu i rdzy, a ucieczka od Bamulasów była zbyt pospieszna, by zdołał skompletować jakiś ekwipunek. Jednak żadna siła na ziemi nie zdołałaby go zmusić, aby wszedł do wielkiej sali, gdzie upiór wciąż mordował Stygijczyków.

Gdy młody Cymeryjczyk zamierzał dosiąść wybranego konia, z sali wypadł wrzeszczący wniebogłosy człowiek i rzucił się pędem przez podwórze. Conan rozpoznał wojownika, który stał na warcie. Hełm i kolczuga uchroniły Stygijczyka przed losem, jaki spotkał jego towarzyszy.

Conan otworzył, usta, aby coś powiedzieć. Niezbyt lubił Stygijczyków, a ci z reguły nie przepadali za nim; jednak jeśli ten wojownik był jedynym ocalałym z rzezi, barbarzyńca chętnie sprzymierzyłby się z nim, choćby czasowo, dopóki nie dotrą do

jakiejś zamieszkałej krainy.

Jednak nie zdążył przedstawić swojej propozycji, bo okropne przeżycia doprowadziły Stygijczyka do obłędu. Oczy błyszczały mu dziwnie w świetle księżyca, a z ust ściekała piana. Runął na Cymeryjczyka, wywijając lśniąca w ciemności szablą i krzycząc:

— Wracaj do piekła, demonie!

Pierwotny instynkt przetrwania kazał wychowanemu w dziczy Conanowi zareagować bez chwili namysłu. Zanim wojownik zdążył doń dopaść, barbarzyńca wyrwał miecz z pochwy. Raz po raz stał uderzała o stal, krzesząc skry. Gdy oszalały Stygijczyk złożył się do kolejnego ciosu, Conan błyskawicznym pchnięciem przebił mu gardło. Łowca niewolników zabalgotał, zachwiał się i padł.

Conan przez chwilę opierał się o kulbakę, ciężko dysząc. Pojedynek był krótki, lecz zażarty, a Stygijczyk był nie lada jakim przeciwnikiem.

W prastarych ruinach ucichły wrzaski przerażenia. Wszędzie panowała złowroga cisza. Nagle Conan usłyszał odgłos powolnych, ciężkich kroków. Czyżby potwór pozabijał wszystkich, a teraz włókł swe niekształtne cielsko do drzwi, żeby wyjść na dziedziniec?

Conan nie czekał, by się o tym przekonać. Drżącymi palcami rozwiązał rzemienie i zdjął kolczugę z martwego. Zabrał też Stygijczykowi hełm i tarczę zrobioną ze skóry pewnego wielkiego zwierzęcia żyjącego na sawannie. Pospiesznie przytroczył te trofea do siodła, wskoczył na konia, ściągnął wodze i uderzył piętami boki klaczy. Galopem wypadł z dziedzińca na zeschnięte trawy. Z każdym uderzeniem kopyt o ziemię coraz bardziej oddalał się od mrocznego zamku zła. Zapewne tuż za kręgiem zeschniętej trawy wciąż czekały głodne lwy. Jednak Cymeryjczyk

nie zważał na to. Po okropnościach tej czarnej fortecy chętnie zmierzy się ze zwykłymi lwami.



ROBERT E. HOWARD,  
L. SPRAGUE DE CAMP,  
LIN CARTER

PYSK W CIEMNOŚCI

*Podążając na północ, już znacznie szybciej dzięki zdobytemu koniowi, Conan w końcu dociera do na pół cywilizowanego królestwa Kusi. Jest to kraina będąca właściwym Kusi, chociaż Conan, jak wielu ludzi z północy, jest skłonny urywać tego terminu na określenie każdej czarnej krainy na południe od pustyń Stygii. Tu szybko nadarza się okazja, by mógł dowiedzieć, jak sprawnie posługuje się bronią.*

Ambool z Kush budził się powoli, jeszcze oszołomiony winem wyżłopanym w czasie biesiady poprzedniego wieczora. Przez moment nie mógł sobie przypomnieć, co się stało. Księżyc świecący za małym, okratowanym okienkiem, oświetlał nieznajome wnętrze. Później Ambool przypomniawszy sobie, że leży w górnej celi więzienia, do którego wtrąciła go królowa Tananda.

Podejrzewał, że w winie był jakiś narkotyk. Kiedy leżał bezbronny i półprzytomny, dwaj czarni giganci z gwardii królowej pojмали jego i lorda Aahmesa — kuzyna królowej, po czym wrzucili ich do cel. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, były ostre jak trzaśnięcie bicia słowa królowej:

— A więc uknuliście spisek, żeby mnie obalić, łotry? Zobaczycie, jaki los czeka zdrajców!

Gdy wielki, czarny wojownik poruszył się, brzęk metalu uświadomił mu, że ręce i nogi ma skute kajdanami połączonymi łańcuchem z osadzonymi w murze, masywnymi pierścieniami. Wyteńczył wzrok, próbując przebić zalegający wokół, smrodliwy mrok. Przynajmniej jeszcze żyję, pomyślał. Nawet Tananda musi się dobrze zastanowić, nim zabije bohatera niższych kast społeczeństwa, dowódcę Czarnych Oszczepników — trzonu armii Kush.

Co najbardziej dziwiło Amboola, to zarzut spiskowania z Aahmesem. Istotnie, on i książę byli dobrymi przyjaciółmi. Polowali, pili i grali razem, a Aahmes narzekał przed nim na królową, której serce było równie okrutne, podstępne i

zdradzieckie, co jej smagłe ciało godne pożądania. Jednak nigdy nie zmieniło się to w prawdziwy spisek. Aahmes nie był do tego zdolny — dobroduszny, łagodny młodzieniec, nie interesujący się polityką ani władzą. Jakiś donosiciel, próbujący wkraść się w łaski kosztem innych, musiał ich fałszywie oskarżyć przed królową.

Ambool pomacał kajdany. Mimo ogromnej siły wiedział, że nie zdoła ich zerwać, tak samo jak łańcuchów, które je spinały. Nie mógł też mieć nadziei, że wyrwie wmurowane w ścianę ogniwa. Był tego pewien, ponieważ osobiście pilnował budowy więzienia.

Wiedział, jaki będzie następny krok. Królowa każe torturować jego i Aahmesa, aby wydobyć z nich szczegóły spisku i nazwiska pozostałych spiskowców. Mimo całej swej odwagi Ambool zadrżał na samą myśl o tym. Może lepiej byłoby oskarżyć wszystkich lordów i notabli Kush o współudział. Tananda nie mogłaby ukarać wszystkich. Gdyby próbowała, urojony spisek, którego się obawiała, szybko stałby się faktem.

Nagle Ambool całkowicie wytrzeźwiał. Zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W komnacie był ktoś oprócz niego — jakieś żywe, oddychające stworzenie.

Z cichym okrzykiem zerwał się na nogi i spojrzał wokół, usiłując coś zobaczyć w ciemności przywierającej doń jak cieniste skrzydła śmierci. W słabym świetle wpadającym przez zakratowane okienko oficer dostrzegł jakiś mroczny, okropny kształt. Lodowata dłoń strachu ścisnęła mu serce, które w czasie tysiąca stoczonych bitew nigdy nie zaznało lęku.

W ciemności unosił się bezkształtny, szary opar. Falująca mgła zawirowała jak kłębowisko wijących żmij i zmaterializował się z niej widmowy twór. Paniczne przerażenie wykrzywiło wargi Amboola i zabłysło w jego szeroko otwartych oczach, gdy ujrzał

to, co powoli pojawiała się w celi.

Najpierw w smudze słabej poświaty wpadającej przez okno zobaczył świński pysk pokryty szorstką szczeciną. Później dostrzegł w mroku zarysy postaci — ogromnej, nieforemnej i zwierzęcej, lecz stojącej na dwóch nogach. Teraz oprócz świńskiego ryja widział też grube, włochate łapska zakończone niekształtnymi dłońmi, niczym u pawiana.

Ambool z przeraźliwym krzykiem zerwał się na równe nogi — a wtedy stwór rzucił się na niego z zapierającą dech w piersiach szybkością, niczym upiór z koszmarnego snu. Czarny wojownik zdążył jeszcze dostrzec szeroko rozdziawioną, ociekającą pianą paszczę, wielkie, dłutowate kły i małe, świńskie oczka, wściekle płonące w ciemności. W następnej chwili włochate łapska chwyciły go w straszliwy uścisk, kły szarpały i darły...

Po chwili księżyc oświetlał nieruchomy, czarny kształt leżący na podłodze w kałuży krwi. Szary, kosmaty stwór, który przed chwilą masakrował wojownika, zniknął, wchłonięty przez mgłę, z której się wyłonił.

## NIEWIDZIALNY POTWÓR

— Tuthmesie!

Głos brzmiał ponaglająco — równie ponaglająco, jak uderzenia pięści w tekowe drzwi domu najambitniejszego szlachcica Kush.

— Lordzie Tuthmesie! Wpuść mnie! Demon znów grasuje!

Drzwi otwarły się i stanął w nich Tuthmes — wysoki, szczupły arystokrata o wąskiej twarzy i śniadej skórze swojej kasty. Był owinięty w togę z białego jedwabiu, jakby wybierał się spać, a w rękę trzymał mały kaganek z brązu.

— Oco chodzi, Afari? — zapytał.

Błyskając białkami oczu, gość wpadł do pokoju. Dyszał jak po długim biegu. Był chudym, żyłastym, ciemnoskórym mężczyzną odzianym w biały burnus; niższy od Tuthmesa, miał rysy twarzy wyraźniej zdradzające negroidalne pochodzenie. Mimo pośpiechu starannie zamknął za sobą drzwi, nim odpowiedział.

— Ambool! Nie żyje! W Czerwonej Wieży!

— Co takiego? — wykrzyknął szlachcic. — Tananda ośmieliła się stracić dowódcę Czarnych Oszczepników?

— Nie, nie! Rzecz jasna, nie była taka głupia. Nie został stracony, lecz zamordowany. Coś dostało się do jego celi — jeden Set wie, w jaki sposób — po czym rozszarpało mu gardło, połamało żebra i rozwalilo czaszkę. Na węzowe loki Derketo, widziałem wielu martwych, ale jeszcze nigdy kogoś mniej ładnie wyglądającego po śmierci niż Ambool. Tuthmesie, to robota demona, o którym szepcze lud! Niewidzialny potwór znów krąży

w Meroe!

Przy tych słowach Afari chwycił za mały posążek swego opiekuńczego bóstwa, zawieszony na rzemieniu na chudej szyi.

— Amboel miał przegryzione gardło, lecz ślady zębów nie przypominały tych, jakie pozostawia lew czy małpa. Wyglądały jak zrobione ostrym jak brzytwa dłutem!

— Kiedy to się stało?

— Gdzieś koło północy. Strażnicy w dolnej części wieży, pilnujący schodów prowadzących do celi, w której był uwięziony, usłyszeli jego krzyk. Wbiegli po schodach, wpadli do celi i znaleźli go leżącego tak, jak ci opisałem. Ja spałem w dolnej części wieży, tak jak nakazałeś. Zobaczywszy co się stało, przyszedłem prosto tutaj, rozkazawszy strażnikom, żeby nikomu nie mówili o tym, co się stało.

Tuthmes uśmiechnął się zimnym, obojętnym, nieprzyjemnym uśmiechem i mruknął:

— Wiesz, jak Tananda potrafi się wściekać. Wtrąciwszy Amboola i swojego kuzyna Aahmesa do więzienia, równie dobrze mogła kazać zabić Amboola, a trupa zmasakrować tak, żeby wyglądało to na robotę potwora, który od dawna gnębi to miasto. Prawda, że mogła?

W oczach ministra pojawił się błysk zrozumienia. Tuthmes, wzięwszy go pod ramię, mówił dalej.

— Teraz idź i rób swoje, zanim królowa dowie się, co zaszło, po pierwsze, zbierz oddział Czarnych Oszczepników, pójdź do Czerwonej Wieży i pozabijaj strażników za to, że spali na warcie. Niechaj wszyscy wiedzą, że robisz to na mój rozkaz. To pokaże czarnym, że pomściłem ich dowódcę i wytrąci ten atut z ręki Tanandy. Zabij ich, zanim ona zdąży to zrobić! Potem zawiadom innych wodzów. Jeżeli Tananda chce w ten sposób rozprawić się

z wszystkimi wpływowymi osobistościami w królestwie, to lepiej, abyśmy wszyscy byli w pogotowiu. Później udasz się do Zewnętrznego Miasta i znajdziesz starego zaklinacza Ageerę. Nie mów wprost, że to dzieło Tanandy, ale zasugeruj mu to.

Afari wzdrygnął się.

— Jak zwykły człowiek może okłamać tego diabła? Oczy ma jak płonące węgle; zdają się spoglądać w niezgłębione otchłanie. Widziałem, jak kazał trupom wstawać i chodzić, a czaszkom ziewać i zgrzytać bezzębnymi szczękami.

— Zatem nie kłam — odparł Tuthmes. — Po prostu napomknij mu o swoich podejrzeniach. Mimo wszystko, nawet jeśli to demon zamordował Amboola, jakiś człowiek musiał go wezwać z ciemności. Może jednak stoi za tym Tananda? A więc idź zaraz!

Gdy Afari odszedł, intensywnie rozmyślając nad rozkazami zwierzchnika, Tuthmes przez chwilę stał na środku komnaty, obwieszanej wspaniałymi gobelinami. Ze stożkowatej, mosiężnej kadzielnicy w rogu pokoju sączył się niebieskawy dym. Tuthmes zawołał:

— Muru!

Po podłodze zatupały bosc stopy. Ciemnoczerwony arras wiszący na jednej ścianie odchylił się i do pomieszczenia wszedł niezwykle wysoki, chudy mężczyzna, schylając głowę we framudze ukrytych drzwi.

— Jestem tu, panie — powiedział.

Człowiek ten, odziany w luźno owinięty wokół ciała kawał czerwonej materii przerzuconej przez ramię jak toga, górował wzrostem nawet nad roslym Tuthmesem. Choć jego skóra była czarna jak węgiel, rysy twarzy miał wyraziste i ostre, jak u ludzi z rządzącej kasty Meroe. Kędzierzawe włosy miał ufryzowane w fantazyjny czub.

— Czy *to* jest z powrotem w celi? — zapytał Tuthmes.

— Tak.

— Dobrze zabezpieczone?

— Tak jest, mój panie.

Tuthmes zmarszczył brwi.

— Skąd wiesz, że zawsze usłucha twoich rozkazów i wróci do ciebie? Skąd wiesz, że pewnego dnia nie zabije cię i nie umknie w jakiś nieziemski wymiar, który zwie swoim domem?

Muru rozłożył ręce.

— Zaklęcia, jakich nauczyłem się od mego mistrza, czarodzieja wygnanego ze Stygii, jeszcze nigdy mnie nie zawiodły.

Tuthmes przeszył czarnoksiężnika spojrzeniem.

— Wydaje się, że wy, czarodzieje, większość życia spędzacie na wygnaniu. Skąd mam wiedzieć, że pewnego dnia jakiś wróg nie przekupi cię, żebyś wypuścił demona na mnie?

— Och, panie, nawet o tym nie myśl. Cóż począłbym bez twojej protekcji? Kuszyci gardzą mną, bo nie jestem z ich rasy, a z wiadomych ci powodów nie mogę wrócić do Kordafy.

— Hmm. No cóż, dbaj dobrze o swojego demona, bo niebawem możemy znów go potrzebować. Ten gadatliwy głupiec, Afari, niczego nie lubi bardziej, jak uchodzić za mądrego w oczach innych. Rozpowszechni opowieść o zamordowaniu Amboola, wzbogaconą moimi wzmiankami o udziale królowej w tym zabójstwie. Przepaść między Tanandą a jej notablami poszerzy się, a ja zbiorę profity.

Chichocząc w rzadkim przyływie dobrego humoru, Tuthmes rozlał wino do dwóch srebrnych pucharów i podał jeden chudemu czarownikowi, który przyjął je z milczącym ukłonem. Magnat mówił dalej:

— Oczywiście, nikomu nie wspomni o tym, że sam rozpoczął tę



intrygę, fałszywie oskarżając Amboola i Aahmesa — i to bez mego rozkazu. Nie ma pojęcia, że — dzięki twoim magicznym sztuczkom, przyjacielu — wiem o tym doskonale. Udaje, że jest oddany mojej sprawie i frakcji, ale sprzedałby nas bez wahania, gdyby uznał, że w ten sposób coś zyska. Ma ambicję poślubić Tanandę i władać Kush jako jej małżonek. Kiedy zostanę królem, będę potrzebował pomocnika bardziej godnego zaufania niż Afari.

Sącząc wino, Tuthmes zastanawiał się głośno: — Od kiedy ostatni król, jej brat, poległ w walce ze Stygijczykami, Tananda z trudem utrzymuje się na tronie, wygrywając jedno stronnictwo przeciw drugiemu. Jednak ma zbyt mało charakteru, by utrzymać władzę w królestwie, którego tradycje nie akceptują kobiecych rządów. Ona jest nieokrzesa, impulsywną dziewczką, której jedyną metodą sprawowania władzy jest zabijanie tego wielmoży, którego w danym momencie najbardziej się obawia, niepokojąc i antagonizując w ten sposób pozostałych. Musisz bacznie obserwować Afarię, Muru. I trzymać swego demona w ryzach. Będziemy go jeszcze potrzebować.

Kiedy Kordafańczyk wyszedł, ponownie schylając głowę w przejściu, Tuthmes wszedł na górę schodami z polerowanego mahoni. Wszedł na płaski, oświetlony światłem księżyca dach swojego pałacu.

Przechyliwszy się przez parapet, zobaczył w dole ciche uliczki Wewnętrznego Miasta Meroe. Ujrzał pałace, ogrody i wielki, prostokątny plac, na który w mgnieniu oka z przylegających do niego koszar mogło wyjechać tysiąc czarnych gwardzistów.

Patrząc dalej, widział ogromne, spiżowe wrota Wewnętrznego Miasta, a za nimi Zewnętrzne Miasto. Meroe wznosiło się pośrodku rozległej, trawiastej równiny, która rozpościerała się —

sporadycznie przecinana pasmem pagórków — aż po horyzont. Skraj Zewnętrznego Miasta omywała wąska rzeczka wijąca się wśród pastwisk.

Wysoki, masywny mur otaczający pałace rządzącej kasty oddzielał Miasto Zewnętrzne od Wewnętrznego. Szlachta była potomkami Stygijczyków, którzy przed wiekami przybyli na południe, by stworzyć tu imperium i zmieszać swą błękitną krew z krwią czarnych poddanych. Wewnętrzne Miasto było dobrze zaplanowane, o szerokich ulicach i placach, budynkach z kamienia i wspaniałych ogrodach.

Po drugiej stronie muru stało kłębowisko lepianek Zewnętrznego Miasta. Jego uliczki z reguły wychodziły na nieregularne, ciasne place targowe. Zamieszkiwali je głównie czarni Kuszyci — pierwotni mieszkańcy tej ziemi. W Wewnętrznym Mieście mieszkała tylko kasta rządzących, razem ze swoimi sługami i czarnymi jeźdźcami, będącymi ich gwardią przyboczną.

Tuthmes spojrział na to morze chat. Na nieregularnych placach płonęły ogniska; na krętych uliczkach migotały pochodnie. Od czasu do czasu dolatywał go urywek pieśni — barbarzyńskie zawołanie pobrzmiwające gniewem lub żądzą krwi. Tuthmes zadrżał i szczelnie owinął się togą.

Przechodząc przez dach, przystanął na widok człowieka śpiącego pod palmą w sztucznym ogrodzie. Trącony czubkiem buta, mężczyzna obudził się i skoczył na równe nogi.

— Nic nie mów — ostrzegł go Tuthmes. — Stało się. Ambool nie żyje. I nim nadejdzie świt, całe miasto będzie wiedziało, że został zamordowany przez Tanandę.

— A ten... demon? — szepnął tamten, dygocząc.

— Dobrze zamknięty w swojej celi. Słuchaj, Shubba; już czas

na ciebie. Szukaj wśród Shemitów, aż znajdziesz odpowiednią kobietę — białą kobietę. Natychmiast przyprowadzisz ją tutaj. Jeżeli wrócisz przed końcem miesiąca, dostaniesz tyle złota, ile ważysz. Jeśli zawiedziesz, powieszę twoją głowę na tej palmie.

Shubba uklęknął i uderzył czołem o ziemię. Później wstał i odszedł pośpiesznie. Tuthmes ponownie popatrzył na Zewnętrzne Miasto. Ogniska zdawały się płonąć jeszcze jaśniej i bęben zaczął gdzieś wybijać ponury, monotony rytm. Pod niebiosą wzbił się gniewny wrzask setek gardzieli.

— Dowiedzieli się o śmierci Amboola — mruknął Tuthmes i ponownie wstrząsnął nim dreszcz.

Świt zapalił szkarłatnym płomieniem niebo nad Meroe. Włócznie intensywnego, rdzawego światła przeszyły mgliste powietrze i odbiły się od pokrytych miedzią kopuł oraz wież otoczonego kamiennym murem Wewnętrznego Miasta. Niebawem zbudził się lud Meroe. W Zewnętrznym Mieście posągowe, czarne kobiety ruszyły na targowiska, niosąc na głowach dzbany i kosze, a młode dziewczyny paplały i śmiały się, idąc po wodę do studni. Nagie dzieciaki biły się i bawiły w pyle lub ganiały po wąskich uliczkach. Olbrzymi czarni mężczyźni siedzieli w kucki na progach wiklinowych chat, zajęci swą pracą, albo drzemali w cieniu.

Na targowisku handlarze siedzieli pod pasiastymi baldachimami, wystawiwszy na zaśmieconym bruku garnki, inne wyroby, jarzyny i najrozmaitsze produkty. Czarny tłum klócił się i targował w nieskończoność o bananowce, piwo i kute, mosiężne ozdoby. Kowale nachylali się nad paleniskami pełnymi węgla drzewnego, pracowicie wykuwając żelazne podkowy, noże i groty włóczni. Gorące słońce prażyło z góry wszystko — pot, radość, nagość, siłę i energię czarnego ludu Kush.

Nagle scena ta uległa jakiejś ledwie uchwytniej zmianie. Z łomotem podków w kierunku bramy wiodącej do Wewnętrznego Miasta przejechała grupa jeźdźców, złożona z pół tuzina mężczyzn i jadącej na czele kobiety.

Jej skóra była ciemnobrązowa, a gęste, czarne włosy spięte z tyłu i przytrzymane złotą opaską. Oprócz sandałów na nogach i

wysadzanych klejnotami napierśników, tylko częściowo zakrywających jej pełne piersi, jedynym jej odzieniem była krótka, jedwabna spódniczka ściągnięta pasem. Miała twarz o śmiałych rysach, oczy bystre, błyszczące, pełne wyzywającej pewności siebie. Za pomocą uzdy nabijanej drogimi kamieniami i szerokich jak dłoń, srebrzonych cugli ze szkarłatnej skóry z łatwością i wprawą kierowała smukłym, kuszyckim rumakiem. Jej obute w sandały stopy spoczywały w srebrzonych strzemionach, a przez łęk siodła miała przerzuconą gazelę. Tuż za jej koniem biegła para długonogich ogarów.

Gdy kobieta przejeżdżała obok, praca i gwar ustawały. Czarne twarze przybierały ponury wyraz, a oczy płonęły gniewem. Tubylcy pochylali głowy szepcząc coś do siebie i szepty te stopniowo przeszły w głuchy, złowrogi pomruk.

Młodzieniec jadący strzemię w strzemię z kobietą zaczął się denerwować. Spojrzał przed siebie, na krętą uliczkę. Oцениwszy odległość dzielącą ich od spiżowych wrót, jeszcze zasłoniętych przez chaty, rzekł cicho:

— Lud się burzy, Wasza Wysokość. Jazda dziś przez Zewnętrzne Miasto jest głupotą.

— Wszystkie czarne psy Kush nie powstrzymają mnie przed udaniem się na łowy! — odparła kobieta. — Jeżeli któryś podniesie na mnie rękę, stratujcie go.

— Łatwiej powiedzieć, niż zrobić — mruknął młodzian, patrząc na wrogi tłum. — Wychodzą z domów i gromadzą się na ulicy... Proszę spojrzeć!

Wjechali na szeroki, nieregularny plac pełen czarnoskórych. Po jednej jego stronie stał większy od sąsiednich dom z wysuszonej gliny i palmowych pni, z rzędem czaszek zawieszonych nad drzwiami. Była to świątynia Jullah,

pogardliwie zwana przez kastę rządzących siedzibą diabło–diabła. Czarny lud czcił Jullah jako bóstwo przeciwstawne Setowi, bogowi — wężowi ich władców i ich stygijskich przodków.

Tłum wypełniał plac, ponuro spoglądając na jeźdźców. W jego zachowaniu wyczuwało się groźbę. Tananda, po raz pierwszy czując pewne zdenerwowanie, nie zwróciła uwagi na jeźdźca nadjeżdżającego sąsiednią uliczką. W innej sytuacji widok tego człowieka przyciągnąłby uwagę wszystkich, bowiem nie był on ani brązowoskóry, ani czarny. Był to biały mężczyzna; potężna postać w kolczudze i hełmie.

— Te psy mają złe zamiary — mruknął młodzieniec u boku Tanandy, wyciągając do połowy zakrzywiony miecz z pochwy. Pozostali gwardziści — czarni, jak cisnący się wokół tłum — otoczyli ją ciasnym kręgiem, ale nie dobyli broni. Cichy, ponury pomruk przybierał na sile, jednak nikt się jeszcze nie poruszył.

— Przejechać przez nich! — rozkazała Tananda, spinając konia ostrogami. Czarni w milczeniu rozstąpili się na boki.

Wtem z domu diabło–diabła wyłoniła się chuda postać. Był nią stary Ageera, zaklinacz, odziany jedynie w przepaskę biodrową. Wskazując na Tanandę, wrzasnął:

— Oto jedzie ta, której ręce są unurzane we krwi! Ta, która zamordowała Amboola!

Ten okrzyk był iskrą powodującą wybuch. Tłum wydał przeciągły ryk, po czym runął naprzód, krzycząc: „Śmierć Tanandzie!”.

W mgnieniu oka sto czarnych rąk uczepiło się nóg jeźdźców. Młodzieniec próbował zasłonić Tanandę przed tłumem, lecz rzucony kamień roztrzaskał mu czaszkę. Dźgający i rąbiący na odlew gwardziści zostali zrzućeni z koni i rozdeptani, zatłuczeni

lub zakłuci. Tananda, która w końcu wpadła w panikę, wrzeszczała przeraźliwie; jej rumak stanął dęba. Tuzin czarnych — kobiet i mężczyzn — rzucił się na nią jak sępy.

Jakiś olbrzym złapał ją za udo i ściągnął z konia, wprost w wyciągnięte ręce rozwścieczonego tłumu. Zerwano z niej spódniczkę i wywijano nią w powietrzu, przy wtórze złośliwego rechotu zbuntowanej tłuszczy. Jakaś kobieta napluła jej w twarz i zdarła napierśniki, drapiąc skórę czarnymi pazurami. Ciśnięty kamień skaleczył jej skroń.

Tananda zobaczyła dłoń dzierżącą spory kamień, którego właściciel usiłował się przepchnąć bliżej. Błysnęły sztylety. Tylko tłok uniemożliwiał napastnikom natychmiastowe pozbawienie jej życia. Ktoś krzyknął: „Do świątyni Jullah!”

Odpowiedział mu przeciągły ryk. Tananda poczuła, że na pół niosą, na pół wloką ją po ziemi. Czarne ręce trzymały ją za włosy, za ręce i nogi. W ciżbie zadawane jej ciosy chybiały lub były pozbawione siły.

Nagle tłum zafalował, gdy z całym impetem wpadł weń jeździec na potężnym rumaku. Ludzie padali z wrzaskiem wprost pod tratujące ich kopyta. Tananda dostrzegła ogromną postać, górującą nad tłumem, smagłą, poznaczoną bliznami twarz pod okapem stalowego hełmu i wielki miecz, wznoszący się i opadający ze świstem, pryskający bryzgami krwi. Jednak ktoś w ciżbie dźgnął wierzchowca włócznią. Koń zarżał, wierzgnął i runął na ziemię, lecz jeździec zdążył zeskoczyć z siodła, tnąc na lewo i prawo. Ciskane włócznie odbijały się od jego hełmu lub tarczy na lewym ramieniu, zaś jego długi miecz ciał ciała i kości, rozłupywał czaszki i wypruwał wnętrzności.

Żadna ludzka istota nie mogła — tego zdzierzyć. Oczyszcivszy sobie pole, obcy pochylił się i chwycił przerażoną dziewczynę.

Oslaniając ją tarczą cofał się, wyrąbując sobie drogę, póki nie dotarł do załomu muru. Odepchnąwszy dziewczynę w tył osłonił ją własnym ciałem, odpierając ataki rozwścieczonej, wrzeszczącej tłuszczy.

Nagle rozległ się tętent kopyt. Odział gwardii wjechał na plac, rozpraszając tłum. Wrzeszcząc ze strachu Kuszyci pouciekali bocznymi uliczkami, pozostawiając na placu tuzin nieruchomych ciał.

Kapitan gwardii — gigantyczny Murzyn w szkarłatnych jedwabiach i złoconej zbroi — podjechał bliżej i zsiadł z konia.

— Późno przybywasz — powiedziała Tananda, wstając i odzyskując pewność siebie.

Kapitan zrobił się popielatoszary. Zanim zdążył coś powiedzieć, Tanada dała znak stojącym za nim wojownikom. Jeden z nich oburącz wbił kapitanowi włócznię między łopatki z taką siłą, że grot wyszedł mu z piersi. Oficer runął na kolana, a pchnięcia pół tuzina innych włócznie dokończyły dzieła.

Tananda potrząsnęła długimi, czarnymi, zmierzwionymi włosami i spojrzała na swego wybawcę. Krwawiła z tuzina zadrapań i była naga jak noworodek, lecz patrzyła na niego bez zakłopotania czy zmieszania. Odpowiedział jej spojrzeniem wyrażającym szczerzy podziw dla jej opanowania i krągłych kształtów, oraz pełnych, wysokich piersi.

— Kim jesteś? — spytała.

— Jestem Conan z Cymerii — mruknął.

— Z Cymerii? — Nigdy nie słyszała o tym dalekim kraju, leżącym setki staj na północ. Zmarszczyła brwi. — Nosisz stygijską zbroję i hełm. Jesteś Stygijczykiem?

Potrząsnął głową, ukazując w uśmiechu białe zęby.

— Wziąłem tę zbroję Stygi jczykowi, ale najpierw musiałem



zabić tego głupca.

— Cóż więc robisz tu, w Meroe?

— Jestem wędrowcem — odparł z prostotą. — Mój miecz jest do wynajęcia. Przybyłem tu w poszukiwaniu szczęścia.

Uznał, że lepiej nie mówić jej o swej poprzedniej karierze pirata Czarnego Wybrzeża, ani o tym, że był wodzem jednego z plemion żyjących w dżungli na południu.

Królowa zmierzyła ogromnego Cymeryjczyka taksującym spojrzeniem, szacując szerokość jego barów i potężny tors.

— Wynajmę twój miecz — powiedziała w końcu. — Jaka jest twoja cena?

— Jaką cenę proponujesz? — odparował, rzuciwszy smutne spojrzenie na trupa swojego wierzchowca. — Jestem włóczęgą bez grosza, a teraz również bez konia.

Potrząsnęła głową.

— Nie, na Seta! Już nie jesteś włóczęgą — jesteś kapitanem gwardii królewskiej. Czy sto szekli złota miesięcznie kupi mi twoją lojalność?

Zerknął z ukosa na nieruchome ciało swojego poprzednika, leżące w jedwabiach, stali i krwi. Ten widok nie przygasił szerokiego uśmiechu na ustach barbarzyńcy.

— Tak sędzę — powiedział.

Minęło kilka dni, księżyc schudł i zaczął znów rosnać. Conan żelazną ręką stłumił krótki, niezorganizowany bunt niższych kast. Shubba, sługa Tuthmesa, powrócił do Meroe. Stając przed panem w komnacie, której marmurową posadzkę pokrywały lwie skóry, rzekł:

— Znalazłem kobietę, jakiej szukałeś, panie. To nemedyjska dziewczyna, porwana z kupieckiego statku z Argos. Zapłaciłem za nią shemickiemu handlarzowi niewolników wiele ciężkich sztuk złota.

— Chcę ją zobaczyć — powiedział Tuthmes.

Shubba opuścił komnatę i po chwili wrócił prowadząc za rękę dziewczynę. Miała smukłe ciało, oszałamiająco kontrastujące z czarnymi i śniadymi ciałami, do jakich był przyzwyczajony Tuthmes. Kręcone włosy gęstą, złocistą falą spływały jej na białe ramiona. Miała na sobie tylko przejrzystą koszulę. Shubba zdjął ją z niej i zasłaniająca się wstydliwie dziewczyna została całkiem naga.

Tuthmes chłodno pokiwał głową.

— To dobry towar. Gdyby nie chodziło o tron, zostawiłbym ją sobie. Czy nauczyłeś ją mówić po kuszycku, jak kazałem?

— Tak. Uczyłem ją w tym stygijskim mieście i codziennie podczas podróży z karawaną. Nakłoniłem ją do nauki shemickim sposobem — za pomocą kaptia. Ma na imię Diana.

Tuthmes usiadł na sofie i gestem nakazał dziewczynie usiąść na podłodze u jego stóp. Zrobiła to.

— Zamierzam podarować cię królowej Kush — rzekł. — Formalnie będziesz jej niewolnicą, lecz naprawdę nadal będziesz należeć do mnie. Będziesz regularnie otrzymywać rozkazy i wykonywać je. Królowa jest okrutna i popędliwa, więc uważaj, żeby jej nie rozgniewać. Nie powiesz nic, nawet na torturach, o tym, co ci mówię. A na wypadek, gdybyś — znalazłszy się w królewskim pałacu — uznała, że jesteś poza moim zasięgiem i chciała być nieposłuszna, pokażę ci moją potęgę!

Wziąwszy ją za rękę, poprowadził niewolnicę przez korytarz i po kamiennych schodach do długiej, słabo oświetlonej komnaty. Pomieszczenie było przedzielone na dwie połowy kryształową ścianą, przejrzystą jak woda, lecz grubą na prawie metr i tak mocną, że mogła wytrzymać szarżę słonia. Tuthmes podprowadził Dianę do tej ściany i postawił ją twarzą do szkła, a sam cofnął się. Nagle zgasło światło. Stojąca w ciemności dziewczyna poczęła dygotać ze strachu, gdy w mroku pojawiła się słaba poświata i wyłonił się z niej niekształtny, ohydny łeb. Zobaczyła zwierzęcy pysk porośnięty szczeciną i dłutowate kły. Kiedy potwór ruszył ku niej, wrzasnęła i rzuciła się do ucieczki, ze strachu zapominając o grubej tafli kryształu oddzielającej ją od bestii. Wpadła prosto w ramiona Tuthmesa, który szepnął jej do ucha:

— Służysz mnie. Nie zawieź mnie, bo jeśli to uczynisz, on znajdzie cię wszędzie. Przed nim się nie ukryjesz.

Kiedy szepnął jej do ucha coś jeszcze, dziewczyna zemdląła.

Tuthmes wniósł ją na schody i oddał w ręce czarnej służącej, każąc ocucić, nakarmić i napić, wykąpać, uczesać, skropić pachnidłami i przygotować do przedstawienia nazajutrz królowej.

Następnego dnia Shubba zaprowadził Dianę z Nemedii do rydwanu Tuthmesa, wsadził ją do środka i chwycił wodze. Była to już inna Diana, wykąpana i wyperfumowana, umalowana w sposób dyskretnie podkreślający jej urodę. Miała na sobie szatę z jedwabiu tak cienkiego, że widać było przezeń każdy szczegół wspaniałego ciała. W jej złotych lokach błyszczał srebrny diadem.

Jednak nadal była śmiertelnie przerażona. Od kiedy wpadła w ręce łowców niewolników, jej życie stało się koszmarem. W czasie długich miesięcy niewoli próbowała pocieszać się myślą, że nic nie trwa wiecznie, a jej sytuacja jest tak zła, że może się jedynie poprawić. Zamiast tego, jeszcze się pogorszyła.

Teraz miała zostać podarowana okrutnej i nieobliczalnej królowej. Jeśli tak się stanie, z jednej strony będzie jej groził potwór Tuthmesa, a z drugiej podejrzliwa władczyni. Jeżeli nie będzie szpiegować dla Tuthmesa, dopadnie ją demon; jeśli to uczyni, królowa prawdopodobnie złapie ją na tym i skaże na śmierć — być może jeszcze okropniejszą.

Niebo nad głową miało stalowoszarą barwę. Na zachodzie zbierały się chmury — obłok po obłoku. Nadchodził koniec suchej pory w Kush.

Rydwan potoczył się ku głównemu dziedzińcowi królewskiego pałacu. Koła cicho chrzęściły na piasku, od czasu do czasu turkocząc głośniejsz, gdy natrafiły na pas czystej nawierzchni. Niewielu Meroitów z wyższych kast wyszło na ulice, na

najgorszy, popołudniowy skwar. Większość przedstawicieli rządzącej kasty pozostała w domach. Po ulicach snuli się nieliczni czarni słudzy, zwracając pozbawione wyrazu, mokre od potu twarze ku przejeżdżającemu rydwanowi.

Na pałacowym dziedzińcu Shubba zestawił Dianę na ziemię i poprowadził ją przez złocone wrota z brązu. Tłusty majordomus zaprowadził ich do wielkiej komnaty, urządzonej z przesadnym przepychem, niczym pokój stygijskiej księżniczki — jaką w pewnym sensie była Tananda. Królowa, odziana tylko w krótką spódniczkę ze szkarłatnego jedwabiu, siedziała na sofie z hebanu i kości słoniowej, wykładanej złotem i macią perłową.

Obrzuciła gniewnym spojrzeniem drżącą, jasnowłosą niewolnicę. Dziewczyna była niewątpliwie cennym darem. Jednak Tananda, której serce było pełne zdrady, chętnie podejrzewała każdego o wrogie knowania. Nagle przemówiła głosem nabrzmiałym ukrytą w nim groźbą:

— Mów, dziewczko! Po co Tuthmes przysłał cię do pałacu?

— Ja... ja nie wiem... Gdzie jestem? Kim ty jesteś? — powiedziała Diana cienkim, wysokim głosikiem, jak przestraszone dziecko.

— Jestem królowa Tananda, głupia dziewczko! Teraz odpowiedz na moje pytanie.

— Nie wiem, co powiedzieć, pani. Wiem tylko, że lord Tuthmes przysłał mnie w darze...

— Kłamiesz! Tuthmesa zżera ambicja. Nienawidzi mnie i nie dałby mi żadnego prezentu bez jakiejś ukrytej przyczyny. Musiał uknuć jakiś spisek. Mów, albo będzie źle!

— Ja... ja nie wiem! Nie wiem! — zaskomliła Diana wybuchając płaczem. Obłądnie obawiając się demona Muru nie była w stanie nic powiedzieć, nawet gdyby chciała. Język

odmawiał jej posłuszeństwa.

— Rozebrać ją! — rozkazała Tananda. Z Diany zerwano przejrzystą szatę.

— Przywiązać ją! — powiedziała królowa.

Dianie związano ręce w przegubach, przerzucono linę przez belkę powały i naciągnięto tak, że dziewczyna miała ramiona wyciągnięte wysoko nad głową.

Tanada podeszła do niej z batem w ręce.

— Teraz — powiedziała z okrutnym uśmiechem — zobaczymy, co wiesz o intrygach naszego drogiego Tuthmesa. Jeszcze raz pytam: będziesz mówić?

Nie mogąc wykrztusić słowa, Diana ze szlochom potrząsnęła głową. Bat świsnął w powietrzu i z trzaskiem spadł na plecy Nemedyki, zostawiając na nich długi, czerwony ślad. Diana wrzasnęła przeraźliwie.

— Co się tu dzieje? — powiedział basowy głos.

W drzwiach stał Conan. Na burnus miał naciągniętą kolczugę, przepasaną szerokim pasem z wiszącym przy nim mieczem. Pozostając w intymnym związku z Tanandą, zwykł bez zapowiedzi zjawiać się w pałacu. Królowa i wcześniej brała sobie kochanków — jednym z nich był zamordowany Ambool — lecz w ramionach żadnego nie zaznała takiej rozkoszy i nigdy tak otwarcie się z nimi nie afiszowała. Nie mogła się nasycić tym olbrzymem z północy.

Jednak teraz była zajęta czymś innym.

— To tylko dziewczka z północy, którą przysłał mi w darze Tuthmes — bez wątpienia po to, żeby wepchnęła mi sztylet między żebra lub zadała trucizny do wina — warknęła Tananda. — Próbuję dowiedzieć się od niej prawdy. Jeśli chcesz się ze mną kochać, przyjdź później.

— To nie jest jedyny powód mojej wizyty — odparł z wilczym uśmiechem. — Jest jeszcze pewna drobna sprawa wagi państwowej. Co to za szalony pomysł, aby wpuścić czarnych do Wewnętrznego Miasta, żeby patrzyli, jak spłonie Aahmes?

— Jakie szaleństwo, Conanie? Pokażę tym czarnym psom, że ze mną nie ma żartów. Ten nędznik będzie torturowany w sposób, jaki zapamiętają na długo. Tak zginą wszyscy wrogowie naszej boskiej dynastii. Masz jakieś wątpliwości? Mów!

— Chodzi o to: jeżeli wpuścisz kilka tysięcy Kuszytów do Wewnętrznego Miasta i podsycisz ich żądzę krwi widokiem tortur, nie będziemy długo czekali na następne powstanie. Twoja boska dynastia nie dała im wielu powodów do miłości.

— Nie boję się tej czarnej hołoty!

— Może i nie. Jednak już dwa razy uratowałem przed nimi twój śliczny kark, a za trzecim razem może mi się nie udać. Właśnie próbowałem to powiedzieć twojemu ministrowi — Afariemu, ale powiedział, że to twój rozkaz i nic nie może zrobić. Myślałem, że może wysłuchasz głosu rozsądku, ponieważ twoi ludzie zbyt się ciebie boją, aby powiedzieć ci coś, co mogłoby ci się nie spodobać.

— Nie mam zamiaru tego słuchać. Teraz wynoś się stąd i nie przeszkadzaj — chyba, że sam chcesz wziąć bat.

Conan podszedł do Diany.

— Tuthmes ma dobry gust — zauważył. — Dziewczyna jest śmiertelnie przerażona. Nie dowiesz się od niej niczego, co warto byłoby usłyszeć. Daj ją mnie, a pokażę ci, co może sprawić odrobina dobroci.

— Dobroci. Ty? Ha! Zajmij się swoimi sprawami, Conanie, a ja zajmę się moimi. Powinieneś rozstawiać teraz nocne warty.

— Teraz mów, przekłeta dziwko! — powiedziała ostro do

Diany.

Bat syknął w powietrzu, gdy zamierzyła się do następnego ciosu.

Skoczywszy ku niej z niedbałą gracją lwa, barbarzyńca złapał królową za rękę i wyrwał z niej bat.

— Puść! — wrzasnęła. — Ośmielasz się używać wobec mnie siły? Każę cię... każę...

— Każesz co? — powiedział chłodno Conan.

Odrzucił bat w kąt, wyciągnął sztylet i przeciął linę wiążącą przeguby Diany. Służba Tanandy wymieniała spłoszone spojrzenia.

— Bacz na swą królewską godność, Wasza Wysokość! — wyszczerzył zęby, biorąc Dianę na rękę. — Tylko pamiętaj, że dopóki dowodzę gwardią, masz przynajmniej jakąś szansę. Beze mnie... no, znasz odpowiedź. Zobaczymy się przy egzekucji.

Z nemedyjską dziewczyną w ramionach pomaszerował do wyjścia. Skrzecząc z wściekłości, Tananda porwała upuszczony bat i cisnęła nim w ślad za barbarzyńcą. Rękojeść uderzyła go w plecy i bicz spadł na posadzkę.

— Wolisz ją ode mnie tylko dlatego, że ma skórę jak rybi brzuch, tak samo jak ty! — wrzasnęła Tananda. — Pożałujesz tego!

Śmiejąc się w głos, Conan wyszedł z komnaty. Tananda osunęła się na podłogę, tłukąc pięściami w marmur i łkając ze złości.

W chwilę później Shubba, jadący rydwanem do domu swego pana, mijał kwaterę Cymeryjczyka. Ze zdumieniem zobaczył, jak barbarzyńca wchodzi do domu niosąc w ramionach nagą dziewczynę. Shubba popędził konia.



W mieście zapaliły się już pierwsze światła, gdy Tuthmes zasiadł w swej komnacie wraz z Shubba i Muru — wysokim czarownikiem z Kordafy. Shubba, niespokojnie zerkając na swojego pana, dokończył opowieści.

— Widzę, że nie doceniłem podejrzliwości Tanandy — rzekł Tuthmes. — Szkoda tracić tak obiecujące narzędzie jak ta nemedyjską dziewczyna, ale nie każda strzała trafia w cel. Jednak zachodzi pytanie; co dalej? Czy ktoś widział Ageerę?

— Nie, mój panie — odparł Shubba. — Zniknął po wznieceniu buntu przeciw Tanandzie; bardzo przezornie, jeśli mi wolno powiedzieć. Niektórzy twierdzą, że opuścił Meroe; inni, że w dzień ukrywa się w świątyni Jullah, a w nocy rzuca zaklęcia.

— Gdyby nasza boska władczyni miała choć trochę zdrowego rozsądku — prychnął Tuthmes — posłałaby kilku krzepkich strażników do siedziby diabło–diabła i powywieszała kapłanów na ganku.

Dwaj pozostali drgnęli i niespokojnie odwrócili wzrok. — Wiem; obawiacie się ich zaklęć i czarów. No, zobaczymy. Dziewczyna jest już dla nas bezużyteczna. Jeśli Tananda niczego się od niej nie dowie o naszych zamiarach, Conan dokona tego łagodniejszym sposobem, a w jego domu i tak nie dowie się niczego, co by nas interesowało. Ona musi umrzeć. Muru, czy możesz wysłać swego demona do domu Conana dziś wieczorem, kiedy barbarzyńca będzie dowodził gwardzistami, żeby załatwił się z dziewczką?

— Mogę, panie — odrzekł Kordafańczyk. — Czy nie powinienem nakazać mu, aby zaczekał, aż Conan wróci do domu i zabił również jego? Dopóki Cymeryjczyk będzie kapitanem gwardii, będzie walczył jak lew w obronie królowej, swojej kochanki, obojętne, jak bardzo się kłóca, ponieważ tak ślubował.

Shubba dodał:

— Nawet jeśli pozbędziemy się Tanandy, Conan będzie nam stał na drodze. Mógłby nawet sam zostać królem. Praktycznie już jest niekoronowanym władcą Kush — zaufanym i kochankiem królowej. Gwardziści kochają go i przysięgają, że mimo białej skóry — w środku jest czarny, jak oni.

— Dobrze — rzekł Tuthmes. — Pozbędziemy się obojga jednocześnie. Ja będę obserwował, jak torturują Aahmesa, by nikt nie mógł powiedzieć, że przyłożyłem ręki do zabójstwa.

— Czemu nie wysłać demona również na Tanandę? — spytał Shubba.

— Jeszcze nie czas. Po pierwsze, muszę zdobyć poparcie innych notabli, aby zdobyć tron, a to nie będzie łatwe. Zbyt wielu ich widzi się w roli króla Kush. Dopóki moja frakcja nie umocni swojej pozycji, moje pretensje do tronu będą równie nieuzasadnione, jak Tanandy. Zatem chętnie poczekam jeszcze trochę, pozwalając, aby sama zgubiła się swoimi wyskokami.

Aahmesa przywiązano do pala stojącego na głównym placu Wewnętrznego Miasta. Książę był pulchnym, brązowoskórym młodzieńcem, którego naiwność w kwestiach polityki pozwoliła Afariemu fałszywie go oskarżyć. Ogniska rozpalone w rogach placu i rzędy płonących pochodni oświetlały okropną scenę. Między palem a królewskim pałacem stało niskie podium, na którym zasiadała Tananda. Wokół niej stał potrójny pierścień gwardzistów. Płomienie lśniły krwawo na długich grotach ich włóczni, tarczach ze skóry słonia i pysznych pióropuszcach na głowach.

Po drugiej stronie placu Conan siedział na koniu, stojąc na czele oddziału gwardii uzbrojonej we włócznie. Skłębione, gęste chmury na horyzoncie przeszły błyskawica.

Środek placu, gdzie przywiązano lorda Aahmesa, otaczał kordon gwardzistów. W ich kręgu królewski kat rozgrzewał na małym palenisku narzędzia swego zawodu. Resztę placu wypełniał gęsty tłum złożony z większości mieszkańców Meroe. W świetle pochodni błyszcząły białka oczu i białe zęby. Tuthmes i jego świta tworzyli sporą grupę stojącą w pierwszym rzędzie widowni.

Patrząc na tłum, Conan miał jak najgorsze przeczucia. Jak do tej pory wszystko było w porządku, ale kto wie, co może się zdarzyć, gdy do głosu dojdą prymitywne namiętności? Czuł dziwny, podświadomy niepokój. W miarę upływu czasu coraz bardziej się niepokoił, nie o los upartej królowej, lecz o

nemedyjską dziewczynę, którą zostawił w domu. Była przy niej tylko jedna czarna służąca, ponieważ wszystkich gwardzistów potrzebował do pilnowania zgromadzenia na placu.

W ciągu kilku godzin znajomości Diana przypadła Conanowi do serca. Słodka, łagodna i chyba jeszcze dziewica, stanowiła całkowite przeciwieństwo dzikiej, wybuchowej, namiętnej, okrutnej, zmysłowej Tanandy. Królowa była ekscytującą kochanką, ale po pewnym czasie Conan wolałby jakiś mniej burzliwy związek. Znając królową wiedział, że była w stanie wysłać jednego ze swych służących, aby zamordował Dianę pod jego nieobecność...

Na środku placu kat rozdmuchał miechem ogień na palenisku. Wyjął z niego narzędzie, płonące jasnoczerwono w zapadającym mroku. Podszedł do więźnia. Conan nie słyszał słów przez głuchy pomruk tłumu, ale wiedział, że oprawca pyta Aahmesa o szczegóły spisku. Więzień potrząsnął głową.

Jakiś wewnętrzny głos zdawał się przemawiać do Conana, każąc mu wracać do domu. W hyboryjskich krajach Cymeryjczyk przysłuchiwał się czasem dyskusjom kapłanów i filozofów. Często spierali się o istnienie opiekuńczych duchów i możliwość bezpośredniego komunikowania się dwóch umysłów. Przekonany, że wszyscy oni są szaleńcami, nie przywiązywał do tego zbytnej uwagi. Jednak teraz wydało mu się, że wie, o czym mówili. Próbował otrząsnąć się z tego wrażenia, będącego zapewne tworem wyobraźni, jednak po chwili wróciło z jeszcze większą mocą.

W końcu Conan rzekł do adiutanta:

- Mongo, obejmij dowodzenie, dopóki nie wrócę.
- Dokąd idziesz, lordzie Conanie? — spytał czarny.
- Przejadę się ulicami i sprawdzę, czy pod osłoną ciemności

nie zbiera się gdzieś jakaś banda łotrów. Miej baczenie na wszystko; zaraz wrócę.

Barbarzyńca obrócił konia i stępa wyjechał z placu. Tłum rozstąpił się, robiąc mu przejście. Dręczące przeczucie stało się jeszcze silniejsze. Popędził konia w kłus i wreszcie ściągnął wodze przed swoją kwaterą. Po niebie przetoczył się głuchy pomruk gromu.

W domu było ciemno, paliło się tylko jedno światło na tyłach. Conan zsiadł z konia, uwiązał go i wszedł do środka, trzymając dłoń na rękojeści miecza. W tejże chwili usłyszał przeraźliwy krzyk — rozpoznał głos Diany.

Z siarczystem przekleństwem barbarzyńca runął jak burza korytarzem, wyciągając miecz z pochwy. Krzyk dobiegał z salonu, w którym było zupełnie ciemno; mrok rozpraszała tylko słaba poświata jednej, płonącej w korytarzu świecy.

Conan stanął jak wryty w drzwiach, porażony widokiem, jaki pojawił się przed jego oczami. Diana kulila się na niskim posłaniu wymoszczonym lamparcimi skórami; rozchyłona, jedwabna koszula ukazywała białe ciało. Niebieskie oczy dziewczyny były szeroko otwarte z przerażenia.

Unoszący się na środku pokoju szary, skłębiony opar powoli przybierał formę i kształt. Pasma mgły częściowo już ułożyły się w zwalisty, monstrualny kształt o masywnych, włochatych ramionach i topornych, zwierzęcych członkach. Conan dostrzegł nieforemny łeb stwora, szczeciniasty, świński pysk i wygięte kły. Potwór zmaterializował się z powietrza, wezwany przez jakieś diabelskie zaklęcie. Przez umysł Conana przemknęły urywki zasłyszanych legend — szeptane opowieści o straszliwych, krwiożerczych stworach krążących w mroku i mordujących z nie ludzką wściekłością. Atawistyczny lęk sprawił, że

barbarzyńca wahał się przez chwilę. Później z furią ruszył naprzód, na wroga — i potknął się o ciało czarnej służącej, która zemdlna leżała tuż za progiem. Cymeryjczyk przewrócił się i miecz wypadł mu z ręki przy upadku.

W tejże chwili potwór z nieprawdopodobną szybkością odwrócił się i jednym gigantycznym susem skoczył na barbarzyńcę. Upadek uratował Conana; potwór przeleciał nad nim i z niesamowitą siłą rąbnął w ścianę korytarza.

Obaj natychmiast zerwali się na nogi. Gdy potwór ponownie rzucił się na Cymeryjczyka, w padającym z zewnątrz świetle błysnęły wielkie, dłutowate kły. Conan wepchnął lewe przedramię pod brodę przeciwnika, a prawą ręką usiłował wydobyć sztylet.

Włochate ramiona demona objęły barbarzyńcę morderczym uściskiem; słabszy człowiek natychmiast miałby złamany kręgosłup. Conan usłyszał trzask rozrywanego pazurami odzienia; kilka ogniw kolczugi pękło z ostrym, metalicznym brzękiem. Chociaż potwór ważył tyle samo co Cymeryjczyk, był niewiarygodnie silny. Mimo iż napinał wszystkie mięśnie, barbarzyńca czuł, że jego lewe ramię powoli się zgina i zębata paszcza coraz bardziej przysuwa się do jego gardła.

Zataczali się i zmagali w półmroku, niczym para tańcząca jakiś groteskowy taniec. Conan usiłował wydobyć sztylet, a demon coraz bardziej przysuwał kły do jego gardła. Wreszcie młodzieniec zrozumiał, że pas okręcił mu się na biodrach i nie zdoła dosięgnąć sztyletu. Czuł, że nawet jego niespożyte siły zaczynają się wyczerpywać, gdy nagle macająca prawa ręka natrafiła na coś zimnego. To Diana podniosła jego miecz i włożyła mu rękójesc w dłoń.

Odchyliwszy się w tył, Conan wymierzył i wbił ostrze w ciało

napastnika. Skóra potwora wydawała się niezwykle gruba, lecz potężne pchnięcie zdołało ją przebić. Spazmatycznie kłapiąc szczękami, demon wydał zwierzęcy ryk.

Conan dźgał raz po raz, lecz włochata bestia zdawała się nie odczuwać ukąszeń stali. Z niesamowitą siłą przyciskała barbarzyńcę do siebie. Dłutowate kły przybliżały się do jego twarzy. Z melodyjnym trzaskiem pękały kolejne ogniwa kolczugi. Ostre szpony rozdarły tunikę młodzieńca i wyorały krwawe bruzdy w oblanych potem plecach. Z ran potwora na pierś Conana tryskał lepki płyn, niepodobny do zwykłej krwi.

W końcu, ugiąwszy nogi i zebrawszy resztę sił, Conan wyrwał się z objęć bestii. Brocząc krwią zatoczył się w tył. Gdy potwór ruszył na niego ponownie i wyciągając łapska próbował go schwytać, Cymeryjczyk oburącz zadał straszliwy cios. Ostrze miecza wbiło się głęboko w kark demona, przecinając go do połowy. Potężne cięcie pozbawiłoby głów dwóch, a może nawet trzech ludzi na raz, lecz tkanki bestii były twardsze niż ciało zwykłych śmiertelników.

Potwór zachwiał się i z łoskotem runął na podłogę. Conan stał nad nim z mieczem w dłoni, ciężko dysząc. Diana zarzuciła mu rękę na szyję.

— Tak się cieszę... Modliłam się do Isztar, żeby cię przysłała...

— Dobrze już, dobrze — mruknął Conan, obdarzając ją niezgrabną pieszczotą. — Może wyglądam, jakbym stał nad grobem, ale mogę jeszcze...

Urwał, szeroko otwierając oczy. Potwór podniósł się z podłogi, z głową zwisającą na rozrąbanym karku. Potoczył się do drzwi, potknął o wciąż nieprzytomną służącą — Murzynkę, i wypadł w noc.

— Krom i Mitra! — sapnął Conan. Odsuwając dziewczynę na

bok, warknął: — Później, później! Dobre z ciebie dziecko, ale muszę pójść za tym stworem. To ten demon ciemności, o którym mówią ludzie i — na Kroma! — dowiem się, skąd przybył.

Wybiegł na zewnątrz, gdzie nie znalazł swojego wierzchowca. Kawalek cugli zwisający z pierścienia w murze świadczył o tym, że przerażone pojawieniem się demona zwierzę zerwało rzemień i uciekło.

Po chwili Conan znów ponownie zjawił się na placu. Przeciskając się przez ryczący ze wzburzenia tłum zobaczył, jak potwór chwieje się i pada u stóp wysokiego czarownika z Kordafy stojącego w świetle Tuthmesa. W ostatnich podrygach bestia przycisnęła łeb do nóg czarnoksiężnika.

Tłum wydał okrzyk wściekłości, rozpoznając demona, który od lat gnębił Meroitów. Chociaż gwardziści wciąż próbowali utrzymać wolną przestrzeń wokół pala męczarni, w kierunku czarownika ze wszystkich stron wyciągnęły się setki rąk. W panującym zgiełku Conan dosłyszał strzępki okrzyków: „Zabić go! To pan demona! Zabić!”

Nagle gwar ucichł. Na otwartej przestrzeni pojawił się Ageera; wygoloną głowę miał pomalowaną tak, że przypominała trupią czaszkę. Wydawało się, że w jakiś magiczny sposób przeskoczył nad głowami tłumy i wylądował w kręgu wolnej przestrzeni.

— Dlaczego zabijać narzędzie, a nie rękę, która nim włada? — wrzasnął. Wskazał na Tuthmesa. — Tu oto stoi ten, któremu służył Kordafańczyk! To na jego rozkaz demon zabił Amboola! Tak powiedziały mi duchy, w ciszy świątyni Jullah! Zabijcie i jego!

Gdy tłum pochwycił wrzeszczącego Tuthmesa, Ageera wskazał na podium, na którym siedziała królowa.

— Zabijcie wielmożów! Zrzućcie jarzmo! Zabijcie panów!



Bądźcie znów wolnymi ludźmi, nie niewolnikami! Zabić, zabić, zabić!

Conan z trudem utrzymywał się na nogach w kłębiącym się tłumie, miotającym się tam i sam, i podśpiewującym: „Zabić, zabić, zabić!” Tu i ówdzie chwymano jakiegoś wrzeszczącego szlachcica i rozszarpywano na strzępy.

Conan precisnął się do swoich konnych gwardzistów, przy pomocy których miał jeszcze nadzieję oczyścić plac. Wtem, nad głowami tłuszczy zobaczył widok, który sprawił, że zmienił zamiar. Królewski gwardzista, stojący tyłem do podium, obrócił się nagle i cisnął włócznią w królową, którą miał chronić. Dzida weszła w jej ciało jak w masło. Gdy władczyni osunęła się w fotelu, trafiło ją tuzin następnych włóczy. Widząc to, konni gwardziści przyłączyli się do swoich współplemieńców masakrujących szlachtę.

Kilka chwil później Conan, podrapany i rozchełstany, lecz prowadzący nowego konia, pojawił się w swojej kwaterze. Uwiązał wierzchowca, wbiegł do środka i wyjął ze skrytki worek złotych monet.

— Chodźmy! — warknął na Dianę. — Weź bochen chleba! Gdzie, na zimne piekła Niflheimu, jest moja tarcza?! A, tutaj!

— Czy nie chcesz zabrać tych pięknych rzeczy?...

— Nie ma czasu; brązowoskórzy są skończeni. Siadaj za mną i trzymaj się mego pasa. No już!

Obciążony podwójnym ładunkiem koń ciężkim galopem pomknął przez Wewnętrzne Miasto, między bandami buntowników i rabusiów, ścigających i ściganych. Jakiś mężczyzna, który próbował chwycić konia za uzdę, padł z wrzaskiem i chrzęstem łamanych kości; inni pospiesznie usunęli się z drogi. Dwoje uciekinierów wyjechało przez wielkie, spiżowe

wrota; za ich plecami nad domami szlachty wznosiły się już żółte piramidy płomieni. W górze błysnęło, po niebie przetoczył się grom i deszcz lunął jak z cebra.

Godzinę później ulewa przeszła w mżawkę. Koń szedł stępa, wyszukując sobie drogę w ciemnościach.

— Jesteśmy na drodze do Stygii — mruknął Conan, wyteżając wzrok. — Kiedy przestanie padać, my też przystaniemy, żeby się trochę wysuszyć i przespać.

— Dokąd jedziemy? — powiedziała cicho i łagodnie Diana.

— Nie wiem, ale mam douã czarnych krain. Z tymi ludem nie moyna nic zrobiã — majr tak grubr skórc i zakute ũby jak barbarzyncy z moich póunocnych stron: Cymeryjczycy, Źsirowie i Wanirowie. Mam zamiar jeszcze raz wróciã do cywilizacji.

— A co ze mnã?

— A co bys chciała? Odeślę cię do domu albo zatrzymam cię przy sobie... co wolisz.

— Myślę — powiedziała cichutko — że mimo deszczu i wszystkiego podoba mi się tak, jak jest.

Conan uśmiechnął się w ciemności i puścił konia w kłus.